

PERCHRISTIAN  
PERSEILID

229W 1) b. c. 13  
21294 (T) M. 0. 2. 6

— Cortex oznacza kartę, kartę mądrość. Pomysłowe, przewoź! Słomi na to wpuściliśmy. Laboratorium jest zawsze blisko no to pol roku, a jednak kiedy zapytaliśmy wrocław: Czy wyznajecie już imię dla tejżono i Omega? — odpowiedział: — Chcemy, byście nam dali więcej czasu na rozważenia. Dzielujemy — powiedziałem — rozwiązałyśmy problem sami, bowiem jutro odbędzie się operacja. A jak samopoczucie: Jesteś smutny czy wesoły?

— Nie rozumiem pytania.

— W porządku. Widzimy to przecież na jejstaniech. Nad czym się rozmyślał? No informacja!... No tak, co tu można powiedzieć!... Po prostu zapytaliśmy was z sobą. Niepewne was podnieśliśmy, rozdzielając obie półkule mózgowe; zniknęły lewą korzono i zniknęły jej—z prawą Omega. A ponieważ Omega był lewą półkule, prawo półkula jego mózgu spełniła funkcje lewej. Teraz mamy dwie lewe półkule. Po rze pierzamy w historii nauki. Musze ci powiedzieć, że naszym największym problemem było do tej pory znalezienie leworęcznego dawcy. Mieliliśmy wyjątkowe szczęście.

Nagle cichnie, a potem mówi trochę miłej pownie:

— Cortex, chęć być rezerw. Prawie mało przestraszył. Z kim ja właściwie rozmawiam! Podwójny intelekt podobany, uczył! Ciekawostki przedhodzą ciobki go, aleczech...

ISBN 83-03-02738-

PER CHRISTIAN  
VERSILD

---

ŻYTAJ, CZY MÓŻE

Przekład:

Barbara Holderna

KRAJOWA  
AGENCJA  
WYDAWNICZA

Tytuł oryginału: EN LEVANDE S JÄL

Projekt graficzny:

ALINA KUS

Redaktor:

JOANNA B. ROSZAK

Redaktor techniczny:

PIOTR ŻALISZ

Korektor:

JOLANTA BZYL-CZEKAJ

© Copyright P.C. Jersild 1980

ISBN 83-03-02738-7

Krajowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch”,

Poznań, ul. M. Palacza 87a.

Nakład 70 000+350 egz.

Ark, wyd. 8,25. Ark, druk. 8,25.

Drukowano na papierze drukowym ki. III 71 g BI. Oddano do składu we wrzeźniu 1988 r.

Druk ukończono w lipcu 1989 r.

Skład, druk i oprawa:

Poznańskie Zakł. Graficzne im. M.Kasprzaka — Zakład Nr 6 —

Zam, nr 63959/88 — K-9/182

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA

POZNAŃ 1989

# 1

Pora posiłku. Widzę dziewczynę przechodzącą między zastawionymi stołami w laboratorium. Znika na chwilę za białą kolbą z wodą destylowaną. Teraz idzie prosto ku mnie. Ma na sobie długą aż do ziemi zieloną spódnicę, ochronną maskę ze sprasowanego plastiku i wyjątkowo nietwarzowy czepek z papierowej krepy. Czepek jest szeroki, przymarszczony po brzegach i zachodzi aż na brwi. Przypomina czepek kąpielowy z lat dwudziestych. Dziewczyna ma na rękach gumowe rękawiczki wysypane talkiem. Skrzyżowała ręce na piersiach i popycha brzuchem metalicznie błyszczący wózek z butelkami i pojemnikami przykrytymi zieloną serwetką.

Mogę patrzeć tylko prosto przed siebie. Kiedy znów pojawia się w zasięgu mojego wzroku, stoi tuż, tuż. Nachyla się i przygląda mi się. Potem bierze do ręki długie szczypce i unosi pokrywę akwarium. Przykuca i obserwuje. Zauważyłem, że nałożyła dziś na powieki zielono-srebrny cień.

Dziewczyna zajmuje się teraz butelkami na wózek. Pipetą nabiera różową ciecz. To jest moje śniadanie. Wkłada pipetę do akwariium i pozwala śniadaniu kapać na mnie. Po kilku minutach czuję, jak pożywienie zaczyna działać. To jest najlepsza chwila w ciągu całej doby, kiedy dziewczyna, pochylona, tchnie we mnie nowe siły. Po roztworze z pokarmem wlewa jeszcze do mojego akwariium zawartość czterech mniejszych pipet. Przypuszczam, że to są witaminy i metale występujące w ilościach śladowych, głównie cynk. Od cynku wzrasta poziom inteligencji. Kiedy wszystko jest już gotowe, dziewczyna sprawdza dopływ tlenu i działanie ogrzewacza kąpielowego. Po raz trzeci nachyla się nade mną i wskazującym palcem w gumowej rękawiczce puka wolno w akwariium. Przez ciecz, w której spoczywam, przechodzą sprawiające mi przyjemność fale.

Czekam teraz na obchód. Akwariium jest umieszczone wysoko na dygestorium, więc mam dobry widok z góry. Laboratorium nie jest większe od zwykłego pokoju stołowego. Dwa stoły laboratoryjne dzielą pomieszczenie na trzy części. Pod przeciwległą ścianą stoją stłoczone klatki z myszami. Po prawej stronie rozpoznaję sylwetkę psa z profilu. To jest pies myśliwski, którego umieszczono w pozycji wiszącej, obwiązanego pod brzuchem szerokimi taśmami. Z psiego brzucha zwisają luźno czerwone przewody, z których skapuje do małych kolb sok przypominający glicerynę.

Moje odczuwanie czasu podobne jest do przyplływów i odpływów fali. Nieraz przenoszę się w marzeniach wstecz, do innego świata. Wtedy czas mija bardzo szybko. Najczęściej jednak płynie bardzo wolno. Patrzę prosto przed siebie i widzę wciąż to samo: klatki z myszami, psa, zastawione szkłem stoły laboratoryjne i przewody zapasowego natrysku znajdującego się po lewej stronie, na granicy mojego pola widzenia. Obok natrysku znajdują się jedne drzwi do laboratorium. Drugie mieszczą się w głębi, ale tak daleko na prawo, że nigdy ich nie widzę. Wiem jednak, że są. Kiedy dziewczyna opuszcza pokój, znika zawsze na prawo. Właściwie wychodzę z założenia, że wtedy opuszcza pokój. W przeciwnym razie musiałaby stać przyciśnięta do ławki pod oknem po prawej stronie od czwartej po południu do siódmej rano następnego dnia, kiedy to przychodzi ze śniadaniem. Na prawo są również okna. Ich też nigdy nie widziałem, lecz kiedy świeci słońce, cienie pasiastych żaluzji i jasne pola o kształcie rombu wolno wędrują wzdłuż ścian. Czuję się, jakbym znajdował się w centrum średniowiecznego zegara gwiazdowego.

Otóż i obchód! Ponieważ spoczywam w wodzie, nic nie słyszę i obchód zawsze mnie zaskakuje.

Trzy osoby w białych fartuchach pojawiają się nagle w polu mojego widzenia: starszy mężczyzna, kobieta w średnim wieku i młodzieniec. Nazwałem ich profesorem, docentem i praktykantem. Ach, jakże chciałbym, żeby pozostali przy mnie jak najdłużej!

Współzawodniczę z psem naprzeciw mnie o czas trwania obchodu. Profesor nie nosi maski. Jedyne on pokazuje odkrytą twarz. Jest zawsze opalony na brązowo. Ma twarz poorly głębokimi, ostro zarysowanymi zmarszczkami. Docent-kobieta ma cerę mlecznobiałą i nosi maskę sterzącą na czubku nosa jak rozbity namiot. Maską praktykanta sięga mu aż do oczu. Nie nosi on natomiast czepka kąpielowego, w przeciwieństwie do dziewczyny, która się mną zajmuje.

Profesor uśmiecha się zachęcająco. Ma korony Jacketa. Siwe brwi sterczą mu jak wąsy i nadają twarzy wyraz lekkiego zdziwienia. Teraz odzywa się do dwóch pozostałych osób. Zachłannie próbuję wyłowić choć parę słów. Umiem już dość dobrze czytać z ruchów warg. On jednak odwraca się bokiem. Co odpowiadają tamci, nie mogę zobaczyć z powodu masek.

Dzisiaj obchód przeciąga się do około 30 sekund. Zawsze liczę czas: 1001, 1002, 1003... Profesor daje znak głową i wszyscy troje odchodzą szybko do psa. Zawsze się nim długo zajmują, co wywołuje moją zazdrość. Kucają dokoła niego. Czasem pies jest w nocy niespokojny. Tutaj nigdy nie gasi się światła, więc jestem zmuszony ciągle na wszystko patrzeć. Kiedy pies się denerwuje, gumowe rurki mogą się poluźnić. Dziś w nocy był niespokojny między dwunastą a drugą. Zawezwano dziewczynę. Otrzymała polecenia.



Kiedy zespół profesora opuszcza pokój, przygotowuję się do małej przedpołudniowej drzemki, żeby wypełnić sobie czas. Wtedy dzieje się coś niezwykle go: dziewczyna powraca do mnie. Idzie dźwigając czworokątne lustro średniej wielkości. Kładzie je na dygestorium, unosi ostrożnie i stawia przede mną. Lustro mocno się przechyla. Wszystko, co widzę, to sufit. Na wierzchu dygestorium znajduje się wentylator oraz pęk cienkich poskręcanych kabli elektrycznych w różnych kolorach. Kiedy dziewczyna odsuwa lustro, mogę zobaczyć kable od dołu, dochodzące do mojego akwarium. Na jego pokrywie umieszczone są w podwójnych rzędach wtyczki bananowe.

Teraz stawia lustro w położeniu pionowym i pojawia się w nim moje odbicie. To nie jest budujący widok. Mówienie o twarzy byłoby przesadą. Jestem tylko mózgiem leżącym w akwarium. Zostawiono mi jedno oko. Sterczy z mózgu jak mała pisanka na patyczku. Usunięto wszystko, co nie jest mi potrzebne: korpus, szyję, twarz, samą czaszkę, mięśnie oczu. Jednak pozwolono mi zatrzymać jedno oko. Widzę dobrze, ale tylko wtedy, kiedy patrzę prosto przed siebie. Z jakiegoś powodu pozostawiono mi również małżowiny uszne. Zwisają smutno z obu stron szarozółtych, pofałdowanych półkul mózgowych. W uchu wewnętrznym znajduje się organ równowagi, nie rozumiem jednak, do czego miałyby mi służyć małżowiny uszne tutaj, w wodzie. Może funkcjonują jako stabilizatory, jak płetwy lub stępka u statku.

Ogólnym wyglądem przypominam meduzę morską z wytrzeszczonym emaliowanym okiem z przodu.

Kiedy widzę swoje odbicie w lustrze, czuję obrzydzenie. Trudno mi zaakceptować swój wygląd. Próbuję wmówić sobie, że odczuwam radość. Jeśli, przez długi czas trzeba było gubić się w domysłach, to wielkim darem jest otrzymanie zewnętrznej tożsamości, wyglądu zewnętrznego.

## 2

Do czego potrzebny jest korpus? Nogi, na przykład, służą jedynie do przenoszenia się z miejsca na miejsce. Są reliktem z czasów społeczeństwa nomadów, kiedy to wędrowaliśmy ze stadami renów przez tundry epoki lodowcowej. A ręce? Są pozostałością z czasów koczowania na drzewach na skraju sawann Afryki. Kiedy drzewo zostało całkowicie objedzone, należało przenieść się na drugie; to oznaczało wznoszenie się, wspinanie, uwieszanie się, przrzucanie. Korpus jest konstrukcją z epoki kamienia.

Cały świat mieści się w mózgu ludzkim. Mózg wymaga jednak potężnej aparatury odżywiającej. Jest on także częściowo włączony w proces odżywiania. Żeby kierować mięśniami, oddychaniem, trawieniem, rozmnażaniem, regulować temperaturę i sterować innymi, drugorzędnymi procesami, konieczna jest jego duża pojemność. Za samo „ja” odpowiada jedynie część mózgu. Zaryzykowałbym

twierdzenie, że moja istota — to, co jest właśnie mną — waży od 200 do 300 gramów, tyle, co zwykła przesyłka pocztowa. Żeby unieść ten ciężar, przeciętny człowiek potrzebuje ciała o wadze 70 kilogramów.

Aby utrzymać mnie przy życiu, potrzeba zaledwie parę 1.5-woltowych baterii kieszonkowych. Zużyję tylko samo energii co 20-watowa lampka. Roztwór wodny, w którym leżę, musi być całkowicie sterylny. W przeciwnym razie mogę porosnąć pleśnią. Dopuszczalna jest zmiana temperatury zaledwie o parę stopni. Jeżeli będzie za ciepło — może mnie ponieść dzika fantazja, jeśli za zimno — pogrążę się w letargu.

Skąd mogę wiedzieć to wszystko? Ja, który nie wiem nawet, jak się nazywam, ile mam lat i jakiej jestem płci? To ostatnie ma może mniejsze znaczenie w obecnej sytuacji. Skąd to mogę wiedzieć? Odpowiedź brzmi: kiedy pozbawiono mnie ciała, uwolniony został kilogram tkanki mózgowej, która poprzednio zajęta była banalnymi funkcjami organizmu. Poprzez wykorzystanie uwolnionej tkanki w działalności intelektualnej — liczę na to — stanę się pięć razy tak inteligentny jak przeciętny człowiek. Z grubsza licząc da to iloraz rzędu 600 jednostek.

Poza tym jestem nieśmiertelny — zasadniczo. Przeciętny mózg starzeje się i obumiera na skutek złego ukrwienia. Nie mam już jednak naczyń krwionośnych. Wyciągnięto je przy pomocy pincety, tak

jak wybiera się ości z ryby. Płyn o temperaturze 37 stopni śący się swobodnie przez kanaliki i otwory. Lecz nie jestem nim zupełnie przesiąknięty. W komorach mózgowych — najgłębszych otworach — zatrzymałem trochę powietrza po to, żeby móc unosić się lub zanurzać w akwarium.

Uważam, że przesadą jest mówienie o życiu wiecznym. Nawet przy idealnej opiece musi kiedyś zdarzyć się nieszczęście. Akwarium może zostać upuszczone na podłogę albo piorun może uderzyć w przewody elektryczne. Dlatego nie liczę na życie wieczne, ale praktycznie na przeżycie 800 lat, a więc trochę więcej niż liczba określająca mój iloraz inteligencji. Moją pamięć skasowano przy pomocy elektrowstrząsów, dlatego żadne niebezpieczeństwo nie zagraża mi z zewnątrz. Przez to, że pozbawiono mnie wszystkich punktów orientacyjnych, muszę ciągle trzymać się tych niewielu rzeczy, które są pewne. Całą dobę leżę w napięciu. Jeśli choć jedna komórka w tkance ulegnie zniszczeniu, każdy będzie mógł mnie zwinąć, jak się zwija nitkę w kłębek.

### 3

Jest obchód. Zajmują się miną już kilka minut. Widzę, jak pies zaczyna się niecierpliwić. Praktykant przysunął krzesło profesorowi, który siedzi teraz

naprzeciw mnie z rękoma na kolanach i przygląda mi się. Ja też się gapię — co innego mam robić? Teraz docent-kobieta podaje mu papier. On czyta go kilka razy, potem wręcza praktykantowi, który unosi papier przede mną. Czytam:

„Ja, niżej podpisany, zapewniam, że całkowicie dobrowolnie i w obecności świadków wyrażam zgodę na dysponowanie przez Biochine Medical Corp. moimi półkulami mózgowymi, mózdzkiem i rdzeniem przedłużonym wraz z odpowiednimi nerwami mózgowiaszki”.

Podpis: (nieczytelny)

Tak, pamiętam! Tę jedyną rzecz pamiętam z mojego poprzedniego życia. Leżałem w respiratorze. Codziennie rozmawiałem z psychiatrą. Po wielu rozmowach pogodziłem się ze swoją sytuacją. Nigdy nie miałem opuścić respiratora. Miał on w dalszym ciągu pompować mi powietrze do płuc przez okrągły rok. Lecz później moje ciało zaprotestowało przeciw tej maszynie. Moje płuca stałyby się twarde i nieelastyczne. W końcu stanęłoby moje serce. W takim stanie rzeczy otrzymałem propozycję: pozwól nam usunąć ciało. To, co jest tobą, mieści się w mózgu. Żeby utrzymać pracę mózgu, niepotrzebne jest ciało ani respirator.

Psychiatra rozmawiał o tym ze mną tygodniami. Już po kilku rozmowach mrugnąłem na „tak”. Ale chciano się o tym przekonać. Rozmowy przeciągały się w nieskończoność. Właściwie nie można ich

nazwać rozmowami: psychiatra mówił, a ja mrugałem. Byłem przygotowany na wszystko, żeby tylko uwolnić się od stalowego płuca. Zawezwano prawników, ściągnięto Komisję do Spraw Etyki. Spisano, a następnie przepisano kontrakt. To jest wszystko, co pamiętam. Resztę wspomnień usunięto za pomocą precyzyjnych, jak strzał w dziesiątkę, elektrowstrząsów, które są formą leczenia elektrycznością o niskim napięciu, leczenia radykalnego i drobiazgowego. Dlatego też zachowałem między innymi możliwość porozumiewania się.

W kółko czytam swój niewyraźny podpis, parafkę. Chcę znać swoje nazwisko, lecz nie mogę go od cyfrować. W końcu praktykant zabiera kontrakt, według którego oddałem się na własność Biochine Medical Corp. Profesor otrzymuje notes od docenta. Pisze coś drukowanymi literami, opierając się na kolanie i podaje kartkę praktykantowi, który przykładą ją do szyby akwarium. Widnieje na niej zdanie: — „Zamierzamy teraz usunąć ostatni fragment twojej pamięci. Pomyślności!”

Nie, nie! — chcę zawołać. Nie! Nie niszczonej mojej ostatniej cząstki! — Miotam się w pętach. Próbuję ściągnąć na siebie spojrzenie psa. Spozrzeżono, oczywiście, mój niepokój. Nie jestem taki głupi, żeby nie pojąć, dlaczego jest tu tyle przewodów. Podłączono mnie do elektroencefalografu. Gdy tylko zaczynam się denerwować, wykazują to wykresy EEG. Profesor przywołuje skinieniem docenta trzymającą

pipetkę z przejrzystym niebieskim płynem. Niebieskie krople staczają się przed moim szeroko otwartym okiem, rozpuszczając się.

Dziesięć sekund później odczuwam wyłącznie wdzięczność. Nie mam nic przeciw temu, żeby zacząć wszystko od nowa. Ponieważ oni wymazali moje jasne wspomnienia, mogą równie dobrze usunąć te złe. Profesor wstał z krzesła, jak tylko zauważył, że krople zaczęły działać. Praktykant odstawił krzesło i teraz wszyscy troje stoją przede mną. Profesor podnosi rękę i kiwa nią.

## 4

Wydaje się, jakby tam, na zewnątrz, całe lato — czy to jest lato? — rozpląnęło się w deszczu. Smutne krople uderzają o szybę. Wyobrażam sobie, jak smugi wody ukośnie padają na okno, podczas kiedy wiatr się nasila. Nawet gdybym mógł, nie miałbym ochoty wyslizgnąć się na balkon, żeby zobaczyć, jaka jest pogoda. Nie mam siły odegnąć snu, lecz nie jestem dostatecznie śpiący, żeby zasnąć.

Otoczenie przyprawia mnie o wymioty. Gdybym miał powieki, tobym ich nie podnosił. Teraz oko przez okrągłą dobę pracuje jak kamera obserwacyjna. Ale, oczywiście, nie muszę patrzeć, jeżeli nie chcę. Mogę pokręcić się na krześle obrotowym,

zlekceważyć rzeczywistość, wstać i pójść sobie — w myśli. Mądrze jest nie oczekiwać zbyt wiele od własnego życia wewnętrznego. Mózg jest pofałdowany i nagi jak wyspa na północnym Atlantyku, jedynie w najgłębszych bruzdach jej powierzchni można znaleźć ślady zieleni, wyjąwszy miejsce, na którym rośnie może kilka anemicznych osik. Kiedy targa nimi wiatr, wydają dźwięk podobny do wody leżącej z kranu. Wszystko jest bezbarwne, zszarzałe, oprócz słońca, które ma kolor białego ciasta. Cały zresztą mózg wygląda jak starannie wyrobione, lecz niewypieczone ciasto, jak wygładzony, lecz pęknięty już gipsowy bochenek — eksponat z mało uczęszczanego muzeum etnograficznego.

Jakich płynów użyli dzisiaj? Jestem obnażoną i całkowicie bezbronną ofiarą poddaną działaniu soków trawiennych. Naturalne płyny ustrojowe zostały oczywiście wyeliminowane. Jestem wystawiony na działanie syntetycznych substancji chemicznych, w jaskrawych kolorach, o sztucznie uzyskanym smaku owocowym.

Jestem apatyczny czy szybko reagujący? Na to pytanie żaden wykres EEG nie da odpowiedzi. Mam uczucie, że tracę chęć do życia. Myślę, że oni prowadzą doświadczenia używając teraz dwóch soków; jeden jest czarny, a drugi szary.

Czarny płyn, czarna żółć, sprawia, że opadam w głęboką, zimną, czarną jak smoła otchłań. Lecę tak prawie cały czas, nigdy nie sięgając dna i nie zabijając



się, co przyniosłoby mi niewymowną ulgę. Kiedy stosują tę czarną ciecz, mam uczucie, jakby skuwano mnie żelaznym łańcuchem. Istnieje tylko jeden sposób, żeby uwolnić się od tego wszystkiego: odebrać sobie życie. Lecz nie mam siły walczyć nawet o to. Czarny płyn wsącza się do mózgu jak zużyty olej napędowy. To trwa całą noc. O świcie zwoje mózgo-  
we są całkowicie wypełnione smołą, czarną trawą morską i umierającymi ptakami.

Dzisiaj włali tylko szary płyn do kąpieli, w której leży mózg. Ta szara depresja nie stanowi otchłani, w którą się spada. Jest natomiast nagim szczytem, na który trzeba się wspiąć. Przez mgłę widać na odległość wielu mil. Krajobraz jest martwy, wyciszony i bezkresny. Nie ma w nim żadnego urozmaicenia, są tylko powtarzające się elementy. Przedmioty znajdujące się w pobliżu są nieprzyzwoicie wyraziste. Kamień na ziemi wywołuje nudności, biała kropka na paznokciu staje się zbyt wyraźna, natarczywa, wywołuje nienawiść. Podczas szarej depresji czas stoi w miejscu. Nic się nie dzieje, nie występuje nawet uczucie strachu.

Kiedy płyn zaczyna się ze mnie wydostawać, zwykle po około czterech godzinach, odczuwam silnie niedosyt kolorów. Najbardziej brak mi żółtego i czerwonego. Czy kolory zawierają witaminy? Życzyłbym sobie, żeby ktoś nastawił podgrzewacz do kąpieli w akwarium na najwyższą temperaturę. Żeby mnie gotował, przeprowadzał proces koagulacji, aż

przybiorę połyskliwy żółtoczerwony kolor jak homar!

Tak jestem pogrążony w melancholii, że nie zauważyłem, jak docent-psychiatra weszła do laboratorium. Jest z nią jakaś nieznaną mi dziewczyna. Dźwiga tacę zastawioną doświadczalnymi rurkami w stojaku, małymi kolbami, pipetami, plastikowymi strzykawkami i różnymi przedmiotami jednorazowego użytku. Najpierw biorą próbkę cieczy, w której się znajduję, wsysają porcje o pojemności 1 cm<sup>3</sup>, które wlewają do różnych rurek doświadczalnych. Rurki są starannie oznaczane tajemniczymi kombinacjami cyfr.

Dziewczyna wkłada teraz gumowe rękawiczki, zanurza ręce w akwariium i ostrożnie, lecz pewnie obejmuje mnie, tak jak się trzyma delikatny owoc. W tym samym czasie psychiatra posługuje się błyszczącym narzędziem zaopatrzonym w długą na około 25 centymetrów, lśniącą igłę. Nic nie czuję. Mózg nie może odczuwać fizycznego bólu. Mogliby powoli kroić mnie nożem do sera i nie wydałbym nawet krzyku. Teraz pobierają tylko kilka próbek do punkcji, najmniejsze fragmenty tkanki, które wsysane są długą igłą.

## 5

Zegar ścienny wskazuje prawie siódmą i dziewczyna punktualnie pojawia się w moim polu widzenia,

po prawej stronie. Przechodzi obok wiadra z wodą destylowaną i odwraca się w moim kierunku. Ręce, jak zwykle, skrzyżowała na piersiach, popycha wózek brzuchem — jak zwykle. Ale twarz nie jest taka jak zwykle: dziewczyna nie ma maski ochronnej! Serce mocno mi bije... to nie jest oczywiście moje własne serce, ono zostało przecież amputowane. Lecz tak, jak czuje się odciętą nogę, tak ból sprawia serce, które się utraciło.

To nie jest twarz godna szczególnej uwagi. Czoło jest niewidoczne z powodu czepka przypominającego papier używany do zapraw. Brwi też byłyby niewidoczne, gdyby ich nie pociągnęła czarna kredką. Oczy są szarzielone, lecz straciły trochę ze swego intensywnego koloru, bo nie są już wyizolowanym elementem twarzy. Teraz, kiedy nie ma maski ochronnej, uwagę odrywa od nich cienki nos, duże usta z grubymi wargami i po dziecięcemu okrągłe policzki.

Kiedy pochyła się nade mną, robi mi się gorąco. Chwilę później ogarnia mnie strach. Czy rzeczywiście powinna być bez maski?! Czy może tylko zapomniała o niej? W takim przypadku będę narażony na ryzyko zachorowania na śmiertelną chorobę zakaźną. Jakież dla przeciętnego człowieka zupełnie nieszkodliwe mikroorganizmy mogą przedostać się z jej śliny, przemieścić się na akwarium, wpaść przez dziurkę w podgrzewaczu do kąpielni i zacząć krążyć. Wtedy zaatakowałyby mnie w ciągu kilku godzin

i zakorzeniły się we mnie jak pokrzywy na świeżym nawozie.

Ona uspokaja mnie jednak. Musiała zauważyć mój strach. Uśmiecha się swoimi dużymi ustami o pomarańczowej barwie i jednocześnie wodzi palcem wskazującym wokół ust. Chce zwrócić uwagę na brak maski ochronnej. A więc to nie jest żadne zaniedbanie, lecz coś, co ma miejsce za zgodą profesora. Jestem trochę zły na siebie samego, powinienem był już na początku wydedukować, że dziewczyna nie jest niebezpieczna bez maski. Profesor przecież od tak dawna, od kiedy pamiętam, nie nosi maski. A nie jest chyba mniej niebezpiecznym nosicielem zarazków niż pomoc laboratoryjna.

Dziewczyna ma krzywy ząb na przodzie. Zamyka usta, kiwa koniuszkami palców i wycofuje się do wózka z jedzeniem. Odczuwam głód. Ona wsysa różowy płyn do dużej pipetki. Przymykam oko i podaję się przyjemnemu uczuciu, wyobrażając sobie, że leżę przy matczynej piersi. Podczas kiedy płyn wkraplany przez dziewczynę pieni się w akwarium, zastanawiam się: moja matka? Czy miałem matkę? A może urodziłem się tutaj — w którymś z doświadczalnych inkubatorów?

Wkrótce czuję się syty i dostaję swoje witaminy i metale śladowe. W czasie kiedy trawię, ona stoi pochylona do przodu z łokciami opartymi o dno dygestorium i patrzy na mnie wyczekująco. Nigdy jeszcze nie byliśmy tak blisko siebie. Tym, czego mi w tej

chwili najbardziej brak z mojego dawnego ciała, są zęby. Nie można śmiać się bez zębów. Co zrobić, aby mnie zrozumiała? Jedynymi ruchomymi częściami, które mi pozostały, są opadające małżowiny uszne. Próbuję odnaleźć nerwy prowadzące do mięśni oczu, lecz czuję się cały zardzewiały; to było tak dawno temu. Czy kiedykolwiek umiałem ruszać uszami? Nie mam odwagi dalej o tym myśleć. Jeśli nagle uda mi się poruszyć uszami, mogę po kilku gwałtownych ruchach uderzyć swoim nieosłoniętym okiem w ścianę akwarium.

Przede wszystkim chcę wiedzieć jedno: jak się nazywam. Koncentruję się na pytaniu: j-a-k-s-i-ę-n-a-z-y-w-a-m??? Ona wydaje się trochę skonsternowana, tak jakby usłyszała bardzo odległy dźwięk, ledwie słyszalnego świerszcza. Pochyla się więc jeszcze bardziej. J-a-k-s-i-ę-n-a-z-y-w-a-m????? Zaczyna na wycucie poruszać wargami. Słabo czytam z ruchów warg, lecz teraz jestem pewien:

- Jjjjjkkk? Jaaa... Jak? — mówią jej wargi.
- S-i-ę-n-a-z-y-w-a-m????
- Eeeeeee-nzzzzz...yyyywaaaaa-m!

To zostało wypowiedziane! Przekazywanie myśli działa. A ja nigdy — nigdy? — nie dowierzałem żadnemu tam szóstemu zmysłowi.

Ona śmieje się zmieszana, jest szczęśliwa. Odkryliśmy coś wspólnie, odsłoniliśmy tę część naszych zmysłów, o której nie mieliśmy dotąd pojęcia. Pochylając się przysuwa się całkiem blisko, tak blisko,

że boję się, że posmaruje szminką akwarium. Układa usta do pocałunku.

Znowu czuję przyływ ciepła. Nie w czaszce, lecz niżej, gdzieś od dołu oraz w części szczątkowej rdzenia przedłużonego. Ale nie na pocałunku mi zależy. Chcę dostać odpowiedź, jak się nazywam.

To nie pocałunek, lecz początek słowa wyglądającego jak pocałunek. Jakie litery zaczynają się od „pocałunku”? A, B, C, D... To Y. Po Y następuje mały przydech ...P! Przy następnym dźwięku dziewczyna pokazuje zęby ...S! Później robi grymas, jakby wsadziła stopę do zimnej jak lód wody ...I!

— Ipsylon — mówi zatem.

Jestem trochę zdziwiony. Wyobrażałem sobie, że moje nazwisko to jakiś numer, kombinacja cyfr. Lecz nie wykluczałem również i tego, że personel nadał mi jakieś przezwisko. Dlaczego, na przykład, nie Gruda? Albo Geniusz?

Moim nazwiskiem jest Ipsylon. Dwudziesta litera w alfabecie greckim. To dość eleganckie nazwisko, znamionujące posiadanie cech działacza państwowego. Lecz nie jestem całkiem nieświadomy: jeżeli ochrzcili mnie dwudziestą literą alfabetu, powinno to znaczyć, że przede mną był jakiś Alfa, Beta, Gamma i tak dalej. Nie mniej niż dziewiętnaście nazwisk — co się z nimi stało? Czy próby z nimi nie udały się? Czy ich ugotowano? Czy zniszczono? Czy dziewiętnastu moich poprzedników wylano do zlewu?

— Ipsylon — mówi ona i uśmiecha się.

Wiem, wiem. Teraz chcę wiedzieć, ile mam lat? Skąd mnie wzięliście? Nie, nie odchódź! Ona wycofuje się, kiwa mi i odwraca się do mnie plecami. Zaczekaj!! Próbuję myśleć koncentrując się na jej plecach: jak się nazywasz?! Nie wiem, czy odpowie, nie mogę dojrzeć jej ust. Teraz szybko rusza z wózkiem. Już chyba czas, żeby nastawić wodę na kawę dla personelu. Długo leżę, zanim powierzchnia cieczy w akwarium znów znieruchomieje.

## 6

Jest noc. Tylko pies nie śpi. Rzemień na szyi połuznił mu się. Pies opuścił łeb i wytrzeszcza na mnie złe ślepia. Piana kapie mu z obwisłych warg. O czym myśli? O jedzeniu? Nie ma już pożytku ze swoich szczęk. Pokarm przedostaje się bezpośrednio do żołądka wężykiem. Czy pies rozumie, co widzi, kiedy widzi mnie? Bładożółta grudka w połyskującym zielono akwarium — czy tak jestem widziany przez otoczenie? Chciałbym, żeby pies nie był nocą przywiązany. Mogliby postawić stół przed akwarium. Na nim pies mógłby leżeć opierając łeb na łapach. Jedno oko skierowane na mnie, drugie obserwujące drzwi. Czasem pies podniósłby się, wyciągnął, poziewał, powąchał akwarium, pomachał ogonem i polizał szkło.

Może moglibyśmy razem wydostać się stąd. Jak długo mogę wytrzymać bez wody? Niektóre rasy psów mają delikatne uzębienie. Ale na ile delikatne?

Czy pies mógłby bardzo ostrożnie wsunąć tu nos i wziąć mnie do pyska? Tak, jak się nosi szczeniaka... Kiedy znajdziemy się już na zewnątrz, będę musiał szybko dostać się do najbliższego zbiornika wodnego. A co dalej? Przecież faktycznie mogę się poruszać. W ostatnim czasie zyskałem lepszą kontrolę nad małżowinami usznymi. Przy pomocy uszu poruszających się miarowo mógłbym sunąć dalej jak mały parowiec. Lecz jeśli uszy nie będą utrzymywały tempa, będę krążył w kółko, aż stracę wszystkie siły.

Udaje mi się przykuć spojrzenie psa. Natychmiast podnosi łeb i nastawia uszu. Opada mu dolna szczęka i z pyska zwisa język. Maksymalnie się koncentruję. Ponieważ mogę przekazywać myśli dziewczynie, powinno to się udać również z psem. Czy psy mogą mówić albo myśleć? Co mam powiedzieć psu? — Aport!? — Daj mi jakiś znak — myślę. Zaszczekaj, zaskamlaj lub ujadaj! Pies zaczyna się niepokoić, kiedy tak wisi. Nogi mu podskakują, gumowe wężyki dyndają. Marszczy nos, pokazuje zęby i atakuje najbliższy wąż. Udało się! Wąż pęka i zaczyna drgać. Do czego doprowadziłem?! Myślę tak intensywnie, jak tylko potrafię: ładny piesek, ładny piesek... tylko spokojnie. Pies puszcza wąż, pochyla łeb i parska. Patrzy na mnie zezem, jakby bał się lania.

Czy mam się odważyć na kolejną próbę? Muszę wiedzieć, czy potrafię nawiązać kontakt z psem, czy też to, co się zdarzyło, to był przypadek. Znów szukam wzroku psa, przechodzę na hipnozę, myśląc:



piękna łapa! Pies próbuje uniknąć mojego spojrzenia, lecz ja się nie poddaję: piękna łapa! Prawa łapa psa zaczyna drgać, unosi się. Przebiera na oślep w powietrzu. Teraz pies zaczyna lizać łapę. Liże długimi ruchami języka, coraz szybciej. W końcu staje się to prawie nieprzyzwoite.

## 7

Dusza znajduje się między zwojami mózgowymi. Może niepotrzebna byłaby nawet sama tkanka mózgowa. Dusza byłaby wtedy wolno przemieszczającym się polem sił. Czy Darwin może dać odpowiedź na pytanie, ile miliardów lat potrwałby taki rozwój? Do tej pory dusza pojmowana jest jako pole magnetyczne. Żeby utrzymać pole magnetyczne w jednym położeniu i w stanie równowagi, potrzebne są bieguny, komórki mózgowie.

Leżąc tak, dużo myślę. Czy to się może na coś przydać? Żeby móc kontrolować swój stan, zamontowali trzy oscyloskopy. Jeden z nich to wąska blaszana skrzynka z małym ekranem telewizyjnym. Na zielonym tle ekranu połyskują krzywe w jasnym kolorze. Kiedy opanowuje mnie silne uczucie, krzywe zaczynają falować w oscyloskopie stojącym na stole laboratoryjnym. Kiedy jestem w półśnie, krzywe rozciągają się w linie proste.

Nadałem nazwy tym trzem oscyloskopom, w kolejności od górnego do dolnego: ZŁY, SYTY i

TEŃSKNOTA, oczywiście upraszczając. ZŁY reaguje nie tylko na złość, lecz także na wszelkie stany podenerwowania, SYTY daje o sobie znać nie tylko wtedy, kiedy żołądek jest pełen. SYTY mierzy dobre samopoczucie w szerszym sensie. Najtrudniej jest mi rozszyfrować TEŃSKNOTE. Czasem nie rozumiem, dlaczego TEŃSKNOTA reaguje.

Dzisiaj podczas obchodu zostałem podłączony do czwartego aparatu, o którym sędzę, że nazywa się DZIELNY. Nadeszli maszerując w jednym rzędzie. Najpierw profesor, potem docent ze skoroszytem pod pachą, a na końcu praktykant taszczyący dużą skrzynię. W skrzyni leżał DZIELNY. DZIELNY składa się z czerwonej i zielonej lampy na postumencie. Przy lampach znajduje się mały szklany pojemnik z niebieskim płynem. Cienka rurka łączy go z moim akwariem. Za każdym razem, kiedy zaświeci się zielona lampka, z pojemnika wypływa kropla niebieskiego płynu. Wtedy w jednej sekundzie ogarnia mnie intensywne uczucie szczęścia. Wydaje mi się, że świat należy do mnie.

Wypróbowali DZIELNEGO kilka razy. Przy każdej próbie wlatywałem wysoko w górę jak rakieta w niebo i za każdym razem spadałem, wracając do punktu wyjścia. Zanim personel przeszedł do psa, profesor pochylił się nad dygestorium, zastukał w szkło, uśmiechnął się i bardzo wyraźnie powiedział:

— Dzielny, dzielny...

## 8

Jest rzeczą nieulegającą wątpliwości, że mam tylko jedno oko. Jednak, gdy dziś rano przysła dziewczyna, miałem uczucie, że mam ich dwoje. Jednym wypatrzyłem, kiedy się najpierw pojawiła, potem zniknęła na krótko z wiadrem z wodą, żeby w końcu triumfalnie, wolnym krokiem zbliżyć się do akwarium od przodu. Drugie oko utkwilem w oscyloskopie umieszczonym najniżej, w TĘSKNOCIE. Jak tylko ją dostrzegłem, zmaląła aktywność TĘSKNOTY. Może to jest wytłumaczeniem faktu, że nasze spotkania są najlepsze, zanim jeszcze dojdą do skutku.

Już nie nosi maski ochronnej. Zamiast się z tego wyłącznie cieszyć, przez większą część doby łudzę się nadzieją, że zdejmie czepek kąpielowy.

— Dzień dobry, Ipsilon — mówi. — Jak minęła noc?

Nie opowiadam, czym zajęte są moje zmysły, o swojej tęsknocie, straconych złudzeniach, o strachu przed szczurami i obawie o psa. Zamiast spróbować przekazać to wszystko przy pomocy przewodnictwa myśli, ładnie, lekko się kłaniam przez wykonanie kilku prawie niezauważalnych ruchów małżowinami usznymi. Może jej nie doceniam, może to fałszywe mniemanie, że dziewczyny od razu się peszą zbytnią szczerością na początku znajomości.

Nasze poranne chwile zwierzeń zostały znacznie przedłużone w ostatnich tygodniach. Już mnie nie karmi z roztargnieniem, z jakim na przykład wrzuca się śledzie do basenu z fokami. Przed tym rozmawiamy trochę o pogodzie, a kiedy karmienie jest skończone, ona przysuwa sobie stołek, wyciąga plastikowy kubek i puszkę z rozpuszczalną kawą i zalewa ją gorącą wodą z kurka w dygestorium. Siedzi z łokciem opartym o kabinę. Widzę ją z profilu, kiedy pije. Między jednym a drugim łykiem kawy patrzy prosto w moje oko i ćwiczymy przekazywanie myśli lub czytanie z warg. Zawsze ją proszę o przysunięcie się możliwie jak najbliżej. Nie z tego powodu, że jestem zdecydowanym krótkowidzem, lecz dlatego, że w ten sposób zasłania sobą aparaturę stojącą z tyłu na ławce. To rozprasza uwagę, kiedy przez cały czas odczytuje się swoje życie duchowe w oscyloskopie.

Zaczynamy zwykle od kilku ćwiczeń, bo dziewczyna jest rano bardzo zaspana, szczególnie jej wargi. Nie oczy są śpiące, lecz usta. Język i wargi muszą się gimnastykować ostrożnie. Jeśli ćwiczymy zbyt gwałtownie, ona zaczyna mamrotać i wszystko staje się niezrozumiałe. A wtedy denerwuję się! Jeśli się zdenerwuję, sygnalizuje to oscyloskop znajdujący się najwyżej, ZŁY — i żegnaj nasze tête a tête!

— Jak się nazywasz? — zaczyna pytać zgodnie z programem.

— Moim nazwiskiem jest Ipsilon. Dwudziesta

litera w greckim alfabecie. A jakie jest twoje nazwisko?

— Mmmmmmm-a!

Zawsze się z tego śmiejemy. To jest nasza wspólna zabawa i powód naszej zażyłości.

— Czy naprawdę nazywasz się Mama? — przekazuję swoją myśl.

— Emmnummma! — mówi wyraźniej.

— Kocham Emmę!

Tak się z tego śmieje, że o mało nie rozlewa rozpuszczalnej kawy. Każdego dnia śmieje się coraz głośniej. Między nami zaczęło się coś poważnego.

Raz w tygodniu wolino mi się kąpać. Już się zaaklimatyzowałem i mogę opuszczać swoje akwarium. Emma wstawia wtedy do dygestorium pojemnik z wodą destylowaną o temperaturze ciała. Potem ostrożnie poprawia cienkie kable i wtyczki bananowe. Pierwsze minuty są rozkoszne. Trzyma mnie w swoich rękach. Lecz kiedy później cofa prawą rękę, żeby odłączyć przewody, wtedy cząstka po cząstce wygasa moja świadomość. Staję się wielkim domem, który stróż nocny obchodzi wkoło i gasi światło w jednym pokoju po drugim. Kiedy ona potem podnosi mnie nad pojemnikiem — opowiadała, jak to przebiega — jestem gdzieś daleko; bierna, szara masa białka. Tyle we mnie człowieczeństwa co w omlecie.

Chętnie przeżyłbym świadomie całą kąpiel od początku do końca. Chciałbym zwłaszcza odczuć, co to znaczy wrócić do oczyszczonego akwarium

napelnionego nową porcją płynu. To musi być jak wślizgnięcie się do łóżka ze świeżo wymaglowanym, chłodnym prześcieradłem. Rozmawialiśmy o tym. Lecz Emma mówi, że nie odważy się postąpić wbrew instrukcji. Nikt z nas nie wie, co mogłoby się zdarzyć, jeśli pozostałbym podłączony, kiedy się mnie wyjmuje z akwarium lub do niego wkłada. Może nie przeżyłbym tego doświadczenia?

Kiedy sobie poszła, a ja leżałem świeżo umyty i czekałem, nie mogłem przestać rozmyślać o dostarczonym ostatnio aparacie, a więc o DZIELNYM, z dwoma lampkami i pojemnikiem na „sok radości”. Nie mogę znaleźć lepszego słowa niż „sok radości”. Pytałem Emmę, lecz ona nie wie. Mówi, że na dnie pojemnika znajduje się nalepka. Na niej jest napisany czerwonym dermografem długi wzór chemiczny. Wiele razy podawała mi tę kombinację przy pomocy odpowiedniego układu warg. Ale ona nie zna się na chemii, a ja tu, w akwarium, odczuwam dokuczliwy brak słowników.

Boję się trochę DZIELNEGO. Nie mogę się zdecydować, czy uznać go za wroga czy za źródło przyjemności.

Czy w ogóle robię jakieś postępy? Sądzę, że tak. Z każdym dniem odważam się coraz bardziej zagłębiać w labirynt, który tworzą dowolnie zestawione cząstki mojego mózgu. Te cząstki, węzły, ośrodki nerwowe i rdzenie, które poprzednio zajęte były banalnymi funkcjami mojego organizmu. Błąkam się wkoło,

krążę cicho, bez ciężkiego stąpania. Znajduję się w pałacu zamkniętym jeszcze przed rozpoczęciem sezonu. Meble, obrazy, szpinety, lampy, łóżka, rzeźby, okna... wszystko jest jeszcze przykryte białymi prześcieradłami. Lecz pewnego dnia wszystko zostanie odkryte, wyczyszczone, odkurzone i oddane do użytku; pewnego dnia muszą zostać otwarte okna wychodzące na park. To będzie święto stulecia. Wielokolorowe ognie sztuczne zostaną odpalone z małych tratw na pałacowych stawach.

## 9

Tego ranka obchód zaczyna się dużo wcześniej. Biedna Emma zostaje zaskoczona. Siedzi na taborecie przysuniętym do akwarium, pochłonięta swoją robótką na drutach. Ostatnio zaczęła robić na drutach słuchając równocześnie przesyłanych przeze mnie myśli. Musi odwrócić głowę tylko wtedy, kiedy udziela odpowiedzi. Co to jest za dzianina? Nie mam odwagi spytać. To zaczyna przypominać kapturek na dzbanek od herbaty. Nie będzie to chyba niespodzianka dla mnie?

Widzę nadchodzący z obchodu personel, lecz nie zdążę jej ostrzec. Emma zauważyła ich dopiero wtedy, kiedy profesor przypadkowo potracił wózek z jedzeniem. Szybko znikła z prawej strony mojego pola widzenia, zostawiając po sobie wszystko: kubek

do kawy, opis robótki na drutach, który oparła o akwarium i zapasowy kłębek. Trzy ubrane na biało osoby zatrzymują się, nie wiedząc, co robić z rzeczami Emmy. W końcu praktykant wkłada kłębek do górnej kieszeni fartucha, skąd sterczy on dumnie jak biust.

Widocznie dostali w końcu resztę części do wyposażenia DZIELNEGO. Przymocowują do niego urządzenie piszące. Składa się ono z elektrycznej maszyny do pisania z kulistą głowicą i z wąskiego paska papieru, który wychodzi z boku maszyny. Do akwarium wpuszczają z każdej strony dwa metalowe pręty, trochę ukośnie przed moim okiem. DZIELNEGO wyposażają teraz w duży czworokątny ekran o powierzchni prawie jednego metra kwadratowego. Wreszcie bezpośrednio na akwarium przylepiają kartkę. Nie na wprost przed moim okiem, lecz trochę na lewo. Muszę zezować, żeby móc przeczytać tekst. Jest napisany alfabetem Morse'a. Po literze A następuje .-, po B -.... po C -.-, i tak dalej.

Profesor wkłada rękę do akwarium i popycha mnie ostrożnie naprzód. Najpierw szybki szturchniec, a potem trochę dłużej trwający dotyk, a więc odpowiednik .-, to znaczy litera A. Już zrozumiałem, czego chce: oczekuje, że przy pomocy moich ruchliwych małżowin będę poruszał się naprzód na rozkaz. Lecz w jaki sposób będę mógł zawrócić? Również na to można znaleźć odpowiedź; przeciąga się po prostu gumkę wokół pnia mózgowego. Gumkę przymocowuje



się do ściany znajdującej się za mną. Jak tylko przestane płynąć naprzód przy pomocy uszu, gumka pociągnie, mnie do tyłu, do pozycji wyjściowej.

Na ekranie, który jest zamontowany na DZIELNYM, pojawia się teraz obraz o bladych kolorach. Przedstawia małpę, siedzącą małpę, która właśnie obrała do połowy banana. W górnym lewym rogu obrazu widać duże A. Profesor znów pochyla się, wkłada rękę do akwarium i łaskocze mnie lekko po krzyżu. Nie poruszam się, więc popycha mnie zdecydowanym ruchem do przodu, jak gdybym był czółnem. Nie ruszyłem się jednak ani na jotę. Czego on chce? Czemu służą te wszystkie drogie zabawki?

Włączam moje przewodnictwo myślowe i przesyłam myśli wprost do jego czoła:

— Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby zechciał pan wytłumaczyć, czemu to wszystko ma służyć. Do czego zamierza użyć mnie Biochine? Czy chce pan poznać moje zdanie o małpach lub diecie dla małp, lub o bananach, lub o arogancji wobec pomocy laboratoryjnej, czy co??

Przewodnictwo myślowe nie działa. Robię trzy bardzo intensywne próby. Jedynym rezultatem jest to, że on masuje sobie skronie, jak przy zaczynającym się bólu głowy o podłożu stresowym.

Tracę cierpliwość i zaczynam gwałtownie poruszać uszami, co powoduje, że posuwam się do przodu i mijam w nieregularnych odstępach czasu fotokomórkę, a więc przecinam niewidzialny promień

przebiegający między obiema metalowymi pałeczkami znajdującymi się przede mną. Jednocześnie ciągnie mnie do tyłu gumka. Maszyna do pisania zaczyna pracę, papierowa taśma jest nierytmicznie wypluwana. Docent z praktykantem podnoszą ją. Jest na niej napisane: BBN3WWQ34. Leżę wyczerpany gapiąc się na taśmę. Gumka sprawia, że odczuwam ból w małżowinach usznych i w pniu mózgowym.

Wszyscy są niezadowoleni. Nawet DZIELNY, który zaczyna błyskać swoją czerwoną lampką. Przeprowadzają test na inteligencję: małą pipetkę wkładają do akwarium, wyciągają ją i badają. Wypukła powierzchnia cieczy osiąga poziom dobrych 500 IQ. Personel z obchodu przerywa doświadczenie. Przypuszczam, że wycofują się do pokoju socjalnego. Leżę przygnębiony i gapię się na wszystkie narzędzia. Posępne przedpołudnie. Chcę, żeby była ze mną Emma. Czy rzeczywiście chce? Tak, krzywe w oscyloskopie znajdującym się najbliżej, w TĘSKNOCIE, zaczynają stopniowo falować: tęsknię, tęsknię...

Do tej pory próbowaliśmy z Emmą przesyłać myśli tylko na małą odległość, szacuję najdłuższą na cztery decymetry. Cienka ściana, a więc akwarium, nie wydaje się stanowić żadnej przeszkody. Lecz jak to jest z drzwiami, betonowymi ścianami, piętrowymi domami, windami? Mimo że jestem wycieńczony pływaniem, napinam maksymalnie uwagę i przekazuję:

— Emma, najdroższa, chodź tutaj!

Czekam. Cierpliwie jak trubadur pod balkonem bogdanki. Czy mnie usłyszała? Czy usłyszał mnie również ktoś inny? Przecież nie wszyscy muszą mieć takie trudności w odbiorze jak profesor. Czy mam zdecydować się na zanucenie jeszcze jednej melodii... Uczyniłem to. Ryzykując, że nadbiegną wszyscy strażnicy zamku.

— Emma, moje życie, ja tęsknią, tęsknię...

Oscyloskop TĘSKNOTA kołysze się zachęcająco. Emma zasapana nadchodzi z lewej strony. Ma na rękach grube rękawiczki, a na kitlu gumowy fartuch. Wsuwa głowę do dygestorium. Jest tak podenerwowana, że z ledwością mogę odczytać:

— Byłam u szczurów. Czego chcesz?!

— Pomocy, Emmo.

— W czym? Zajmuję się szczurami!

— Czego oni chcą, profesor i pozostali, co mam zrobić??

— Współpracować.

— Jak??

— To chyba sam wiesz! Zresztą do tego nie mogę się mieszać. Teraz wracam do szczurów!

— Nie, nie... Emmo, liczę jedynie na ciebie.

— Zrób, jak ci mówią. Jeżeli nie chcesz znaleźć się u psychiatry! To jedyna rada, jaką mogę ci dać.

Emma obraca się na obcasie drewniaka i odchodzi.

— Pozdrów szczury... — mówię ze zbyt małym

zaangażowaniem, żeby to mogło przeniknąć przez jej kark.

A jeżeli nie zechcę pójść do psychiatry? Czy to oznaczałoby groźbę czy ostrzeżenie? Przecież ja już byłem u psychiatry. Nie pamiętam szczegółów, lecz wiem, że byłem. Może to było w poprzednim życiu? Na dnie mózgu, na dole, w przysadce mózgowej, są zakodowane wspomnienia z dawnych czasów. Za każdym razem kiedy daje o sobie znać dolna część mózgu, przysuwa oko i uruchamia zmysł powonienia.

Stare białko pachnie siarką. Ze sterty wymazanych wspomnień wyłania się obraz, który przybiera określoną formę: pokój chorego widziany z łóżka. Leżę sparaliżowany na plecach mogąc poruszać jedynie oczami. Wchodzi kobieta ubrana na czarno, kłania się w drzwiach, przysuwa sobie krzesło, siada przy mnie i dotyka mojego policzka. Nic nie czuję. Lecz kiedy zerkam w prawo, widzę jej rękę.

## 10

Jest noc. Pod sufitem ciągle zapala się i gaśnie jarzeniówka. Przez długi czas świeci równomiernie, aż nagle następuje szybka seria trzasków, a po niej znów jest cicho. Za każdym razem mam przecucie, że światło zgaśnie na dobre, tak jak serce starego człowieka. Nie mogę spać. W ciągu dnia marnotrawię

tyłe czasu, że teraz sabotuję swój nocny odpoczynek. Może powinienem poprosić o jakiś środek nasenny? Kogo mam poprosić? Z Emmą mam jakiś taki kontakt, lecz ona nie jest do tego upoważniona. Prośbę tę trzeba przedstawić profesorowi lub docentowi. A z nimi nie mogę rozmawiać.

Czekam na moment, kiedy pies, który wisi na swoich rzemieniach w drogim końcu pokoju, zacznie okazywać niepokój. Ma takie okresy między północą a godziną drugą. Całe ciało wtedy trzęsie się, łapy wykonują szybkie, krótkie ruchy, jakby były związane gumowymi pasami; pysk się marszczy i kiedy pies wpada w trans, pokazuje zęby. Najczęściej oczy ma półprzymknięte, lecz czasem wytrzeszcza je dziko. To nie oznacza nic złego. Pies śni. Lecz rurki pod brzuchem mogą się poprzesuwać. Nie lubię, jak rurki się przesuwają, bo wtedy personel z obchodu musi poświęcić prawie cały swój czas na ustawienie psa w odpowiedniej pozycji — dla mnie pozostaje tylko zdawkowy całus.

Dziś w nocy pies nie śni. Jest równie rozbudzony jak ja i wisi sobie nieruchomo. Tylko od czasu do czasu nastawia uszy, jakby chciał odgonić muchę. Lecz tutaj nigdy nie było much. Zastanawiam się, jak wygląda świat na zewnątrz. Czy go widziałem? Czy on istnieje? Zakładam, że istnieje. Bo w przeciwnym razie dokąd idzie dziewczyna po godzinie szesnastej? Może jednak nie ma świata zewnętrznego, może dziewczyna przetwarzana jest w gaz, który unosi się

pośród galaktyk tak długo, aż budzik zabrzączy raniem następnego dnia.

Trzy osoby w białych fartuchach, profesor et consortes, również muszą gdzieś przebywać przez większą część dnia. A może wychodzą do pokoju obok i czekają tam jak kukielki; kiedy zadzwoni budzik, o godzinie dziewiątej następnego dnia, wmaszerują szeregiem wprawieni w ruch za pomocą średniowiecznego mechanizmu zegarowego.

Coś się dzieje! Patrzę na grzbiet psa; wygina się, co następuje tylko wtedy, gdy przychodzi czas wypróżnienia się do plastikowego worka przyczepionego pod ogonem. Teraz jednak nie jest czas wypróżnienia! Coś siedzi na grzbiecie psa i sprawia, że ten wygina grzbiet. Coś biało-różowego, podskakującego. To jest biały szczur, wyjątkowo duży, prawie taki jak wiewiórka. I jeszcze jeden! Duży, biało-różowy szczur wspiął się po woreczku mosznowym psa i usiadł na najwyższym drążku. Siedzi tam i patrzy w dół. Jest zawiedziony czy zwołuje towarzyszy? Trzeci i czwarty szczur wysuwa się z prawej strony. Stają na tylnych łapkach na białym pojemniku z wodą destylowaną i wietrzą z zapalem. Piąty, szósty i siódmy biegną szybko jeden tuż za drugim wzdłuż czarnej krawędzi stołu laboratoryjnego.

Chciałbym przymknąć oczy. Chciałbym przymknąć oczy, potrząsnąć głową, pomasować brwi koniuszkami palców, a później uszczypnąć się w ramię: czy ja śnię?! Czy moje płyny są niewłaściwe,

czy wpadłem w jakieś delirium chemiczne? Lecz to wcale nie jest sen. Sny są elastyczne, proporcje w nich wydłużają się lub skracają. To, co teraz widzę, jest konkretne, skondensowane w czasie i przestrzeni. Około tuzina dużych, białych szczurów opanowuje laboratorium. Powód tego może być bardzo banalny: ktoś nie zamknął porządnie klatki.

Rwie mnie w nogach, których już nie mam. Chwilę później leżę sparaliżowany. Jeden szczur wdrapał się na górę, na wprost mnie. Siada w odległości około decymetra i czyści energicznie nos łapkami w słodkim kolorze marcepanu. Teraz gapi się na mnie z na wpół otwartym pyszczkiem i z lekko uniesionymi łapkami. I znów powtarza wszystko od początku. Przygląda uszy i odgarnia do tyłu sierść na głowie, pracowicie przyczesując ją na mokro.

Odczuwam wstrząs przenikający ciecz. Ktoś znajduje się na pokrywie akwariów. Szczur z przodu patrzy również w górę nade mną i przebiera obiema łapkami w powietrzu. Czy mnie odkryły?! Do czego zamierzają się posunąć: zwołać resztę czy zatrzymać mnie dla siebie? Szczur na górze porusza się szybko tam i z powrotem. Obrywam parę porządnych szturchańców, kiedy przedziera się obok kilku przewodów. Mam tylko jedno życzenie: żeby przegryzły przewody elektryczne, powodując całkowitą ciemność w moim wnętrzu, zanim mnie zjedzą.

Z gwałtownym pluskiem zostaję przewrócony na bok i zaczynam zataczać się w prawo. Laboratorium

wokół mnie niebezpiecznie się przechyla. Mam towarzystwo w akwarium. Po raz pierwszy jestem tak blisko żywej istoty, że może mnie dotykać. Czuję ostre uderzenie pejczem przez jedno ucho i po chwili widzę płynącego nade mną szczura ze zwisającą w dół tylną częścią ciała. Uderza ogonem. Szczur wydaje się zmieszany, drapie szkło, zawraca i zanurza się. Z nadętymi policzkami i ściągniętymi nozdrzami gapi się prosto w moje oko.

Nie mogę się bać! Nie mogę... A jednak tak!!! Pofołgowałem sobie nagle we wszystkich uczuciach. Przez zmaconą wodę widzę przed sobą trzy oscyloskopy; kołyszą się tam i z powrotem, jakby widziane w wypukłym zwierciadle. Wystraszony! Wystraszony! Muszę być jeszcze bardziej wystraszony! Wystraszony, W-Y-S-T-R-A-S-Z-O-N-Y!!! Wreszcie reaguje aparatura: alarm rozpoczyna się, kiedy wszystkie krzywe grożą wypadnięciem ze swoich torów.

Może eksploduję w ciągu kilku sekund — a może jestem tylko chory na chorobę morską. Kiedy odzyskuję przytomność, stoi przede mną stróż nocny trzymając w garści unurzanego w szlamie szczura. Potem opada okienko dygestorium. Czyba żaden nie został w środku? Żaden uprawiający ekwilibrystykę szczur-akrobata, który, jak pnąca roślina, zaczepiłby się przy pomocy ogona o przewód na pokrywie akwarium.

Po pół godzinie zjawili się docent i praktykant. Stróż nocny złapał w tym czasie kilka szczurów. Teraz



zaczyna się systematyczne polowanie. Oni wchodzi nawet do dygestorium i świecą latarką. Zaczynam się uspokajać. Pracują skutecznie jak celnicy.

## 11

Byłem u psychiatry. Docent jest nie tylko kobietą, lecz także psychiatrą. Przez cały czas, pozostając w cieniu profesora, cieszyła się jego przychylnością, mając naturę Richelieu.

Docent-psychiatra nie ma ze mną większego kontaktu. Chodzi o nieufność z mojej strony. Tak długo, jak długo nie będę znał celu umieszczenia mnie tu, w akwariu, nie potrafię ujawnić swych uczuć. Dlaczego nie mam pamięci? Dlatego, że zlikwidowali ją elektrycznością. Musieli wyjść z założenia, że mózg, który zanurza się w tym, co było, jak na uwięzi swych przeżyć, nie może funkcjonować. Sądzę, że się mylą. Nic nie pamiętam i 90 procent mojego czasu wypełnia mi bezowocne szukanie po omacku śladów minionego życia. Planuję napisać swoje sfingowane wspomnienia, żeby raz na zawsze pozbyć się tego problemu. Lecz jaką mam gwarancję, że oni ponownie nie zaaplikują mi serii szoków elektrycznych przeciw moim zmyślonym wspomnieniom?

Kiedy byłem na konsultacji u psychiatry, zaciągnięto zasłony jak przed seansem... Później włączono elektroencefalograf, który odczytuje prądy w

moim mózgu. Następnie docent-psychiatra usiadła na taborecie na ukos przed dygestorium. Zanim zdążyłem skupić swoją uwagę na jej wysokim czole, żeby wyrzucić na nią wpływ, zaczęła pokazywać obrazki. Na dużym ekranie, który wchodzi w skład systemu tworzącego DZIELNEGO, pokazała mi stare, dobrze znane plamy Rorschacha. Te, które kiedyś powstawały w ten sposób, że rozlewano atrament i tusz na papierze, który później podwójnie składano. Skąd o tym wiem? Czy sam byłem psychologiem, a może pacjentem? Przejrzeliśmy cały stos obrazków: motyle, chmury burzowe, nerki, drzewa i coś, co wygląda jak głowa owada w 150-krotnym powiększeniu. Dla każdego obrazka robiony jest nowy wykres elektroencefalografu.

Prawie cały czas byłem spokojny. Wiem, że moje wnętrze nie nabierze się na takie prymitywne magiczne sztuczki jak elektroencefalografia. Lecz po jakiejś pół godzinie, kiedy byłem już trochę zmęczony, opanował mnie dokuczliwy niepokój o to, czy mogę być tego zupełnie pewny. Może naukowcy są o wiele bardziej inteligentni niż się powszechnie sądzi. Może świadomie trzymają mnie z daleka od światła. Może to wszystko jest chytrą zмовą z udziałem Emmy jako agenta kontrwywiadu? Może psychiatra jest zwykłym prowokatorem, może uśmiech profesora jest w istocie rzeczy tablicą Rorschacha? Może, jest tyle tych „może”. Gdybym mógł, krzyknąłbym do psychiatry: zwróćcie mi moją przeszłość! Jak

długo każecie mi żyć w niepewności tu, w akwariu, tak długo do niczego nie dojdziemy. Jeśli macie wydobyć coś z mojego mózgu, to ja będę tym, który postawi warunki! Ale czy rzeczywiście? Czy to nie jest tylko moje błaganie, daremne życzenie, samoszukiwanie się, tyrada, do której sam się zachęcam, próżna wiara w wolność ducha? Pewnego dnia, kiedy dostatecznie naostrzę swoje narzędzia, zacznę ich tropić jak jamnik lub kiwać się jak kaczątko z kartonu ciągnięte na sznurku. W rzeczywistości mam równie niewielki wybór jak przeszczepiona nerka: obydwójce musimy albo współpracować, albo też pozwolić się selekcionować, odrzucić i następnie zostać wylanym do zlewu.

## 12

Czasem odczuwam takie natrętne swędzenie między łopatkami. Jak się tutaj dostałem? Ta myśl stała się moją obsesją. Na to musi być jakieś lekarstwo, może jakiś roztwór? Pamięć zaczęła powracać. Bo jak inaczej wytłumaczyć fragmenty poprzedniego życia: twarze, otoczenie, ktoś płaczący... Te obrazy odnoszą podobny skutek jak zakłócenia telewizyjne gdzieś z daleka. Kiedy tylko próbuję utrwalić wspomnienia, ulatują jak pyłek, który osiadł na oku.

Weźmy moje imię: Ipsilon. Brzmi sztucznie. Musiałem się przedtem nazywać inaczej. Wczoraj

wieczorem, kiedy nad laboratorium zaległo coś ciężkiego, przykrego jak ostry promień jarzeniówki, przyszło mi do głowy, że nazywam się Pawłów. Kilka razy próbowałem powiedzieć „Pawłów”. Lecz żaden z aparatów nie wykazał najmniejszej reakcji, ani ZŁY, ani SYTY, ani TĘSKNOTA czy też DZIELNY. Dlatego zakładam, że to zły trop. Porzucam myśl, że w następnym życiu mógłbym być Pawłowem.

Ponadto dużo zajmuję się alfabetem Morse'a. Natychmiast odczytałem kartkę, którą przyklepili u dołu po lewej stronie. Rozszyfrowuję znaki każdego rodzaju. Zepsuta jarzeniówka u góry pod sufitem szwargoce po swoim przez okrągłą dobę — czy nikt nie może uspokoić tego czorta?! Kiedy zmienia się pogoda na zewnątrz, próbuję to odczytać. Długi cień, krótki promień światła i tak dalej. Kiedy profesor przychodzi każdego dnia rano, zaczyna zawsze próbę nawiązania kontaktu pukając paznokciem wskazującego palca w akwarium. Co wystukuje?! Kilka razy zidentyfikowałem to jako SOS, „Save Our Souls!”.

Przez jakiś czas myślałem, że jestem mózgiem dziecka. Ale nie mózgiem niemowlęcia pochłoniętego swoimi odruchami ssania — nigdy nie odczuwałem najmniejszej chęci ssania żadnego z przedmiotów znajdujących się w moim najbliższym otoczeniu, obojętnie, czy chodzi o podgrzewacz do kąpieli, termometr czy fotokomórkę. Jeśli jestem dzieckiem, to mam od dziesięciu do dwunastu lat. Ciągle jeszcze

mam dość miękki mózg, lecz i dostatecznie długimi zwojami mózgowymi, żeby móc dostrzegać abstrakcyjne konstrukcje w powietrzu. Uważam jednak, że jestem starszy. Mój stosunek do Emmy — ona jest faktycznie nieco po dwudziestce — wskazuje na to, że przeszedłem przynajmniej okres dojrzewania.

Mój mózg jest zamkiem, którego właściciele ograniczyli się do zajęcia trzech pokoi z kuchnią w jednym ze skrzydeł. Chcę ujrzeć zamek zaludniony, z używanymi pokojami, z dymiącymi kominami, a cały budynek pełen ruchu jak przed pierwszym wieczorem karnawału: w jadalni ćwiczy orkiestra dęta, w piwnicy odbija się wieka z beczek, w łóżkach państwa leży wielka głowa z papier-mâché, wyglądająca jak pędzony wiatrem, śmiejący się balon.

Dlaczego mózgi mają znajdować się w głowie? Gdyby znajdowały się w klatce piersiowej lub w brzuchu, pielęgnacja byłaby maksymalnie ułatwiona. Lub też w mosznie: ciepło i bezpiecznie, można by je wyciągać lub wciągać zależnie od potrzeby. Pewne gatunki zwierząt, jak robaki, mają przecież mózgi w obu końcach ciała. To, że człowiek wybrał centralizację, uczyniło go jednocześnie bardzo słabym.

Podstawowym błędem jest to, że szukamy indywidualnych rozwiązań. Kilku ludzi powinno zgodzić się na posiadanie wspólnego mózgu. W takim przypadku wystarczyłoby jedno ciało, najzdrowszego z nich. Pewne nieprzewidziane trudności techniczne

mogą powstać wtedy, kiedy ograniczymy się do jednej głowy. Najprostsze wydawałoby się wtedy wyeliminować umieranie, tak jak zwykle okresy odlotów ptaków nie oznaczające dla człowieka ani wiosny, ani jesieni, lecz śmierć. Kiedy człowiek umiera, zniszczeniu ulega fundament dla jego duszy. Zostaje ona wygnana jak biedna wrona, która na próżno fruwa dokoła strychu i szuka sobie nowej gałęzi, na której mogłaby usiąść. W tym przypadku wierzę w politykę otwartych drzwi.

Może w przyszłości można będzie poszerzyć jeszcze ten fundament? Ludzka świadomość przybierze skrajnie różne formy. Część ludzi stworzy kolektyw ducha w zwykłych, dawnych, reprezentacyjnych mieszkaniach, w młodzieńczych mózgach. Inne świadomości zamieszkają w roślinach lub zwierzętach. Lub może po prostu w podgrzanym, namocznym bochenku chleba, tak jak bakterie w pożywce bulionowej.

Życie w akwarium wydaje się przeważnie dość spokojne. Jestem zranioną w bok złotą rybką w stawie czy wyrocznią z Delf? Czasem, kiedy czuję się wilgotny i zabłocony, chciałbym móc zamieszkać w dębie, jak święta wyrocznia z Dodony. Przez tę wyrocznię przemawiał Zeus. Sama przemowa przybierała formę szumu wiatru w koronie dębu. Forma ta zadowoliłaby zarówno moje wyolbrzymione poczucie własnej godności, jak i moje zainteresowanie przyrodą i poezją.

Jeżeli nie będą mógł zostać wyrocznią w świętym dębie, przyjąłbym, jako nieco gorszą możliwość, wcielenie się w wyrocznię Zeusa-Ammona na Pustyni Libijskiej. Bóg pokazuje tam swoją wolę przez kołysanie się obrazu boga niesionego w procesji. Lecz w tym wypadku podejmę się tej służby z wahaniem, ponieważ zawsze źle znosiłem podróże.

## 13

Naukowe sławy Biochine, a wśród nich profesor i docent, wyjechały na kongres. Praktykant sam teraz robi obchód. Lecz nie poświęca mi dużo czasu. Wydaje się bardziej zainteresowany aparaturą. Paski z nieudanymi próbami mojej mowy pokrywają większą część wewnętrznych ścian laboratorium. Przy pomocy szpilek przyczepił tam w długim rzędzie moje niezrozumiałe wypowiedzi. Pod nimi umieścił wykresy elektroencefalografu do odczytywania prądów elektrycznych w moim mózgu. Może siedzieć godzinami gapiąc się na poszczególne paski, z taką samą pompatyczną fascynacją, jaką kiedyś musiał okazać egiptolog Champollion kamieniowi z Rosetty, zanim wyjaśnił zagadkę hieroglifów.

Praktykant jest chyba przekonany, że chodzi o usterkę aparatu. A więc to nie ja nie umiem czytać, lecz jakaś część maszynierii, która popełniła błąd w zapisie. Wczoraj rozebrał na części nie tylko

DZIELNEGO, lecz także TĘSKNOTE. Odczuwam coś dziwnego nie mogąc już rejestrować tak istotnej części swojego życia uczuciowego. Ani razu nie pomyślałem o Emmie. Na domiar nieszczęścia praktykantowi nie udało się złożyć z powrotem oscyloskopu i był zmuszony zadzwonić do firmy produkującej takie instrumenty. To musiało dużo kosztować, ponieważ była trzecia nad ranem. Lecz może na to wszystko jest gwarancja? Czy ja też jestem objęty gwarancją?

Ćwiczymy czytanie. Kilka razy został pokazany na ekranie obraz małpy jedzącej banana. Lecz ja konsekwentnie unikałem zasygnalizowania M systemem Morse'a. Nie zdecydowałem się nawet na zasygnalizowanie za każdym razem tego samego błędu. Czasem sygnalizuję Q, czasem Z, a wcale nierzadko w ogóle jakieś bzdury. Wszystkie moje wypowiedzi są dokładnie notowane i umieszczane na ścianie.

Dziś rano przygotowano mi wspaniałą niespodziankę. Kiedy trawiłem śniadanie, rozpoczął się obchód. Lecz praktykant nie był sam. Miał do towarzystwa szympansa, który według Emmy nazywany jest tutaj Flink. Nadeszli maszerując jeden za drugim: pierwszy praktykant w swoich zniszczonych drewniakach i w rozpiętym jak zwykle fartuchu, a za nim Flink w małym, specjalnie dla niego uszytym fartuszką, dokładnie zapiętym od góry do dołu. Z rękami założonymi na plecach i z głębokimi



zmarszczkami na czole był Flink kopią profesora. Mają nawet taką samą karnację. Podczas kiedy praktykant pochylał się skrobiąc w szkło akwarium, Flink wspiął się i usiadł na najwyższym oscyloskopie. Siedział tam gnuśniejąc, jak gdyby był dyrektorem całego Biochine. Normalnie Flink mieszka na strychu, gdzie mają specjalny oddział dla małp. Lecz teraz jest na wolności. Zakładam, że w ogólnym zarysie nie jest to kaprys kierownictwa instytutu, lecz jakaś forma programu resocjalizacji.

Teraz Flink zlął już na dół. Biega wkoło na kolanach w przejściach między stołami laboratoryjnymi jak Groucho Marx. Wszystkiego dotyka palcami. Mam taką ochotę dać mu po łapach! Praktykant nie nadzoruje go. Przeciwnie, wydaje się rozbawiony, że ma u boku dotykającego wszystkiego, hałasującego Flinka.

Odkryłem też inną rzecz, która mnie niepokoi: praktykantowi nie jest obojętna Emma. Zabiega o jej względy. Po południu do kawy kupił tort. Siedzą teraz z Emmą przy drugim końcu długiej ławy z plastikowymi filiżankami i cienkimi, spłaszczonymi kubkami z papieru służącymi za talerzyki do tortu. Powiesili gazetę nad statywem, tak żeby pies nie widział kawałków tortu. Jeśli zobaczy coś smacznego, może nastąpić gwałtowne wydzielanie się soków żołądkowych. Flink dostał kawałek na samym początku, żeby zostawił w spokoju dwie pozostałe porcje. Siedzi teraz w kucki w wejściu do dygestorium i

zasłania mi widok, uniemożliwiając obserwację. Śmieje mi się złośliwie prosto w nos swoim szerokim pyskiem. Długimi palcami dotyka wszystkiego wkoło, Ale przede wszystkim gada. Nauczył się kilkuset znaków w języku głuchoniemych. Jego krtań jest tak zbudowana, że uniemożliwia mówienie w normalnym znaczeniu. Należy on natomiast do szybko rosnącej rzeszy małp porozumiewających się za pomocą znaków. Ich najbardziej znanym przedstawicielem jest samica goryla Koko.

Dużo łatwiej jest mi czytać znaki Flinka niż rozszyfrowywać niewyraźny bełkot praktykanta. Lecz niestety, Flink ma bardzo mało ciekawego do powiedzenia. Szkoda. W obecnej sytuacji mogę uzyskać informacje tylko od Emmy. Flink mógłby być świetnym uzupełnieniem, gdyby nie był tak strasznie przejęty swoją rolą, gdyby większość z tego, co mówi, nie była prawie dosłownym powtarzaniem frazesów profesora wypowiedzianych podczas obchodu. Jednak najgorsze ze wszystkiego jest to, że małpa mi przeszkadza! Czy zajmują się tam na boku praktykant z Emmą?! Teraz nawet palą, co jest tu, wewnątrz, surowo zabronione!

Flink kołysze tam i z powrotem swoją podobną do orzecha kokosowego głową. Nagle pyta:

- Dlaczego nie chcesz współpracować?
- Nakichaj na to! — mówię przy pomocy przewodnictwa myślowego.

Przez chwilę Flink wygląda na bardzo zmieszanego

i chwyta się za wypukłe czoło. A więc przekaz dotarł do niego. Ja sam jestem trochę podekscytowany — dotychczas tylko Emma, no może też pies, byli zdolni do odbioru takiego przekazu. Jestem tak podekscytowany, że ZŁY podnosi alarm. Natychmiast nadchodzi, powłóczę nogami, praktykant, patrzy najpierw na ZŁEGO, potem na Flinka. Grozi mu palcem wskazującym, niesprawiedliwie oskarżając go o grzebanie przy którymś z kontaktów bananowych. Ustawiwszy ZŁEGO w pozycji „zero” praktykant powraca do swojej rozmowy przy kawie z Emmą.

Próbuję zawołać Emmę, lecz Flink mi przeszkadza, tak że muszę od razu zaprzestać próby. Przecież, nie chodzi mi bynajmniej o to, żeby Flink spełniał rolę pośrednika i czytał moje listy miłosne do Emmy.

— Dlaczego nie chcesz współpracować?! — pyta znowu Flink używając swojej mowy przy pomocy palców. — Popatrz na mnie! Najlepiej traktowanego spośród wszystkich szympansów Biochine. Właśnie dzięki współpracy!

Nie odpowiadam.

— Jesteś oczywiście za durny! — mówi Flink i ciągnie się za oboje uszu, żeby wygląda naprawdę głupio.

Teraz też nie odpowiadam. Nic nie mówię nawet wtedy, kiedy Flink wkłada do akwariium swój czarny palec i szturcha mnie nim. Jedyne pokornie się pochylam. W jednej chwili Flink przeskakuje przez aparaturę, przez kabel elektryczny. Na moment mój

świat wypełnia się gwiazdami i krążącymi słońcami. Kabel przestaje się huśtać i wrażenia wzrokowe odnoszą się teraz do konkretnych rzeczy, takich jak: zapasowy prysznic z lewej strony, pies naprzeciwko i światło dzienne padające z prawej strony. Flink siedzi teraz na DZIELNYM, na którego wskoczył i wypróbujecie gorliwie kombinacje przycisków. Na ekranie przelatują postacie jak pospiesznie przerzucane kartki elementarza. Zatrzymuje się przy obrazku małpy z na wpół obranym bananem. Klepie się po klatce piersiowej, drapie obrazek i powtarza raz po raz:

— Małpa, małpa, małpa...

— Idiota — myślę, co na chwilę odbiera mu mowę.

Natychmiast pożałowałem swojej szczerości. Przecież nie wiem, do czego Flink może się posunąć, jeśli zostanie sprowokowany. Złapanie jakiegoś ciężkiego przedmiotu, statywu czy mikroskopu, i rzucenie nim w akwarium to sprawa chwili.

Lecz Flink robi coś zupełnie innego, zaczyna przebierać palcami po pojemniku z „sokiem radości”, tym, który jest podłączony do DZIELNEGO i zaczyna działać, kiedy udzieli się prawidłowej odpowiedzi. Krzyczę, żeby go powstrzymać... W następnej chwili na moją czaszkę spada chmura z rozpylacza. Wkrótce się z tego otrząsam i wzlatuję w powietrze jak balon z gazem rozweselającym. Instytut, szympan, Emma i praktykant znikają pode mną. Mój mózg rośnie jak chmura w kształcie grzyba po

wybuchu bomby wodorowej i rozciąga się nad niezmierzonymi krainami szczęśliwości.

## 14

Nocą wymieniam z psem swoje doświadczenia. W tej wymianie ponoszę porażkę. Na co miałbym się wymieniać? Pies się tutaj urodził. W kółko mówi o dwóch szczęśliwych okresach w swoim życiu: kiedy był szcenięciem, i o czasie spędzonym w szkole tresury psów. Miał sześcioro rodzeństwa. Matki nie widział nigdy. Najbardziej kocha właśnie ten okres, kiedy był szczeniakiem. Małe spały zawsze w kłębku, wtulone jedno w drugie. Kilka razy o mało się nie udusił, kiedy znalazł się na samym spodzie. Szydzi z zadowoleniem. Nie patrzy na mnie, kiedy opowiada. Gapi się natomiast przed siebie; monolog myślowy bez określonego adresata.

Drugie wielkie przeżycie w jego życiu to szkoła tresury psów. Była duża, co najmniej dwa razy większa niż nasze obecne laboratorium. W szkole znajdowała się wyrzutnia, taka jak ta, którą wystrzeliwuje się rzutki. Maszynę ładowano patyczkami i piłeczkami. Nie był przy tym obecny żaden człowiek. Ładowanie i wystrzeliwanie było sterowane komputerowo. Maszyna nigdy się nie męczyła tak jak człowiek. Kiedyś na Wielkanoc zapomnieli ją wyłączyć.

Przez prawie siedem dni i nocy wyrzutnia pracowała bez przerwy. Orgia aportów.

Milknie i przeżuwa odruchowo. Wydaje się, że ma słabe zęby. Ale przecież ich nie potrzebuje. Śmieje się z czegoś, czego nie zdążyłem sobie przetłumaczyć. Potem kurczy się w swoich rzemieniach. Nie wiem, czy śpi. Otrząsa się z letargu i zaczyna opowiadać o dawnych obchodach. Przez trzy godziny wymieniamy doświadczenia na temat różnych sposobów robienia obchodu. On uważa, że obecnie odbywa się to za szybko. Dawniej tyle rzeczy wykonywało się ręcznie, że personel musiał pozostawać dłużej, czy tego chciał, czy nie. Teraz wystarcza niemal, że wyciągną ręce z kieszeni fartucha.

Nie wiem, jak się odwdzięczę za jego wspomnienia. Mogę chyba coś zmyślić. Opowiadam, że dostałem list od matki. Przyjedzie w odwiedziny. To będzie takie miłe. Lecz obawiam się, że się zmienię. Nie można żądać, żeby mnie rozpoznała. Nie chcę widzieć jej smutnej lub zażenowanej.

Zauważyłem, że pies nie słucha. Nie jest mu wcale potrzebne moje życie. Nakazuję sobie przewodzenie upartej myśli o matce. Drugą półkulą mózgową myślę: jeżeli psu, praktycznie biorąc, brakuje zębów, nie może mi zrobić krzywdy. Mając taką rozciągniętą szyję jak u starego człowieka, mógłby połknąć mnie w całości. To może być uciążliwe i potrwać dłuższy czas. Lecz nie jest gorsze niż narodziny. Jeżeli tylko zejść psu do samego żołądka, wszystko się chyba

ułoży. Po latach drenowania ma w sobie zaledwie resztki żrących kwasów i enzymów. Musi być wyschnięty i ponacinany jak pozbawiony soku mlecznego kauczukowiec. W żołądku psa mogę żyć dalej. Moje jedyne oko będę w stanie — przy odrobinie szczęścia — wydobyć przez przetoki żołądkowe na zewnątrz. Potem wystarczy wymyślić, jak uwolnić psa. Wysłuzone zwierzęta doświadczalne pozostawia się czasem przy życiu. Może udałoby się nam załatwić to tak, że pies mógłby chodzić w ślad za dozorcą przynoszącym pocztę. Pewnego dnia w drodze z poczty do domu, przed południem, kiedy dozorca ma ręce pełne kruchych przesyłek, paczek z próbkami, szklanych płytek do preparatów pod opaskami z papieru — pewnego dnia, kiedy dozorca będzie dreptał w miejscu nie mogąc się zdecydować, czy upuścić wartościowe przesyłki, czy też pozwolić staremu, wycieńczonemu eksperymentami psiemu wrakowi odbiec — uciekniemy! To nie będzie takie proste schwytać psa z mózgiem człowieka.

## 15

Wczoraj byłem u rentgena ciepłego. Do tej pory jest to moja jedyna podróż. Z samej podróży nic nie pamiętam, ponieważ wyłączyli całą aparaturę elektryczną. Podłączyli mnie ponownie w gabinecie. Nie było tam wiele do oglądania. Pokój nie miał okien,

światło było przygaszone. Umieścili mnie w obracającym się bębnie, w którym mierzyli ciepłość różnych części mózgu. Jeżeli używa się na przykład zmysłu słuchu, krew zbiera się w tętnicach skroniowych — można to odczytać przy pomocy rentgena cieplnego. Obecna była przy tym psychiatra. Pokazała mi w czasie prześwietlenia pewną ilość obrazów: sielskie krajobrazy, potrawy, nagie kobiety, torturowanych ludzi i obrazy czysto abstrakcyjne z czworokątami i trójkątami. Czy jestem zdrowy?

Mniej więcej po jednej dobie zaszyły w moim najbliższym otoczeniu duże zmiany. Sporych rozmiarów zielonymi prześcieradłami przykryto ZŁEGO, SYTEGO, TĘSKNOTE i DZIELNEGO. Naprzeciwko mnie pyszni się teraz krajobraz alpejski ze stromymi pochyłościami. Można oczekiwać, że pociąg-zabawka lada chwila wyjedzie, pogwizdując, z wylotu tunelu. Nie dali mi jednak do zabawy żadnego modelu torów. A to byłoby odpowiednie zajęcie. Zamiast tego dostałem kolorowy telewizor. Stoi na ZŁYM, a więc trochę za wysoko, żeby było mi naprawdę wygodnie. Kiedy oglądam telewizję, muszę od czasu do czasu poruszyć stabilizatorami usznymi, żeby uzyskać właściwy kąt widzenia.

Zarówno wczoraj, jak i dziś oglądałem programy dla dzieci. Są pełne fantazji i życia. Na ekranie nie widać prawdziwych ludzi, lecz ruchliwe szmaciane lalki. Lalki te to jaskrawe pończochy, które wkładane



są na dłoń i ramię. Pończochy przedstawiają żabę, koguta, prosię i tak dalej, bawiących się dużymi literami z plastiku i obrzucających się nimi. Chodzi o to, żeby nauczyć mnie literować. Ponieważ jednak to już umiem, zamiast się uczyć, myślę o Emmie. Jeżeli odbiorą mi Emmę, nie będę miał po co żyć.

Gapię się na śmieszne kukielki. Jedna z lalek to monstrum uwielbiające ciastka. Właśnie teraz połyka mikrofon, sądząc, że to jest ciasto. Głęboko wierze, że zje cały telewizor. Wpatruję się uporczywie Monstrum Ciastkowemu prosto w czoło, żeby przekazać swoją wolę. Nic mi nie wychodzi. I to jest normalne, bo program jest nagrany.

Przedwczoraj, w przerwie między dwoma badaniami rentgenowskimi, odkryłem u siebie nową moc: mogę wpływać na zachowanie innych ludzi, a więc nie tylko psów. Od dawna mam chwilami czucie w amputowanych częściach ciała: plecy swędzą, nogi drżą, żołądek głośno daje o sobie znać. Kiedy stygnąłem między jednym a drugim badaniem, zaczęło mnie nagle rwać lewe ramię. Nie przejmowałem się tym. Jednak równocześnie zauważyłem, że technik-rentgenolog ma kłopoty ze swoim lewym ramieniem: gapił się na zginające się ramię i rozczapierzone palce. Czulem się dokładnie tak samo. Wkrótce minęły moje odczucia fantoma, a technik wrócił do swojej pracy. Chwilę później zjawił się w pomieszczeniu sprzątac cudzoziemiec, niewyrośnięty, szczupły mężczyzna o kruczoczarnych włosach. Zaczął nagle tracić równowagę właśnie wtedy,

kiedy poczułem, że moja jedna noga zdrętwiała i całkowicie zeszywniała. To nie mógł być przypadek. Lecz nie jestem zupełnie pewny, kto na kogo oddziaływał, czy to ja sprawilem, że sprzątacze stracił równowagę, czy też ort spowodował, że moja noga zdrętwiała.

## 16

Niedziela. Jak zwykle gapię się na swoje przygnębiające wyniki. Na aparatach naprzeciwko przykleili taśmą paski stanowiące obraz mojej mowy, a więc to, co powiedziałem w poprzednim tygodniu przy pomocy dalekopisu zamontowanego na DZIELNYM. Na paskach jest napisane: GHHJQ700P, MNBV-CXZ, HGH68VT, QWERTYUI9 i SDFTIJLK. Ani razu DZIELNY nie błysnął zielonym światełkiem, żadna wypowiedź nie została uznana.

W niedzielę obowiązuje specjalna rutyna. Obchód odbywa się tylko w razie potrzeby. Lecz opieka funkcjonuje jak zwykle. Ja i zwierzęta musimy dostać jedzenie. Co prawda była podobno, według Emmy, mowa o automatyzacji. Obecnie mamy mikrokomputery, które sterują robotami mogącymi odmierzać przepisowe porcje dokładnie z wybiciem zegara. Lecz laboratorium nie dostało koniecznych środków na tę inwestycję. A więc pojawiają się mniej lub bardziej zrutynizowani pomocnicy, często z różnych

spółek zajmujących się dozorowaniem. Oczywiście zdarzają się pomyłki. Ubiegłej niedzieli zapomniano o moich witaminach z grupy B.

Próbuję nakreślić swoją egzystencję. Uważam, że to jest konieczne, żeby przeżyć. W wolne dni staram się zapanować nad resztą stworzeń, w moim przypadku nad psem, od kiedy przenieśli szczury do zmywalni. Po śniadaniu, kiedy oboje trawimy jedzenie, kieruję swoją uwagę na psa. Próbuję robić to tuż przy jego uchu. Z pozycji, w której się znajduję, widzę podwieszanego psa zawsze z profilu. Może właśnie to jest złe. Kiedy zwracam się do Emmy, spoglądam na jej czoło. Lecz jeśli chodzi o psa, to próbuję oddziaływać na niego patrząc na jego profil, a to mi nie wychodzi najlepiej. Kiedyś sprawilem, że zadrżał i poruszył łapą. Lecz to mógł być przypadek.

Dzisiaj nie jest taka zwykła niedziela: Emma ma dyżur! I nie ma nikogo, kto by nam przeszkadzał. To jasne, że szczury muszą dostać to, co im się należy. Jednak nie ma obchodu, żadnych głupich ćwiczeń literowych, żadnego pobierania próbek; prawie codziennie badają mnie przy pomocy elektroencefalografu. Przypuszczam, że to ma związek z moimi miernymi wynikami w literowaniu. Najpierw odbierałem to jako groźbę. To mogło oznaczać, że w przyszłości mają zamiar mnie unicestwić. Ale właściwie mam pewność, że nie. Krzywe EEG pokazują, że mam większą witalność i jaśniejszy umysł niż kiedykolwiek przedtem. A więc moje nie odróżnianie słów

nie może być spowodowane jakimś upośledzeniem umysłowym.

Emma wraca od ważenia. Zawsze pod koniec tygodnia morskie świnki ze strychu są ważone. Podobno biorą udział w jakimś eksperymencie akustycznym. Jeżeli będą przebywać w ciągłym hałasie, zahamowaniu ulegnie ich wzrost. Emma nic dokładnego o tym nie wie, ale to i owo można przecież wyjaśnić samemu. Kiedy Emma przychodzi, zajmuje się najpierw psem. To nie wzbudza specjalnie mojej zazdrości, bo wiem, że później podejdzie do mnie.

Pies ma na chwilę zostać uwolniony z rzemieni. To się dzieje po raz pierwszy, od kiedy tu jestem. Emma zaczyna od wyciągania nasadek wężyków i wsadzania tamponików waty do zakończeń krótkich wężyków, które zwisają z psiego brzucha. Wisi tam tuzin brązowych zatyczek stanowiących zakończenie wężyków — to nadaje psu odświętny wygląd. Kiedy podnosi nos i obwąchuje laboratorium, zupełnie przypomina świętą rzymską wilczycę, która karmiła mlekiem Romulusa i Remusa.

Kiedy Emma zmierza w moim kierunku, pies idzie bojaźliwie w ślad za nią na szeroko rozstawionych łapach, zataczając się. Jest coś przerażającego w gorącym przywiązaniu zwierząt doświadczalnych, które nigdy nie przestają kochać swych dręczycieli. Emma zaparza neskę, przysuwa taboret i siada na nim. Opiera brodę na łokciu i patrzy na mnie w ten sposób, jak gdyby wyglądała przez okno.

- Jak się wabi pies? — pytam.
- Najpierw odpowiedz na jedno pytanie! — To zależy, czy...
- Ipsylon, dlaczego nie chcesz współpracować?!
- Teraz z kolei ty musisz najpierw odpowiedzieć na inne pytanie!
- Na jakie?
- Kto dostał kapturek, który robiłaś na drutach na dzbanek do herbaty?
- To była czapka.
- Więc kto ją dostał?

Ta wymiana zdań do niczego nie doprowadziła.

Ona rozmyśla. Ja wpatruję się uparcie prosto w jej czoło. Ponieważ mogę jej przekazywać swoje myśli, dlaczego nie mógłbym również czytać w jej myślach, dokładnie tak samo jak w myślach psa? Dałoby mi to nadzwyczajną władzę. Jednak nie władzy pragnę, lecz miłości. Dopiero wtedy, gdy nie zdobędę miłości, będę chciał władzy. Jeżeli nie można kochać, to można w każdym razie nienawidzić.

— Jeżeli nie będziesz miły, nie mam zamiaru głośno czytać — mówi.

Teraz Emma ma przewagę. Tak bardzo chciałbym, żeby przeczytała mi jakiś fragment. Strumień informacji tu, w akwarium, nie jest przecież taki, jaki powinien być. Nie mogę jednak powiedzieć, jak wygląda sytuacja w odniesieniu do moich złych wyników w czytaniu i literowaniu. Ona może plotkować

lub w każdym razie przejrzeć się. Mówię nie całą prawdę:

— Bo nie chcę! — stwierdzam — Nie można się niczego nauczyć, jeżeli się nie chce!

Ona wygląda jak smutny buldog; bezradnie kiwa głową. Od razu zauważyłem, że rozumie sytuację i zadowoli się połowiczną odpowiedzią.

— Okey, Ipsylon. Będę więc czytać. Ale nie mam zamiaru powiedzieć, kto dostał czapkę!

Dostałem za swoje. Kiedy wyjmuje pocztowy katalog zamówień, pies siada grzecznie z pyskiem na jej kolanie. Wolałbym oczywiście, żebyśmy zostali sami. Lecz pies odczuwa widocznie równie silnie jak ja potrzebę lepszego traktowania.

Emma czyta w pocztowym katalogu zamówień:

— „«Wydra» — kanadyjka z włókna szklanego. O dużej pojemności, przestronna, o ładnym kształcie. Odpowiednia wysokość stewarty sprawia, że jest bardziej odporna na działanie wiatru. Bardzo obszerny pokład i zwrócone do środka stętki. «Wydra» jest niezatapialna dzięki ruchomym elementom na stałe zamontowanym w stewartach. Ma również dwie wodoszczelne przegródki, które stanowią dobry schowek dla sprzętu fotograficznego i innych rzeczy, które zamierzacie przechowywać w stu procentowo wodoszczelnym miejscu...”.

Oboje z psem przytaknęliśmy. Pies z oddaniem zawisł spojrzeniem swoich krowich oczu na wargach dziewczyny. Na pewno wolałby posłuchać raczej o

sztucznych kościach dla psów i łakociach dla ryb wysuszonych pod ciśnieniem, a temu chciałbym za wszelką cenę zapobiec:

— Czy nie mają w tym roku wyprzedaży? — przekazuję swoją myśl.

— „Okazyjna wyprzedaż: potrzebujemy miejsca dla wszystkich nowości, dlatego upłynniamy zapasy po wyjątkowo niskich cenach. Narty skokowe i biegowe. GL 01 Fischer Europa Racing. Narty z włókna szklanego z rdzeniem z topoli. Model roku z powłoką z mikroporami. Cena wyprzedaży...”.

— Czy nie ma nic dla starego leśnego włóczęgi?

— „Skafandry. Być zadowolonym ze swojego życia na wolności oznacza między innymi być odpowiednio ubranym. Nie marznąć lub nie być przemożonym. Nie pocić się nadmiernie. Rzeczy powinny być praktyczne. Klasycznym ubraniem do „narzucenia” w czasie odpoczynku lub wędrowki podczas przejmującego wiatru jest skafander...”.

— Co proponują?

— „Fjellsikker, norweski skafander ze znanego domu handlowego UDIS kosztuje dwieście osiemdziesiąt pięć”.

— Czy możesz go dla mnie zamówić??

— Przecież nie masz pieniędzy. Ipsylon!! Czy mam buchnąć dwieście osiemdziesiąt pięć ze składek na kawę?

Pies jest już zmęczony i z powrotem zostanie zawieszony na rzemieniach. Emma odkłada na razie

pocztowy katalog zamówień. Zanim odchodzi z psem, pytam surowym tonem:

— Kto dostał czapkę, Emmo?!

## 17

Na kilka dni pies zniknął. Zdjęli też kolebkę z miejsca, w którym wisiał. Nie ma wężyków. Zniknęła również duża blaszka w kształcie rewolweru umieszczona pod spodem, która stopniowo doprowadzała nowe retorty napęliające się sokiem żołądkowym. Wyobrażam sobie, że pies już swoje odsłużył, że chodzi w ślad za dozorcą lub może drecze za którymś z pracowników administracyjnych idącym po wiedeńskie ciasto do kawy. Obawiam się trochę, że pojawi się nowy pies. Młodszy, o ostrych zębach, niecierpliwy, niemający wspomnień, które mógłby opowiadać. Teraz, kiedy nie ma już starego psa, przebaczyłem mu jego uzewnętrznianą ciągle, jak u emerytów, niemającą granic miłość własną.

Dziś wieczorem pies wrócił na swoje miejsce! Leżałem pogrążony w swoich teoriach dotyczących stworzenia świata. Odkryłem powrót psa dopiero wtedy, kiedy Emma zapukała na pożegnanie w szkło akwarium. Pies już nie wisi w swojej kolebce, lecz stoi na podłodze. Widać tylko łeb i przednie łapy. Stoi tak całkiem spokojnie. Musi mu brakować kolebki. Na początku była dla niego nieznośna jak kaftan



bezpieczeństwa, lecz z latami pokochał ją jak starą wersalkę.

Wypróbuję od razu swoje siły. — Porusz łapą! — wyrzucam z siebie gorliwie, tryskając energią jak świeżo upieczony telegrafista. Lecz pies się nie rusza. — Podnieś ucho, porusz okiem! — Żadnego znaku życia. Podwajam swoje wysiłki. Jeżeli tylko, chociaż minimalnie, zdołam wywrzeć wpływ na psa, to oddziaływanie może się zwiększyć w ciągu miesiąca. W przyszłości pies może stać się moim wiernym sługą. Będę mógł zrealizować swój plan ucieczki. Kiedy tylko stanie się to możliwe, spróbuję namówić Emmę, żeby zamówiła przez pocztę kanadyjkę.

Nadszedł ranek. Przyszła Emma. Wydaje mi się, że się spieszy i chichocze. Wciąż próbuję zamienić z nią choć słowo. Nie ma czasu. Nie zwraca też uwagi na moje jedzenie. Dostaję podwójną porcję jedzenia i za mało cynku. Ona zajmuje się psem. Tuż przed obchodem okrywa go prześcieradłem. Potem maluje sobie usta chichocząc. Personel z obchodu też nie zachowuje się tak jak zwykle. Profesor ma goździk zatknięty w klapie fartucha. Stają przed psem. Praktykant drepcze w miejscu, jakby odczuwał potrzebę oddania moczu. Nagle docent zrywa z psa prześcieradło. Profesor śmieje się. Podnosi psa i obejmuje go. Lecz ten nie reaguje. Jest sztywny jak kukła.

— Emma! Emma!

Ona przedziera się wśród wychodzącego już personelu i całuje szkło akwarium.

- Co się stało z psem?!
- Tylko się nie martw, Ipsilon. Pies był stary i wyniszczony. Szef kończy dzisiaj sześćdziesiątkę. Nie można było wpaść na lepszy pomysł niż dać mu w prezencie wypchanego psa. Oni przecież współpracowali przez czternaście lat.

## 18

Odbywam swoją drugą podróż. Moje akwarium ustawili na biurku psychiatry dwaj sapiący dozorczy. Najpierw umieścili mnie — zakładam, że z dawnego przyzwyczajenia — na skórzanej wersalce psychiatry. Jak tylko weszła do pokoju, wydała polecenie, żeby mnie postawiono na biurku. Teraz trzyma na kolanach książkę dla głuchoniemych i próbuje porozumieć się w języku migowym.

- Jak się masz? — kreśli w powietrzu.

Co mam powiedzieć? Nie mam członków, za pomocą których mógłbym dać znak. Gdyby wybrała alfabet Morse'a, mógłbym użyć swoich uszu pełniących funkcję warg, zasygnalizować długie lub krótkie znaki. Kiedy rozmawiałem z szympansem, przekazywałem odpowiedzi wprost do jego czoła. Lecz teraz tak nie chcę. Mądrze będzie poczekać trochę z ujawnieniem tej zdolności.

- Wydajesz się przygnębiony...

To zupełnie normalne. Zabrali mi przecież mojego towarzysza z sali, psa. Co gorsza, pamiętam, że

nie pierwszy raz mi kogoś zabierają. Jestem bardzo nieufny, jeżeli chodzi o moje wspomnienia. Wiem przecież, że odmagnetyzowali moją pamięć, pozostały jednak we mnie jakieś zaciemnione obrazy; obrazy, które muszą być wspomnieniami. W przeciwnym wypadku nie byłbym tak poruszony. Pamiętam: leżę w łóżku. Nie, to nie jest zwykłe łóżko, lecz respirator. Jestem całkowicie podporządkowany rytmowi maszyny. Próbuje się rozluźnić i pozwolić respiratorowi oddychać za mnie, lecz przez cały czas huczy mi w czaszce: pomyśl, jeśli nadejdzie wybawienie!

Teraz pamiętam: przy respiratorze siedziała kobieta. To była ta sama kobieta, która trzyma teraz na kolanach książkę dla głuchoniemych i przewraca kartki swoimi chudymi palcami. Lecz kiedy siedziała przy respiratorze, nie przewracała ich, Wtedy mówiła mi prosto do ucha. Spotykaliśmy się wiele razy. Wiedziała wszystko o moim życiu. Bardzo się wszystkim przejmowała. Pewnego wieczoru zwróciła się do mnie z propozycją, pamiętam każde słowo: — Możemy cię uwolnić od twojego ciała — powiedziała. Chciałem od razu się zgodzić, lecz powstrzymała mnie. Pragnęła, żebym dokładnie przeanalizował sytuację. Odbyliśmy chyba dziesięć rozmów, zanim zaakceptowała moją zgodę.

— Czy to złe wspomnienia cię męczą? — wydobywa z siebie po wielu próbach. Gdyby Flink był tu jako tłumacz, moglibyśmy porozmawiać znacznie swobodniej.

Teraz nie chcę pamiętać niczego więcej. Absolutnie nie chcę pamiętać, jak i dlaczego znalazłem się w respiratorze. Pozwoliłem im, żeby mnie wyjęli, to znaczy mój mózg, z mojego bezużytecznego ciała i umieścili w akwariium. Wiem, że powinienem być wdzięczny.

— Daj mi znak... — prosi ona.

Lecz ja potrząsam gwałtownie głową. Poruszając się w odwrotnym kierunku niż moje stabilizatory uszne, zacząłem wykonywać ruchy wahadłowe. Wstrząsy się tylko zwiększają, nie mogę ich zahamować. Woda faluje. W końcu psychiatra opuszcza ręce, na których nie ma rękawiczek, żeby mnie uspokoić.

Następnie wychodzi z pokoju. Gapię się na małe jeziorko wody, która rozlewa się na podkładkę na biurko, wsiąka w kalendarz i w końcu tworzy odnogę rzeki, która może zmienić położenie podstawki do piór.

Kiedy wraca z profesorem, jestem zupełnie spokojny. On patrzy na mnie przez szkło powiększające, które nosi na czarnym sznurku związanym na szyi. Z wielkim napięciem śledzę jego ruchy. Kiedy mówi, odwraca się profilem, co sprawia, że mogę czytać tylko z ruchów prawych połówek jego warg. Mimo to wiem, jak brzmi zlecenie: nowe elektrowstrząsy.

Odświeżam trochę moje ostatnie wspomnienie: wchodzi kobieta w czerni. Psychiatra wstaje i wita się. Następnie szybko wychodzi z pokoju, a kobieta

w czerni siada na brzegu łóżka. Dotyka mojej twarzy, lecz tego nie czuję.

## 19

To nie może być oddział elektrowstrząsów. Znajduję się w środku ogromnej, obracającej się metalowej kuli. Jej wnętrze połyskuje stalowo. Kula jest pokratkowana cienkimi, czerwonymi liniami, które dzielą ją na stopnie długości i szerokości geograficznej. Widzę swoje lustrzane odbicie przepływające między kratkami. Nie spoczywam już w wodzie, lecz w powietrzu, w stanie całkowitej nieważkości. Kula jest wirówką próżniową.

W lustrze widzę, że powiesili na mnie parę magnesów, jakby małe trąbki akustyczne. Mają za zadanie odpychać mnie od stalowej ściany. Podczas kiedy metalowa kula wiruje z dużą szybkością, czerwone linie pozostają w niezmiennym położeniu. Nie są namalowane bezpośrednio na kuli, lecz tworzą siatkę wewnątrz.

W lustrze nerwy czaszkowe stają dęba jak rozchodząca się aureola. Jestem z grubsza podobny do obrazu w ołtarzu z trójkątnym okiem Boga otoczonym złotymi promieniami. Unoszenie się daje mi odczucie wielkiego szczęścia. Czuję się wszechmocny. Powoli wykonuję pętle w powietrzu. Każdą zmianę położenia odczuwam w komorach mózgowych,

w moich wewnętrznych poziomicach. Następnie układam się w centrum kuli. Tak to się musiało odbywać, kiedy powstawał świat: szybko wirująca pustka wokół złocistej wiązki energii.

Gdybym mógł mówić, kazałbym literom i słowom opuścić moje wargi. Ułożyłyby się dokoła mnie w orbity planetarne. Potem wysadzilibyśmy w powietrze centryfugę i zajęlibyśmy puste jeszcze Uniwersum. Poszukam sobie odpowiedniego miejsca zamieszkania. Niekoniecznie w szumie dębu, raczej w zróżnicowanych szparkach między włoskami kosmówkowymi liści. Nie potrzebuję już ani ciała, ani mózgu. Będę swobodnie się unosił w powietrzu. Najczęściej przyjmuję formę skondensowaną, podobnie jak rój pszczół skupia się wokół chronionej przez siebie królowej. W razie potrzeby skurczam się do wielkości jądra komórki lub wyteżam myśli do granic możliwości pośród ciał niebieskich. Innym razem zmniejszam się do wymiarów cienkiej przesyłki, nie grubszej niż papier ryżowy w blaszanych pojemniczkach gołębi pocztowych. Noc spędzam w bibliotece. Wciskam się przez okładki i papier, i kładę się między kartkami. Pozostaję tam jak garść opiłków żelaza między kombinacjami liter.

Następnego dnia wyrzucam z siebie opowiadanie, nocuję w magnetofonie lub pajęczej sieci. Czasami przebywam w powietrzu, kiedy indziej pomiędzy kłującymi antenami żytnich kłosów. Zimnym popołudniem wślizguję się między cynkowe płytki zwykłego

akumulatora samochodowego. Bardzo lubię wodę. W płynie czuję się pewniej niż w liliowej poświacie, która spowija drogi mleczone. Przede wszystkim nie chcę być traktowany jako coś skończonego, absolutnego. Wolę być propozycją, nierozważnym słowem, które wokół rozbrzmiewa, czarnym, wysuszonym pod ciśnieniem proszkiem myśli lub nieskończenie pięknym, białym pyłem po odległej detonacji.

Lecz dalej istnieję w dotychczasowej formie, jestem więźniem w błyszczącej kuli, która obraca się coraz wolniej, jak karuzela po końcowym dzwonku. Siła ciężkości staje się znów odczuwalna: opadam. Pochwycili mnie, zanim się rozbiłem. Operator szepcze mi do ucha:

— Po elektrowstrząsach nic z tego nie będziesz pamiętał.

## 20

Dziś wieczorem jest przyjęcie gwiazdkowe. Emma nie poszła po pracy do domu. Wielu znajomych oraz nieznanym mi ludzi przebywało w laboratorium lub w jego pobliżu po południu i wczesnym wieczorem. Właśnie przed chwilą Emma zamknęła się tu i przebrała. Uroczysta chwila dla opowiadającego! Dżentelmen bez powiek nie może — mimo najlepszej woli — zamknąć oczu.

Teraz oni jedzą. Kiedy się koncentruję, mogę wyraźnie rozróżnić w eterze przeżuwanie, pracę szczęk

i różne sygnały nerwowe przekazywane do rozmaitych organów trawiennych. Sygnały się nasilają. Mnie również zaczyna trochę skręcać w jelicie. Emma opowiedziała mi o prezentach gwiazdkowych. Jednak tylko ogólnie. Nie chce ujawnić, kto dostanie zrobioną na drutach czapkę.

Zaczęły się tańce i Emma przysła tu, do laboratorium, żeby zwymiotować. Siedzi na taborecie odchyłona do tyłu, łokciami opiera się o ławkę. Głowę ma odrzuconą w tył, suknię rozpiętą pod szyją, a usta szeroko otwarte. Zmusza się i z trudnością odycha, jak w bólach. Kilka razy robi przerwę, podnosząc się ze stołka, po czym znów z trudem łapie powietrze. Pot spływa jej z czoła. Nagle podrywa się z ręką na ustach i klęka przy ścieku pod zapasowym prysznicem. Bezsilny męczę się nie mogąc się ruszyć — chcę wstać i ochłodzić ręką jej czoło.

Zamiast tego wchodzi praktykant. Ciągle ma na sobie czapkę gwiazdora, chociaż jest już po rozdaniu gwiazdkowych prezentów. W jednej ręce trzyma szklankę z grzonym winem, w drugiej garść pierników. Kiedy mnie zobaczył, rażno skinął głową i podszedł do mnie. Mruga znacząco i pochyla w stronę akwarium świnkę z piernika. Wiszę wzrokiem na jego wargach, żeby usłyszeć „Wesołych Świąt”. Lecz on nic nie mówi, tylko chichocze porozumiewawczo, jak do kogoś niedorozwiniętego umysłowo. Potem dyskretnie opuszcza pomieszczenie, zwróciwszy uwagę na Emmę klęczącą w głębi przy natrysku.



Przeleciało trzydzieści minut jedna za drugą jak confetti na wietrze. Emma dźwiga się stopniowo ze swojego poniżenia: spluwa, splukuje, płucze gardło, myje się, czesze, zapina suknię, maluje usta i usuwa sztuczne rzęsy, które odkleiły się w kącikach oczu. Podchodzi i siada przy mnie. Wkrótce jej czoło opada w zagłębienie łokcia. Głowa układa się wygodnie i dziewczyna zasypia pochylona — jak gdyby oddawała pokłon opartej o akwarium śwince z piernika. Pozwalam jej przez chwilę spać bez żadnych snów. Potem przenikam do jej ciemnej czaszki wypełniając ją obietnicą złota i delikatnych tkanin. Zaczęłam jednak trochę za gwałtownie: ona budzi się z drżeniem i patrzy nieobecny wzrokiem najpierw na świnkę, a potem na mnie. Czyżby świnka zdążyła już zaproponować jej coś bezwstydnego?

Praktykant wraca trzymając w każdej ręce kubek z kawą. Siada tuż przy Emmie. Dzielą się świnką. On szybko zjada swój kawałek, podczas kiedy Emma nieostrożnie macza jej zadek, aż zupełnie nie rozpuści się w kawie.

— Czujesz się... lepiej...? — pyta praktykant; ma resztki jedzenia w kącikach ust.

— Wypiłam tylko pół szklanki grzanego wina — mówi Emma.

Oboje siedzą w milczeniu z głowami opartymi na rękach., jak stara, spracowana para małżeńska przy kontuarze barowym. Chronometr na ławce za nimi wciąż przypomina: 23.01,44, 23.01,45, 23.01,46...

Gdybym miał odpowiednie warunki fizyczne, wyrzuciłbym tego mężczyznę i wciągnąłbym dziewczynę tu, za kontuar. Z tyłu spraw chciałbym jej się zwierzyć.

Teraz po praktykanta przyszła psychiatra. Wcisła się między nich z gałązką jemioli, którą macha im nad głowami. Kiedy nie udaje się jej doprowadzić do tego, żeby się pocałowali, ciągnie praktykanta do tańca.

Nareszcie sami.

— Emma, chciałbym ci o czymś opowiedzieć...

Skinęła sennie głową, wkrótce się jednak opanowała i wlała w siebie zimną kawę. Uśmiechnęła się złośliwie na widok pokruszonego piernika.

— Chodzi o ćwiczenia w czytaniu — przekazuję jej do czoła.

— Źle słyszę — robi ruch wargami.

— Ćwiczenia w czytaniu. Ta szkółka, do której próbują zmusić mnie naukowcy.

— Masz na myśli DZIELNEGO?

— Właśnie. To głupie przekazywanie mi obrazu i skłanianie mnie później do powiedzenia litery M przy pomocy alfabetu Morse'a.

— O co chodzi?

— Przecież pytałaś o to wiele razy: dlaczego nie chcesz współpracować.

— A więc umiesz czytać?

— Oczywiście. Jeżeli naukowcy wykładają miliony na spreparowanie mózgu żyjącego w akwarium nie będą wybierać analfabety.

- Można się było domyślić.
- Właśnie.
- Ale opowiedz, Ipsilon — robi senny ruch wargami.
- A więc to tak: jeżeli odpowiem prawidłowo, jeśli zasygnalizuję M, kiedy pokażą mi małpę, czy wiesz, co się wtedy stanie? Dostanę trochę „soku radości” z tego pojemnika, który jest podłączony do DZIELNEGO.
- Tak?
- A czy wiesz, jak się wtedy człowiek czuje?
- Dumnie.
- Właśnie.
- Czy nie chcesz czuć się dumny?
- Tak. To znaczy nie. Nie chcę być zależny, pojmujesz? Nie chcę być związany z tym, „sokiem radości”, tęsknić za nim, nie chcę czuć się dumnie na ich warunkach, pojmujesz?
- To chyba nie powoduje uzależnienia. Profesor przywiązuje wagę do czegoś takiego.
- Tak, lecz jeszcze nie rozumiesz! Pewnego pięknego dnia nie będą już potrzebowali nawet „soku radości”! Pewnego pięknego dnia stanę się tak uzależniony, że ledwo pokażą mi małpę i będę miał na języku literę M.... poczuję się dumny wyłącznie dzięki sobie samemu!
- Wspaniale!
- To nie jest wcale wspaniale. Czuję się oszukany, pojmujesz!?

— Zastanawiam się, czy mimo wszystko nie jesteś trochę niewdzięczny...

— Nie, Emmo! Musisz zrozumieć. Jedynie do ciebie mam zaufanie. Musisz to pojąć! Przecież oni, do diabła, mogą zacząć mną manipulować w każdy sposób. Mogą wyskoczyć z innym obrazem, z czymś zawiłym matematycznie, czego nigdy nie będę umiał rozwiązać. I za każdym razem, kiedy poddam się indagowaniu, poleją mnie czymś, co wywoła strach lub spowoduje, że narobię pod siebie! Nie chcę być niewolnikiem chemii!

— Czyż w rzeczy samej wszyscy nie jesteśmy niewolnikami...?

To jasne, ona ma rację. Jeżeli człowiek wychodzi z materialistycznego punktu widzenia, to dochodzi do wniosku, że życie duchowe nie jest niczym innym niż fizyką i chemią. Lecz jednak się myli: w praktyce precyzyjne mechanizmy są przed nami ukryte, co pozwala nam odbierać siebie samych jako względnie wolne i samodzielne indywidua.

— Nie martw się, Ipsilon. Dla mnie nie jesteś maszyną! Dla mnie jesteś...

— Czym?

— Dokładnie takim samym człowiekiem jak wszyscy inni!

— Naprawdę?

— Co najmniej. Jesteś faktycznie również moim kolegą.

— Niczym więcej?

— Nie wygłupiaj się.

Przez chwilę patrzymy sobie głęboko w oczy, potem ona zaczyna się szeroko śmiać. Najbardziej ją lubię, kiedy jest wesoła.

— Wiesz co, Ipsilon?

— Co?

— Szkoda, że to nie pora kąpieli. Chciałabym cię wykapać, później położyć na ręczniku i przez długą chwilę trzymać na kolanach. Później bardzo ostrożnie bym cię wytarła.

## 21

Oglądam film. W pokoju jest półmrok. W przejściu między stołami laboratoryjnymi wisi na stojaku ekran projekcyjny. Film jest kolorowy, lecz nieostry, przejawiony i niewyraźny. Nie jestem sam w pokoju. Po lewej stronie siedzi młody człowiek w rozpiętym kitlu, a na ławce obok niego — szympan w białym fartuchu rozpiętym od góry do dołu. Razem oglądamy film.

Film przedstawia pewien eksperyment naukowy. Na wstępie kamera pokazuje w ujęciu perspektywicznym jakieś laboratorium z różnym sprzętem elektronicznym. Daje obraz dygestorium, w którym stoi podłużny pojemnik ze szkła napełniony wodą. Z daszka dygestorium prowadzą w dół do pojemnika długie pasma cienkich przewodów elektrycznych.

Mężczyzna w białym kitlu siedzi teraz po mojej prawej stronie, grzebie w przewodach. Na filmie następuje gwałtowny przeskok w czasie: mężczyzna ma w rękach ręcznik, spoczywa na nim różowożółta bryła, którą zbliża do kamery. Nie można zidentyfikować tego przedmiotu. Jest z grubsza biorąc podobny do farszu wieprzowego w kilogramowym plastikowym opakowaniu.

Nowa scena: znajdujemy się w małym, ciasnym pomieszczeniu. Na środku stoi prycza z gumowym, nadmuchiwanym materacem. Prycza jest wąska, ma rzemyki do przywiązywania rąk i nóg. U jej wezłowia znajduje się żółta blaszana skrzynka na wysokich nóżkach na kółkach. Na wierzchu skrzynki umieszczonych jest parę stolików na instrumenty. Na haku wisi coś, co wyglądem najbardziej przypomina parę solidnych, czarnych trąbek akustycznych. Mężczyzna z ręcznikiem staje nagle u wezłowia pryczy. Kładzie na nią tę żółtoróżową bryłę. Następnie bierze do ręki plastikową butelkę z siteczkiem, jakiej używa się przy prasowaniu koszul, i polewa bryłę płynem. Inny mężczyzna w białym kitlu stoi przy żółtej skrzynce. Wydaje się podenerwowany i podniecony. Trzyma w rękach czarne, pokaźne słuchawki. Na drugim planie jest ledwo widoczny szympan, który stoi na palcach przy okrągłym metalowym taborecie.

Podenerwowany mężczyzna nakłada na bryłę trąbki akustyczne. Prowadzi od nich do blaszanej

skrzynki czerwony i czarny przewód. Do pokoju wchodzi starszy mężczyzna. Jest spokojny i uprzejmy. Pozdrawia dwóch pozostałych, drapie szympansa po głowie i pochyla się nad bryłą z trąbkami akustycznymi, sprawdzając, czy dobrze siedzą. Poklepuje bryłę szybkimi ruchami.

Obraz żółtej, blaszanej skrzyni z bliska. Znajduje się na niej obrotowy wyłącznik prądu, który można ustawić w dwóch położeniach: „on” i „off”. Ręka spokojnego mężczyzny przekręca czarny wyłącznik prądu z położenia „off” na „on”. Kadr z bliska bryły z nałożonymi na nią trąbkami. Powierzchnia bryły na przemian drży lub powoli faluje. Czynności te powtarzają się trzykrotnie. Na ekranie pokazywany jest również amperomierz, którego wskazówka szybko wychyla się w prawo, żeby później leniwie i opornie wrócić do pozycji wyjściowej. Ostatni obraz pokazuje młodego człowieka stojącego u wezglowia kozetki, który uśmiecha się, pokazując znak „v”.

Film się skończył. Zapalono światło. Usunięto ekran. Projektor filmowy, który stał tuż przy mnie, zapakowano do skrzynki z białego frygolitu. Wszyscy opuścili pokój oprócz starszego, spokojnego, sympatycznego mężczyzny. Stoi teraz dokładnie naprzeciw mnie trzymając za rękę szympansa. Szympanś spogląda wiernymi oczyma w górę, na twarz mężczyzny, żując jednocześnie marchew.

Mężczyzna pochyla się nade mną wykonując powolne, przesadnie dokładne ruchy wargami. Próbuje

się skupić. Idzie mi to z trudem. Wiem, że on chce mi coś powiedzieć, lecz nie umiem tego prawidłowo rozszyfrować. W końcu mężczyzna podnosi szympansa, trzymającego teraz w kąciku ust marchew wyglądającą jak grube cygario i dającego znaki rękami. Próbuję zinterpretować te znaki. Właściwie wiem, co one oznaczają, lecz trudno mi zestawić je w słowa, tak jak od dawna emerytowanemu oficerowi marynarki trudno jest odczytać informacje sygnalizowane flagami. Nagle mężczyzna spuszcza szympansa na podłogę i zaczyna grozić mu uniesionym palcem wskazującym. Małpa odbiegła truchtem w poczuciu winy i wspięła się na metalowy stojak. Siedzi tam teraz dając się. Mężczyzna znów się nade mną nachyla robiąc grymas wargami. Sądzę, że mówi:

— Czy mnie poznajesz?

Poznaję twarz, lecz nie potrafię bliżej jej umiejscowić. Powtarza pytanie, a ja chcę odpowiedzieć, lecz nie bardzo wiem jak. Wykonuję kilka ruchów uszami — nie wiedziałem, że umiem ruszać uszami — tak jakbym kiwał potakująco.

Mężczyzna również kiwa głową w odpowiedzi, nachyla się jeszcze bardziej i mówi:

— To mnie nazywają profesorem. Lecz właściwie mam na imię George.

Potakuję dygając i staram się zapamiętać imię. Odczuwam ból, kiedy próbuję sobie coś przypomnieć. Czuję się całkiem zdezorientowany, jakbym uderzył o ścianę.



— Jutro poczujesz się lepiej — mówi mężczyzna, który nazywa się George.

Podchodzi do mnie młoda kobieta i uśmiecha się. Ma wąski nos i pełne usta. Pochyliła się nade mną, mówiąc:

— Cześć, to ja jestem Emma. Chociaż teraz tego nie pamiętasz po elektrowstrząsach.

Emma i George — postanawiam zapamiętać ich imiona. Sam również chciałbym zadać tej parze kilka pytań. Lecz nie jestem w stanie przewidzieć, do czego by to doprowadziło. Czuję się tak, jakbym miał usta. Po chwili wydaje mi się, że usta zostały zdmuchnięte. Tylko letnia woda spływa po podniebieniu.

George — czy nie tak się nazywa? — znów coś mówi. Nie rozumiem co, więc musi powtórzyć:

— Dzielny — mówi i puka zachęcająco palcem w akwarium.

Zapamiętuję to. Ponieważ on ma na imię George, a kobieta... Mama?, więc zgodnie z metodą wykluczeń Dzielnym muszę być ja.

Kobieta zanurza maleńką pipetkę i nabiera trochę płynu.

— On ma teraz poniżej 200 IQ — mówi do Georges.

Nie obchodzą mnie ich obliczenia. Zamiast tego próbuję nauczyć się na pamięć swojego imienia: — Nazywam się Dzielny — powtarzam co chwila sam do siebie.

Sądzę, że nigdy nie poznamy swojego wyglądu. Każdy z obrazów pokazujących nas samych wydaje się zafalszowany. Pokazali właśnie film o tym, jak poddawany byłem czterokrotnie elektrowstrząsom. Po trzech ostatnich razach George powiedział:

— Musisz pogodzić się z tym, że to jesteś ty.

Tak chciałbym się z tym pogodzić. Lecz jednocześnie nie chcę być nieuczciwy. Nie mogę zrozumieć, że ta szaroróżowa, pomarszczona bryła na filmie to miałbym być ja. Odczuwam to jako coś bardzo żalnego.

— Popatrz na mnie — mówi George, podwija rękawy i rozpina się pod szyją, tak że widać mu klatkę piersiową. Lecz jakie właściwie ma to znaczenie?

Rozmawiamy ze sobą przez aparat, który stoi obok mnie pod kątem 90 stopni w stosunku do mnie, więc przez cały czas mogę śledzić go kątem oka. Aparat składa się z ekranu, na którym widoczne są usta. Kiedy pomyślę słowo „cześć”, usta układają się ze śmieszną przesadą: „CZCZCZCZEEEEEŚŚŚĆĆĆĆ”. Jeżeli chcę, to mogę rozmawiać sam ze sobą. Kiedy się rano budzę, mogę powiedzieć: „Cześć, stary kaloszu!”. „Kalosz” jest jednym z ćwiczonych słów. Zachęcany jestem do ćwiczenia w każdej wolnej chwili. Układanie warg w słowo „kalosz” idzie mi już lepiej niż George'owi — lecz porównanie jest oczywiście trochę niesprawiedliwe:

ja mam dostęp do elektroniki, podczas kiedy George musi się ograniczyć do swoich starych, zwykłych warg.

Kłopotliwe jest to, że George musi przez cały czas odwracać głowę. Kiedy do mnie mówi, jego usta muszą znajdować się dokładnie naprzeciw mnie. Konieczne jest, bym widział oba kąciki jego ust. Natomiast kiedy ja mówię, George jest zmuszony odwracać głowę na bok. Inaczej nie widziałby ekranu. Zaproponowałem więc, żeby ustawiono dwa ekrany: jeden duży, na ławce przede mną, na którym mógłbym odczytywać swoje własne wypowiedzi oraz drugi, mały, który stałby obok mnie i na którym mógłby czytać personel, nie odwracając ode mnie wzroku. Lecz to jest niemożliwe z powodu kosztów.

— Jednak lustro nie kosztuje chyba tak wiele?

Szukają teraz lustra. Poszła po nie kobieta, która ma na imię nie Mama, lecz Emma. W tym czasie George wypytuje dalej:

— Gdybym pokazał ci twoje serce i powiedział: to jesteś ty, zaprzeczyłbyś?

Co się odpowiada na takie pytanie? Oni mogą przecież tutaj skonstruować wszystko: serce, nerki, wątrobę, płuca. W jaki sposób mógłbym się rozpoznać?

— Masz uprzedzenia, Dzielnny — mówi na to George. — Po co kurczowo trzymać się twarzy? Założmy, że wszyscy ludzie mieliby na szyi zamiast

twarży serce, tę brunatno-czerwoną, pulsującą bryłę. Dość szybko stwierdzilibyśmy, że nasze serca nie są identyczne. To dokładnie tak samo, jak w przypadku Chińczyków, Dzielny. Ktoś, kto był w Chinach, przestał uważać, że wszyscy Chińczycy wyglądają podobnie.

— Czy byłeś w Chinach?

Jest niezadowolony, kiedy odwraca się twarżą do mnie po odczytaniu tego pytania.

— Jak się właściwie czujesz, Dzielny? Zaczynam się zastanawiać, czy nie zaaplikowaliśmy ci o parę elektrowstrząsów za dużo. Masz przecież o wiele niższy poziom inteligencji niż normalnie. Czy rzeczywiście odczuwasz, że twój IQ wynosi tylko około trzysta?

— Uczciwie mówiąc, nie.

— A czy nie czujesz, że wzrasta?

— O mały kroczek dziennie, czasami o dwa.

George'owi trochę trudno odczytać słowo „kroczek” na ekranie pokazującym ruchy warg. Nie ma rutyny w czytaniu z ruchów warg.

— O milimetr — poprawiam się.

Teraz wchodzi Emma z lustrem. Odnoszę się do niej w sposób trochę wyczekujący; wydaje się taka bliska, lecz jednocześnie tak daleka. Czy znamy się ze szkoły? Przy okazji zapytam. Emma lepiej zna się

na czytaniu z warg niż George. Stawia przede mną lustro, a George mówi:

— Przypatrz się dobrze. To jesteś ty.

Dobrze się przypatrzyłem. Z bliska nie wyglądam może tak głupio jak na filmie. Mój wzrok ma pewną ostrość. Uszy są dobrze ukształtowane, lecz nieco odstające. Teraz, kiedy leżę w akwarium, nie mam już takiego bezbronного wyglądu jak na ekranie, gdy jestem noszony w wilgotnym ręczniku.

— To chyba jestem ja — mówię z trochę większą serdecznością.

Następnie sprawdzamy, czy można użyć lustra zamiast jeszcze jednego ekranu. Lecz to nie działa: czy ustawiamy lustro na ławce, a ekran obok mnie, czy też odwrotnie, obraz w lustrze jest za mały. Lecz najwięcej zamętu wprowadza odwrócenie stron w lustrze, to, że lewa strona staje się prawą i vice versa. Wydawałoby się, że to nie odgrywa żadnej roli, usta powinny chyba mieć idealnie symetryczne odbicie. Absolutny błąd! Z ustami jest tak jak z dwiema połowami twarzy: jedna nie musi być idealną odwrotnością drugiej. Przypuszczalnie to samo dotyczy obu półkul mózgowych: jedna steruje uczuciem, druga intelektem. Życie duchowe może się rozwijać jedynie w wyniku owocnego współdziałania między stroną prawą i lewą.

Wkrótce wszyją mi operacyjnie srebrną nić, która

połączy mój ośrodek mowy z krótką anteną w najwyższym punkcie mózgu. Dzięki antenie będę mógł przesyłać swoje wypowiedzi bezpośrednio do otoczenia. Jedynym wyposażeniem, jakiego ono potrzebuje, jest para zwykłych okularów ze słuchawkami.

Emma wynosząc lustro mówi:

— To przykre, Ipsylon, że nic nie wyszło z lustrem.

— Nazywam się Dzielny, a nie Ipsylon!

George śmieje się i spogląda na Emmę mówiąc:

— Nie Dzielny. Źle zrozumiałeś swoje imię. Nazywasz się Ipsylon. Zrozumiesz to, jak tylko wszystko wróci do normy.

Kiedy usunęli moją pamięć przy pomocy elektrowstrząsów, odczuwałem przez pierwsze dni wielką euforię i byłem szczęśliwy, tak jakbym unosił się pół metra nad powierzchnią ziemi uwolniony od wszystkich starych strzępów wspomnień. Teraz to uczucie zaczyna ustępować. Zamiast tego brodzę w wodzie i próbuję dosięgnąć kamienia lub jakiejś pewnej rzeczy pod nogami. Kiedy Emma powiedziała „Ipsylon”, miałem wrażenie, że przez chwilę znalazłem się na stałym lądzie. Lecz prawie natychmiast ześlizgnąłem się, jak gdyby to imię było posmarowane mydłem. Czy to jest rzeczywiście moje pierwotne imię? Emmo! Emmo! Pochyl się i pocałuj mnie. Nie, nie żądam tego, żebym z ropuchy stał się księciem. Daj mi tylko jakieś ciało.

## 23

Kiedy małpa przytaszczyła krzesło i wdrapała się na nie, wystraszyłem się. Ma na głowie zrobioną na drutach okrągłą czapkę, która przypomina miseczkę żołądka. Małpa daje znaki i robi grymasy. To jest ten sam szympans, który był tu z George'm parę dni temu. Wywołuje we mnie nieprzyjemne odczucie. Przede wszystkim nie obchodzi mnie odczytywanie znaków, które mi daje. Lecz nie mogę przecież nie patrzeć. Chciałbym móc nie widzieć. Kiedy ktoś niedorozwinięty umysłowo staje nam przed nosem, pluje i syczy, instynktownie odwracamy się bokiem.

Lecz małpa nie rezygnuje. Co raz wolniej i wyraźniej pokazuje:

— Mam na imię Flink. Mam na imię Flink...

To imię nic mi nie mówi. Jednak aby uspokoić małpę, włączam przewodnictwo myśli:

— A ja nazywam się Dzielny.

To się małpie nie spodobało. Najpierw gapiała się zdziwiona, potem zrobiła całą masę gestów — takich, jakimi budzi się głęboko śpiącego.

— Nazywasz się I-p-s-y-l-o-n.

— Nazywam się Dzielny — odpowiadam. — Mylisz się.

Małpa opuszcza swoje długie jak u dźwigu ramiona, przekrzywia na bakier głowę przykrytą czapką

zrobioną na drutach i wygląda na bardzo zmartwioną.

— Przypomnisz sobie — daje mi znak.

Nie chcę sobie przypomnieć. Chcę zacząć wszystko od nowa. Jak tylko próbuję sobie przypomnieć, dostaję migreny. Najlepiej się czuję wtedy, kiedy gapię się prosto przed siebie, nie spoglądając ukradkiem w bok lub przez ramię.

— Musimy nawzajem pomóc sobie przypomnieć — mówi małpa.

Nic o niej nie wiem. Przychodzi zawsze z George'm. To wszystko, co wiem. Jak wobec tego mógłbym wziąć na siebie jakąkolwiek odpowiedzialność za przeszłość małpy.

— Zawrzemy porozumienie — mówi. — Przechowamy w sobie nawzajem swoją pamięć. Jeżeli opowiesz mi swój życiorys, będę go tak długo powtarzać, aż się go nauczę na pamięć. Jeśli potem unicestwią twoją osobowość przy pomocy elektryczności, opowiem ci o twoim życiu.

— A ja? Chcesz chyba dostać coś w zamian?

— Chcę, żebyś oddał mi taką samą przysługę.

— Nie mam nic do powiedzenia. O tobie nie wiem nic. O sobie też prawie nic.

— Ależ nie! Zawsze coś się wie!

Nagle małpa wydaje z siebie głos. Która godzina? Czy to pora posiłku, obchodu czy też warty stróża nocnego, który sprawdza, czy nie kapie z jakiegoś kranu? Małpa zeskakuje, przysuwa krzesło. Zanim



odchodzi, wspina się na palcach przodem do mnie i pokazuje gestem:

— Jesteśmy przyjaciółmi. Nie zapominaj o tym. Nie możemy jednak tego okazywać, bo wtedy nie pozwoliliby nam się spotykać.

## 24

Pójdzie do dentysty to takie uczucie, jakby ktoś powalił nas na plecy i dokonał gwałtu na naszych ustach. Lecz ja nie mam przecież ust. Przykryto rącznikami oparcie fotela dentystycznego i umieszczono mnie na nim przytrzymując, tak że leżę mając oko skierowane na dużą, błyszczącą lampę. Kilka osób przykucnęło wokół mnie, kącikiem oka dostrzegam, że to George — zwany profesorem — oraz jeszcze dwóch, trzech innych mężczyzn. Widzę tylko ich maski ochronne i przedramiona. W reflektorach otaczających intensywnie świecącą żarówkę mogę obserwować, jak pracują. Jeden z nich trzyma w ręce butelkę z rozpylaczem, drugi pompkę, trzeci jakiś wąski, ostry przyrząd, który przypomina wiertło. Teraz, kiedy znajduję się na stałym łądzie, mogę również odbierać dźwięki. Słyszę zgrzyt metalu, spuszczenie wody, szuranie nogą, zdławione mamerotanie pod maskami.

Nagle George mówi:

— Leż spokojnie, Ipsilon, zrobimy ci tylko zdjęcie rentgenowskie.

Wszyscy odchodzą. Zostaję sam, leżąc na oparciu fotela i wstrzymując oddech czekam na to, co będzie dalej. To nietrudno leżeć spokojnie. Przecież mogę jedynie poruszać uszami. Lecz na stałym łądzie nie odważyłem się spróbować nawet tego. Tak długo żyłem w wodzie, że boję się powietrza, wyschnięcia, tego, że uszy czy skrzela, czy jak nazwać to, co zwisa przy moich skroniach — że te strzępy skóry z braku płynu szybko zaczną trzeszczeć i bezpowrotnie zeszywnieją jak płatki ziemniaczane, stając się bezużyteczne przy pływaniu każdym stylem.

Moja uwaga jest maksymalnie napięta przed prześwietleniem rentgenowskim. Przypomina to uczucie, które musi się odnosić czekając na moment, kiedy pluton egzekucyjny przykłąknie, wyceluje i... Z aparatu rentgenowskiego dobiega słabe „klik”. Oczywiście w ogóle się go nie odczuwa. Miliony drobnych cząsteczek przenikają moją tkankę mózgową, a ja wcale tego nie czuję. Czy to nie jest dowód — jeżeli w ogóle jakiś istnieje — na to, że dusza musi znajdować się gdzie indziej? Może unosi się w tym świecie jako duża, niewidzialna bańka nade mną, taka jak te, w które wpisuje się teksty dialogów, cienka, przezroczysta torba plastikowa tkwiąca w jednym ze zwojów mózgu, duch wydostający się z butelki, lecz uwięziony w celu poddania go badaniu.

Kiedy wrócili do mnie, bezwiednie otworzyłem usta. Lecz nie są zainteresowani tym, co było kiedyś

moimi ustami. Pracują nad moją czaszką. Przecież mózg zupełnie nie posiada zdolności odczuwania bólu. Jednak kiedy we mnie dłubią, odczuwam lekkie łaskotanie. Naprężam się. Jestem im wdzięczny, że nie prowadzą ze mną konwersacji o pogodzie, filmie czy teatrze. Leżeć na fotelu dentystycznym i nie móc odpowiedzieć... wiem, że to mi się zdarzyło, ale kiedy? Gdzie? W każdym razie nie tak wiele lat temu. Gdybym żył w XIX wieku, z trudem widziałbym się wśród plastiku i nierdzewnej stali. Wtedy byłbym nastawiony na polerowane drewno, lane żelazo, wiertak poruszany przy pomocy pedału kołowrotka i na pięknie zdobione narzędzia. Na mężczyzn nie w białych fartuchach, lecz w bonżurkach.

— Musimy zrobić jeszcze jedno zdjęcie — mówi George. — Ostatnie. Żeby mieć pewność, że antena została prawidłowo zamontowana.

Znów wszyscy znikają. Koncentrują się na promieniowaniu. Nie wiem, czy to złudzenie, lecz czuję, jak miliardy cząstek elementarnych przenikają masę mózgu, płyną w dużej odległości od siebie, powoli, majestatycznie i w zupełnej ciszy, jak w operze kosmicznej.

Dopiero teraz uderzyło mnie to, że słyszałem George'a mówiącego do mnie! Nie musiałem czytać z jego warg, on mówił. Cud! Nie, to ma całkiem zrozumiałe wytłumaczenie. Cienka, srebrna antena, na którą George dawno temu zwrócił uwagę, znajduje się teraz na odpowiednim miejscu w moim ośrodku

mowy i słuchu. Przepuszczalnie będzie potrzebna dodatkowa aparatura: parę obwodów drukowanych, układ diodowy... z tego, co wiem; rezultatów badania kosmosu i przekazywania osiągnięć naukowo-technicznych z kosmonautyki jest zbyt wiele, żeby osoba niemająca kontaktu z techniką mogła je wszystkie śledzić.

— Ipsylon! Teraz leż spokojnie, żebyśmy mogli zająć się przerwany złączem!

Gapię się z uwagą na reflektory lampy pod sufitem. Jest osiem płaskich reflektorów wokół samego źródła światła. W ośmiu małych czworokątach powtarza się ten sam obraz: czworo pleców w długich aż do pięt, białych fartuchach zawiązanych z tyłu pochyła się nade mną. To ja jestem bladą, pomarszczoną bryłą w środku — podobną do noworodka, który wystawia na światło dzienne swą nabrzmiałą, ściągniętą buźkę. W swoim umyśle pogodziłem się już z tym, że jestem wyekstrahowanym, żyjącym mózgiem — lecz w głębi duszy, gdziekolwiek się ona znajduje, jestem dobrze zbudowanym mężczyzną o czystych rysach i bystrym spojrzeniu.

George trzyma między kciukiem i palcem wskazującym błyszczącą igłę, która przez chwilę zabłysła jak czarodziejska różdżka. Potem wbija ją we mnie.

— To było to. Jak się czujesz?

— Świetnie!

— Zaczekaj... zapomniałem okularów ze słuchawkami.

- Świetnie! — powtarzam.
- Świetnie! — woła George z taką siłą, że omal nie zleciałem z fotela.
- Obniż ton, jeśli masz zamiar krzyczeć — mówię.
- Fantastycznie — szepcze i pochyla się w kierunku mojego oka. — Fantastycznie, Ipsilon! Gdybyś miał usta, pocałowałbym cię w nie.

Wszyscy ściskają sobie nawzajem ręce — oprócz mnie. To jest wielki sukces naukowy. Dopiero teraz, kiedy udało się im stworzyć nieskomplikowane technicznie połączenie ze mną działające w dwie strony, możemy zacząć poważnie współpracować. To, co wykonywaliśmy wcześniej, było najczęściej rodzajem sztuki cyrkowej pod szacownym patronatem naukowców, udokumentowaną i zaprotokołowaną zabawą, taką jak ta, w której uczy się gołębie grać w kości korzystając z ich wyuczonych odruchów.

Teraz wszyscy chcą ze mną pogadać. Okulary ze słuchawkami wędrują od jednej osoby do drugiej. Lecz zapomnieli się przedstawić — tak się spieszą, żeby porozmawiać z zaprogramowanym komputerem na fotelu dentystycznym.

— Kto teraz mówi? — przez cały czas jestem zmuszony pytać. — Czy to ciebie nazywają Praktykantem?

Chichoczą i hałasują, jakby wypili szampana,

który z pewnością czeka na nich w którejś z licznych lodówek Biochine. Jeden po drugim podchodzą teraz i kłaniając się mówią:

- Mam na imię Peter. Miło mi!
- A ja jestem Curt, cześć!

Skąd mogę wiedzieć, że praktykant, to znaczy Curt, pisze swoje imię przez C? To żaden problem dla mnie, po prostu wiem. Kiedy rozmawiają, słyszę też cichą paplaninę gdzieś w głębi. Czy to są zakłócenia radiowe? Nie — to są ich myśli. Rozumiem tylko niektóre słowa w strumieniu tych myśli, lecz jestem pewny, że kiedy trochę poćwiczę, będę mógł je śledzić bez większych trudności. A co oni słyszą? Czy słyszą moje myśli?! Mówię do Curta:

— Masz sympatyczne imię. Jest krótkie i łatwo je zapamiętać.

Jednocześnie myślę z taką ostrością, na jaką mnie tylko stać: „Gdybym miał siekiere, walnąłbym cię tak, żebyś rozprysnął się po ścianach!”

Lecz Curt tylko się uśmiecha, macha obiema rękami i szczęśliwy wydyma wargi w taki sposób, jakby pochylał się nad kołyską. Lecz ja nie wyglądam jak niemowlę. Kiedy dokładnie się przeglądam w ośmiu reflektorach lampy, widzę przepisowo białą i pofałdowaną bryłę ze spiczastym uchem po każdej stronie i — w tej chwili — dwie srebrne anteny sterujące z czoła. Nie, nie przypominam noworodka, już raczej coś, co... spadło z Marsa.

## 25

Jest niedziela. Jeden z zatrudnionych dodatkowo strażników nakarmił mnie. Długo studiował przepisy dotyczące pielęgnacji i grzebał między pipetkami na wózku z jedzeniem. Nie opłacało się do niego odzywać. Ktoś zamknął okulary ze słuchawkami na cały weekend. Lecz on dał sobie radę z karmieniem, chociaż zabrało mu to trzy razy więcej czasu niż zwykle. Po tym wszystkim obaj odetchnęliśmy, strażnik otworzył „Pilznera”, a ja położyłem się na dnie akwarium, żeby w spokoju obmyślić coś dla Flinka. Nagle przypomniałem sobie o jego „umowie o pamięć”: ja opowiem tobie, ale ty musisz opowiedzieć mnie.

Nie zostawiono mnie jednak w spokoju. Jak tylko oddalił się strażnik z wózkiem z jedzeniem, wszedł George i dokładnie zamknął za sobą drzwi. W lewej ręce trzymał swoje zwyczajne okulary do czytania ze szklami w kształcie półksiężyców, w prawej — cięższe okulary ze słuchawkami z czarnymi oprawkami. Wysunął taboret, wygodnie się rozsiadł, założył okulary ze słuchawkami i starannie je poprawiał, jak przed koncertem skrzypcowym.

— Chyba nie przeszkadzam??

— Ależ skąd — odpowiedziałem; teraz, kiedy możemy z sobą rozmawiać bezpośrednio, czuję się mniej pewnie i bardziej narażony na niebezpieczeństwo, w poprzednich, bardziej formalistycznych, układach miałem więcej czasu na myślenie.

— Przykra strona tego, że się jest szefem, polega na niemożności zwierzenia się drugiemu — mówi George. — Tutaj mamy dobry klimat pracy, znakomite nastrój w zespole, lecz musisz jednak zrozumieć, Ipsilon, że podwładnym nie mówi się wszystkiego. A co dotyczy kierownictwa koncernu... To możemy na razie zostawić. Czy mogę liczyć na twoją dyskrecję?

— Nie.

— Nie??

— Sam wiesz najlepiej. Skąd mogę wiedzieć, czy treść moich myśli chroniona jest obowiązkiem zachowania tajemnicy? Być może ty i twoi współpracownicy możecie dobrać się do mnie jak do banku magnetycznego, jeżeli tylko będziecie mieli właściwy program komputerowy?

— Utopia! — śmieje się. — Do tej pory jeszcze nikomu nie udało się zajrzeć prosto do mózgu.

— Ale co wobec tego z moją pamięcią, która leczona jest elektrowstrząsami?

— Z tym już skończyliśmy. Nie osiągnęliśmy tego, na co liczyliśmy.

— Mianowicie?

— Po prostu: wolna powierzchnia kory. Sądziłyśmy niemądrze, że jeśli byśmy odmagnetyzowali twoją pamięć, powstałaby wolna przestrzeń.

— Tak jak przy wymazywaniu taśmy magnetofonowej??

— Przyznaję, że ta teoria jest zbyt uproszczona.



- A więc teraz uniknę elektrowstrząsów?
  - Jeżeli byłoby to możliwe, uściskałbym cię z radości. Nie, szukaliśmy zależności, że tak powiem... Oczywiście możemy zlikwidować, przynajmniej częściowo, twoją pamięć. Jednak pusta przestrzeń posiada imponującą zdolność ponownego wypełniania się zmyślonymi wspomnieniami, fantastycznymi marzeniami. Poza tym nie możemy ustrzec wspomnień, które usuniemy z twojego mózgu. One, jakby to powiedzieć, ulotniłyby się w powietrzu.
  - Lecz czyż nie o mnie mieliśmy mówić??
  - Ponieważ jest niedziela, możemy zamiast tego pomówić o mnie... Jeżeli nie masz nic szczególnego przeciw temu.
  - Może już najwyższa pora, żeby się wzajemnie poznać?
  - Właśnie, Ipsilon. Nie wiem tylko, od czego zacząć. To takie podłe uczucie obmawiać Biochine i laboratorium. Zamiast tego pozwól mi opowiedzieć coś osobistego, wszyscy mamy jakieś marzenie, prawda?
- Nie odpowiadam. Zresztą nie o to chodzi. Są ludzie, którzy kończą każde zdanie słowami: „nieprawdaż?” Jeżeli się na to odpowie, tylko się denerwują.
- Czy byłeś w Paryżu?
- Również na to nie odpowiadam.
- Jeżeli byłeś w Paryżu, Ipsilon, z pewnością zwiedzałeś Musée de l'Homme w pałacu Chaillot

naprzeciwko wieży Eiffla, Mekkę antropologów — odważyć się stwierdzić. Znajduje się tam wszystko, od fryzur Hotentotów do polinezyjskich kajaków. Chciałbym jednak polecić dział nieoficjalny, o ile oczywiście ma się znajomości. Francuzi mają przecież skłonność do biurokracji. Jeżeli człowiek jest zainteresowany rzeczami makabrycznymi, może obejrzeć zbiór wysuszonych głów z Nowej Gwinei lub szklanych cylindrów z głowami umieszczonymi w całości w spirytusie. W czasach kolonialnych przejawiano niemal chorobliwie wybujałą manię kolekcjonerską. Ze wszystkich zakątków imperium francuskiego przysyłano głowy ściętych złoczyńców, różne osobliwości i dziwaczne rzeczy. Mogę sobie to wytłumaczyć jedynie tym, że musiał istnieć kapitał pozwalający na ich skupowanie w celach naukowych. Jednak kolekcję głów w spirytusie poprzedza coś o wiele bardziej interesującego — dział frenologii. Wiesz, ten od guzów i wypukłości na czaszce lub mózgu i powiązań tych wypukłości z typem charakteru. Nawiasem mówiąc od tej teorii neurochirurgia już odchodzi. Lecz, Ipsilon, tam, w specjalnym gabinecie, znajduje się najwspanialsza kolekcja mózgów wybitnych osobistości.

— W spirytusie?

— Przede wszystkim w formalinie. Einsteina oczywiście nie mają. Jego mózg leży podobno w zamrażalniku lodówki w Wichita. Lecz są tam inne, jest na przykład Paula Broki.

Pochyla się i patrzy na mnie wyzywająco.

— Nie ma sensu, żebyś w jakikolwiek sposób mnie egzaminował, George...

— To Broca odkrył ośrodek mowy w mózgu ludzkim, Ipsilon, i zapoczątkował przynoszące bardzo dobre rezultaty sporządzanie map mózgu. Największy neurochirurg XIX wieku! Newton neurologii! Obecnie każdego roku możemy odkrywać coraz więcej oddzielonych od siebie obszarów mózgu i ich funkcje. Nie tylko takie pospolite funkcje, jak ruchy mięśni... Również funkcje zapamiętywania, ośrodki sterujące uczeniem się. Nie znajdujemy się już — jak to ktoś powiedział — w epoce Kolumba. Już nie żeglujemy przez obie półkule na chybił trafił. Jesteśmy na etapie mierniczych i odmierzamy coraz mniejsze i dokładniejsze odcinki. A zapoczątkował to Broca!

— Miałeś jakieś marzenie??

— Wszyscy je mamy. Moi współpracownicy śmialiby się lub uśmiechali z zażenowaniem, gdybym je im zdradził. Nagroda Nobla nie ma już żadnego prestiżu. Stała się nagrodą grupową. Istnieje większe osiągnięcie: stanąć po śmierci na tej samej półce co Broca.

## 26

Dziewczyna, która podaje mi jedzenie, ma na imię Emma. Moja czaszka wypełniona jest żarłocznymi

piskletami, które przywołują wciąż nowe wspomnienia. Umieszczam w nich Emmę. Jej twarz z cienkim nosem i posmarowane wargi. Następnie wypełniam wspomnienia włosami Emmy koloru ciemnoblonde. Ona prawie zawsze ma na głowie obszerny czepek z krepy: zachowuję czepek w pamięci. Podobnie jak jej drewniaki, jej ręce, a na nich gumowe rękawiczki. Zieloną spódnicę, gumowy fartuch, którego używa przy szorowaniu. Jej głos, jej spojrzenie, jej imię — Emma, litera po literze.

Emma zachowuje się tak, jakbyśmy się znali od dawna. To mnie cieszy. Nie chcę się w niej zakochać. Jest coś nienaturalnego w pacjencie, który zakochuje się w pielęgniarce tylko dlatego, że nie ma innego wyboru. Ale kogo mam w takim razie kochać? Małpę?

Gdyby Emma nie miała ciała i była jedynie mózgiem — moglibyśmy wtedy się połączyć. Nie fizycznie. Lecz moglibyśmy mieszkać w tej samej wodzie, jak dwa delfiny, które baraszkują w blasku słońca. Bardzo małe delfiny, wielkości poniżej jednego metra. Akwarium wydawałoby się wtedy przestronnym zbiornikiem. Jeżeli moglibyśmy umieścić zbiornik obok cyrku na wodzie, w jakiejś przystani lub w cyrku z tresowanymi pchłami, stosującym nowoczesne metody, załatwiona zostałaby również sprawa żywienia. Nawet delfiny nie mogą żyć wyłącznie przyjaźnią.

Przez cały wieczór ćwiczę to, co chciałbym powiedzieć Emmie. Kiedy będę ją miał wyłącznie dla siebie, szepnę: „wślizgnij się do mnie!”. Chciałbym być żółwiem morskim tak dużym jak olbrzymi kamień. Tak silnym, żeby Emma mogła jeździć nago na moim grzbiecie i żeby jej nie zmyła woda. Z czysto anatomicznego punktu widzenia wykazuję już pewne podobieństwa do żółwia morskiego: owalna forma, wypukły grzbiet z małą kulką na samym przodzie, która kiwa się na swojej łodydze. Uszy z pewnością zaczną z czasem przypominać coraz bardziej wypustki uszne żółwia. Chciałbym, żebyśmy zamieszkali w Oceanie Spokojnym, na lagunie na Malediwach lub Seszelach. Noce możemy spędzać w jakiejś odpowiedniej grocie koralowej. Emma może spać na półce skalnej, podczas kiedy ja będę wypoczywał zakotwiczony w wodzie poniżej. Dnie będziemy spędzać na nurkowaniu. Wioząc ją na grzbiecie będę przeczesywał piasek i zatopione miasta w poszukiwaniu hiszpańskich dukatów.

## 27

Wyznaczono mi następną wizytę u psychiatry. Jest w tym coś podniosłego zostać wniesionym do jej pokoju na indywidualną rozmowę, coś zupełnie innego niż widzieć ją podczas porannego obchodu gapiącą się przez ramię George'a. Po raz pierwszy możemy ze sobą rozmawiać. Moje srebrne anteny

umożliwiają mi przesyłanie sygnałów bezpośrednio do okularów ze słuchawkami, które pożyczyła od George'a i odbieranie jej wypowiedzi, mimo że znajduję się pod powierzchnią wody. Poza tym moje uszy funkcjonują świetnie. W zasadzie mógłbym leżeć na ręczniku na jej kolanach i rozmawiać z nią. Ale ryzykowałbym, że za bardzo wyschnę, zwłaszcza moje oko. A więc dalej leżę w swoim akwarium. Tym razem nie postawiono mnie na jej biurku, lecz na niskim stoliku przed jej kanapką. Dzięki temu czuję się swobodniej.

Zaczyna od cytowania wiersza:

— „Wielki niedźwiedź, który ciągle depcze mi po piętach, nieśmiertelny, tuż za mną, tylko mój, lecz jednak nieznany...”. Kto ułożył te wersy o naszym ciele, Dzielny? Może ich nigdy nie słyszałeś? W przeciwieństwie do innych nie masz już przecież ciała, żadnego „niedźwiedzia”, który depcze ci po piętach. Musisz to odczuwać jako wielką ulgę?!

Denerwuje mnie jej sposób natychmiastowego przejmowania inicjatywy w rozmowie. Nie przyszedłem tutaj, żeby recytować wiersze. Chcę wiedzieć, co zamierzają ze mną zrobić! Czy będę mógł zachować swoją tożsamość? Jeżeli tak, to dowiedzieć się tego jest moim prawem człowieka.

— Przyszedłem do ciebie, żeby porozmawiać o przyszłości — mówię. — Zresztą nazywam się Ipsilon, a nie Dzielny.

— Czy to nie ty sam nazwałeś się Dzielnym...?

- Co wiesz o mojej przyszłości?
- To jest działka George'a.
- Pytam cię, co ty wiesz.
- Niewiele. Moim zadaniem jest jedynie zająć się stroną duchową.
- Co oni mają zamiar ze mną zrobić?!
- Otrzymasz interesujące zadania do wypełnienia. Jestem tego zupełnie pewna. Lecz najpierw musimy stworzyć warunki, żeby nauczyć się czegoś więcej o tym, jak funkcjonujesz. Po to, żebyśmy mogli zaopiekować się tobą w odpowiedni sposób. Żeby, na przykład, nie umieścili cię w zbyt silnym dla ciebie roztworze lub nie zastosowali nieodpowiedniej mocy prądu.
- Co zamierzacie ze mną zrobić?! — krzyczę tak głośno, że zrywa z nosa okulary ze słuchawkami.
- Masuje oczy, uspokaja się, prostuje plecy i ponownie nakłada okulary.
- Jesteś tutaj zupełnie dobrowolnie, prawda?
- To ty powiedziałaś!
- Mamy na to dowód na piśmie. Poświadczonym. Z twoim własnym podpisem. W dokumencie dobrowolnie zgadzasz się, żebyśmy się tobą zajęli. Dostałeś wyczerpujące informacje o tym, na czym to wszystko polega.
- Co to mi pomoże, jeżeli nie wiem, jak się nazywam i nie rozpoznałbym własnego podpisu, nawet gdybyś podetknęła mi go pod nos. Przecież wszystko zapomniałem!

— Przecież właśnie o to chodzi! Żeby zapewnić ci wspaniałą przyszłość, byliśmy zmuszeni zlikwidować twoją przeszłość. Musimy uwolnić twoją korę mózgową od masy starych wspomnień, żebyś mógł nabyć nowych umiejętności.

— Jakich?!

— Nie jestem upoważniona do dyskusowania o tym. To George prowadzi próby. Lecz sądzę, że ci nie odpowie, jeśli go zapytasz. To jest zagwarantowane w umowie. Teraz jesteś innym człowiekiem.

Ustępuję. Robię ruch lewym uchem, tak że znajduję się bokiem do niej. Markotnie opadam na dno.

— Nie dąsaj się. Prosiłam cię, żebyś tu przyszedł, aby sprawdzić pamięć. Próby wykazują, że nie usunęliśmy wszystkiego podczas ostatnich elektrowstrząsów.

— „Nie usunęliśmy wszystkiego”. Nie mów do mnie tak, jakbym miał raka! Wspomnienia nie są chyba przerzutami, do diabła! Poza tym George przyrzekł, że już koniec z elektrowstrząsami!

— Teraz musisz się zdecydować — mówi surowym tonem. — Albo będziemy się złościć i kłócić, lecz w takim przypadku zmuszona będę zadzwonić po kogoś z laboratorium, żeby zrobił ci próbę adrenalinową... — albo też będziemy dalej sprawdzać twoją pamięć nawzajem zachowując się uprzejmie. Okey?

— Okey.

— Przyniosłam ze sobą kilka zdjęć i chcę, żebyś



je obejrzał. Chcę wiedzieć, jak zareagujesz. Właściwie powinniśmy podłączyć cię do elektroencefalografu, ale to tylko formalność. Jeżeli przyrzekniesz, że będziesz zupełnie szczery, wystarczy, że zanotuję to, co powiesz. Czy zgadzasz się na to? Okey?

— Okey.

Zawiesza cztery fotografie na małej ramce przed akwariem. Wszystkie przedstawiają starsze kobiety w wieku przypuszczalnie od 60 do 75 lat. To nie są stare zdjęcia, sprawiają wrażenie świeżo zrobionych, są błyszczące, prawie wilgotne.

— Ach tak — mówię. — Cztery staruszki. So what?

Ona ma na kolanach blok i udaje, że notuje. W rzeczywistości tylko rysuje niekończący się i nierównomierny zawijas ornamentu sądząc, że tego nie widzę. I rzeczywiście nie widzę. Lecz znam ruch jej ręki: jednostajny, kanciasty. Jest myślami gdzie indziej, jedynie ręka zachowuje pozory.

Ja również uspokajam się, czekając co będzie dalej.

— No?

— Cztery staruszki — powtarzam.

— Czy któraś z nich robi na tobie szczególne wrażenie?

Ponownie na nie patrzę. Jedna nosi okulary, druga pokazuje w uśmiechu nowe zęby, trzecia ma uderzająco kanciaste, męskie rysy, czwarta — pomarszczone jak jabłko policzki i trzęsący się podbródek.

- Nie...
- Jedna z kobiet jest twoją bliską krewną.
- Powiedz mi, jak się nazywa!
- To nie ma sensu. Jeżeli nie rozpoznajesz jej twarzy, nie przypominasz sobie nazwiska. W taki sposób funkcjonuje mózg.
- Czy ona żyje, ta kobieta na zdjęciu?
- Tego faktycznie nie wiem.
- Muszę otrzymać jakąś wskazówkę.
- Teraz będziemy trzymać się reguł gry. Czy żadna z twarzy nic ci nie mówi?

Nie odpowiadam. To by nic nie dało. Nic nie pamiętam. Taka jest prawda.

— Nie pomyślałam o tym, żeby dać ci jakiegokolwiek wskazówki. Lecz pomyśl sam. Powiedziałam „bliska krewna”. Kto to może być?

- Matka, córka, siostra, żona?
- Właśnie, Dzielny... Ipsylon.
- Która z nich??

Siedzi w milczeniu przez kilka minut, żeby dać mi czas na przypomnienie sobie. Przez chwilę zamigotał w moich myślach inny obraz: kobieta w czerni trzyma za rękę dziecko, kiedy mnie odwiedza leżącego w łóżku szpitalnym. Lecz to równie dobrze może być moja fantazja.

- Nie mogę, choć tak bardzo...
- A więc odłożymy zdjęcia. Czy jest jeszcze coś,

od czego chciałbyś uwolnić twoje serce? Możesz tu przyjść, kiedy tylko zechcesz i porozmawiać ze mną. Wystarczy powiedzieć o tym na obchodzie. Okey?

— Okey.

Kiedy mnie wnoszą z powrotem, próbuję dokonać oceny nowo zdobytej wiedzy o mojej przeszłości. Kobiety na zdjęciach mają od 60 do 75 lat. Jeśli jedna z nich jest moją matką, powinienem mieć około czterdziestki. Lecz jeżeli któraś z nich jest moją córką?

## 28

Emma z praktykantem — który właściwie ma na imię Curt — wynieśli mnie do zmywalni. Przez bardzo krótką chwilę wydawało mi się, że idziemy w kierunku pojemnika na śmieci. Lecz pojąłem, jak głupia jest ta myśl; jestem więcej wart niż mój ciężar w złocie. Powód przypadkowej przeprowadzki okazał się zupełnie inny: do laboratorium, musieli wejść elektrycy. Co wyzwoliło mój chwilowy strach przed śmiercią? Czy przyczyną mogło być to, że wodę, w której się znajduję, odczuwam jako coś niestabilnego wtedy, kiedy akwarium jest unoszone? Porozmawiam z profesorem. On powinien umieć wyjaśnić zależność między strachem a złym samopoczuciem związanym z przemieszczaniem się.

Leżę teraz w swoim pudełku z wodą na stole do zmywania między butelkami i nierdzewnymi blaszanymi miskami. Ponieważ podłączenie do prądu jest prowizoryczne, Emma zostaje, żeby czuwać. Przyśiadła na ławce naprzeciwko. Głowę oparła na złączonych kolanach, lewe ramię na podudziu; prawe funkcjonuje jako wachlarz rozwiewający dym z papierosa. Obok niej leży katalog gwiazdkowy dużego domu towarowego. Kiedy ktoś mi coś czyta, są to prawie zawsze urywki z różnych katalogów i folderów. Wydaje się to jedyną alternatywą dla gazet z serialami rysunkowymi. Seriale bardzo mnie nudzą; dlatego muszę się zadowalać katalogami domów meblowych, sieci sklepów handlujących żelazem, hodowców holenderskich tulipanów lub lakonicznymi opisami wysuszonych na proszek pod ciśnieniem zup dla turystów wędrujących po górach.

Czytanie dzienników jest surowo zabronione. Profesor podał dwa zupełnie różne tego powody: w gazetach ciągle piszą o tym samym, a więc zanudziłyby mnie one, oraz: gazety zawierają obecnie informacje wyłącznie o wojnach i nieszczęściach, co mogłoby wywołać moje wzburzenie. Jeżeli będę wzburzony, może będą zmuszeni do zrobienia „korektur neurochemicznych”, co oznacza wlanie do wody w akwariium soków mających działanie uspokajające. Jesteśmy zgodni co do tego, że powinno się unikać takich rzeczy. Środowisko, w którym żyję, jest już wystarczająco sztucznym tworem.

— Jak się właściwie czujesz? — pyta Emma; nie obchodzą jej okulary ze słuchawkami — zamiast tego wolimy nasz własny system oparty na czytaniu z warg i przewodnictwie myśli.

— Tak długo, jak ty jesteś w pobliżu, nie dzieje mi się nic złego.

— Ipsylon, to niedobrze, za bardzo przywiązałeś się do jednej osoby.

— Nic na to nie poradzę.

Teraz dym leci jej prosto do oczu. Kaszląc i mrugając gasi niedopałek w zlewie.

— Lecz jeśli z jakiegoś powodu nie mogłabym tu dalej pracować... czy się wtedy załamiesz?

— Nie pozwolą mi na to.

— Tylko nie pomyśl, że jestem taka głupia, lecz czasem myślałam tak: dlaczego nie mogłabym zabierać Ipsyloona do domu, żeby pomieszkał sobie w akwarium w mojej kuchni, a później odniosłabym go rano, żeby oni mogli robić swoje eksperymenty...

— Czy pytałaś o to?

— Nie bądź śmieszny!

Emma zapala następnego papierosa, przysuwa do siebie katalog gwiazdkowy i mówi:

— Czy mam przeczytać o Krainie Zabawek?

— Wiem, że chcesz powiedzieć mi coś zupełnie innego.

Gasi papierosa, którego dopiero zaczęła palić, i kryje twarz w dłoniach.

— Co się stało?

Szlocha i kręci głową. Potem wyciera nos i przyciska kark do kafelków za swoimi plecami.

— Ty nie masz z tym nic wspólnego, lecz na jakiś czas muszę się stąd wynieść. Cała jesień była tak cholernie pogmatwana. Teraz koniec z moim chłopakiem, mam nadzieję.

Po raz pierwszy mówi o swoim przyjacielu. Ja chyba jednak coś przeczuwałem.

— Jak on ma na imię?

— Jak ma na imię?! To chyba, do diaska, nie ma żadnego znaczenia... Poza tym, Ipsilon, wiesz przecież, że profesor zabronił nam gadać z tobą o życiu prywatnym!

— „Wynieść się na jakiś czas”, co przez to rozumiesz?

— To, że wezmę parę tygodni urlopu. Uważałam, że muszę ci o tym powiedzieć. Boję się, że za bardzo się przywiążesz lub będziesz zazdrosny. Chyba niepotrzebnie byłeś taki zazdrosny, że zrobiłam dla Flinka na drutach ten beret z pomponem!

— Ale wrócisz?

— Wrócę. Czy obiecasz mi, że zrobisz coś w czasie, kiedy mnie nie będzie?

— Powiedz najpierw, co to ma być.

— Nie, obiecaj... zresztą nie: chcę, żebyś współpracował, żebyś zrobił, co możesz. Nie bądź uparty. Osiąga się o wiele lepszy skutek, jeżeli nie jest się upartym. I powinieneś wierzyć nam wszystkim tutaj.

Wszyscy chcą twojego dobra. A mogę cię zapewnić, że jesteś oczkiem w głowie profesora.

— Czasem czuję się trochę osamotniony, nie mogę się pozbyć tego uczucia.

— Wiem, mieliśmy tutaj nieuszkodzony mózg w ubiegłym...

— Tak???

— Milczcie usta! Już się wygadałam. Byli tacy, którzy zginęli z powodu swej własnej podejrzliwości, Ipsilon. Więcej nie mogę powiedzieć.

Zeskoczyła ze stołu do zmywania, objęła ramionami akwarium i przycisnęła prawy policzek do przedniej szyby. Z jej ust rozeszła się po szkłe para, tak jak duży pęcherzyk, taki, jaki rysuje się przy dialogach umieszczonych w czasopismach..

## 29

Dzisiaj odbył się mój debiut w sali wykładowej. Wartownik zawiózł mnie tam na wózku. Zwykły stół na kółkach został widać uznany za zbyt chybotliwy. Przez cały czas byłem przytomny. Dlatego można powiedzieć, że był to właściwie mój pierwszy wypad z budynku laboratorium. Pojechaliśmy windą do piwnicy. To było wspaniałe odczuć zmysłem równowagi zmianę poziomów. Byliśmy już na dole w piwnicy. Przez podziemny tunel doszliśmy do transportera. Cementowana rampa prowadziła aż do

powierzchni ziemi. Światło poraziło mnie. Przecież nigdy nie widziałem Instytutu z zewnątrz. Składa się on z trzykondygnacyjnego budynku z cegły. Dach jest płaski, ma wiele kominów i otwory wentylacyjne. Wokół domu znajduje się park z płaskimi pagórkami. Między pagórkami rośnie kilka karłowatych sosen i trochę zszarzałej trawy. Słońce znajdujące się nisko nad widnokretem sprawia, że wszystkie okna wyglądają jak nieumyte. Jeszcze leży śnieg po zaciemnionej stronie; jak sen w fałdach mózgu u kogoś zasnętego. Nie mogę ustalić, czy jest jesień, czy wiosna.

Słońce jest dla mnie zbyt silne. Wzywam wartownika, żeby poprosić go, aby przykrył akwarium chustką do nosa lub gazetą. Lecz on nie nosi okularów ze słuchawkami. Ponawiam próbę stosując przewodnictwo myśli. W wyniku tego on rzeczywiście wyjmuję chustkę do nosa. Lecz zamiast mnie nią przykryć, wyciera sobie nos.

Sala wykładowa znajduje się w pawilonie bez okien, na drugim końcu parku. Kiedy przejeżdżamy przez szklane drzwi, niczego nie widzę wyraźnie, jedynie różowe cienie i fioletowe koła, które słońce odbija na siatkówce mojego oka. Domyślam się istnienia ciemnego korytarza z wieszakiem na rzeczy. Wchodzimy do wysokiego pokoju — bardziej to czuję niż widzę. Zostaję tam sam około kwadransa. Powoli powraca mi zdolność widzenia. Gapię się na mnie puste rzędy ławek ustawionych amfiteatralnie. Na samej górze wokół projektora znajduje się mały



stos rupieci. Na jednej ścianie wisi parę olejnych portretów, na drugiej stara, przybrudzona zabytkowa plansza z układem Mendelejewa. Wartownik wraca w towarzystwie starszego mężczyzny w szarym płaszczu. Wspólnie przenoszą mnie na długą ławkę, która oddziela salę od podium wykładowcy z długą zieloną tablicą.

Drzemię przez chwilę po znojach podróży. Można również powiedzieć, że jestem kołyszany do snu. Długo potem, jak mężczyźni przenieśli akwarium, powierzchnia cieczy jeszcze trochę falowała. Na początku fale były tak silne, że musiałem poruszać uszami, żeby utrzymać równowagę w tym ruchliwym jeziorze. Obudził mnie głos profesora, który coś do mnie mówił. Wysoko podskoczyłem — jak zwykle nie sprawdził wysokości dźwięku. Jego głos zadudnił we mnie, jak gdybym był kopulastą halą dworca kolejowego.

— Dzień dobry, Ipsilon! Teraz spotkasz się z moimi studentami.

Sala jest wypełniona do połowy. Młodsze osoby obojga płci siedzą w pojedynkę lub w małych grupkach. Dwa pierwsze rzędy są zupełnie puste.

— Teraz przesiądziemy się niżej, żeby lepiej widzieć — mówi George.

Niechętnie przenoszą się na dół. To przede wszystkim studentki słuchają polecenia. Moje anteny pracują z maksymalną intensywnością, kiedy

George zaczyna opowiadać o mojej przeszłości. Lecz, niestety, nie ma do powiedzenia nic, co by mnie zainteresowało. Skrętnie przeskakuje to, co nazywa się antecedencjami i przechodzi od razu do spraw natury technicznej, do tego, w jakich roztworach leżałem i podobnych rzeczy. Pojmuję, że przenoszono mnie do coraz innej kąpieli, podczas kiedy byłem jeszcze nieprzytomny. Dowiaduję się, że przesłaniającym wszystkie inne problemem były na początku moje małżowiny uszne. Żeby móc nimi poruszać, potrzebuję pracy niewielkiej ilości mięśni. Okazało się, że trudniej jest mięśniom niż samemu mózgowi znieść brak regularnego dopływu krwi. Trzeba było zamontować parę dodatkowych elektrod w mięśniach uszu, aby je rozruszać.

Teraz wszyscy podchodzą, żeby popatrzeć. Czuję się jakoś odświeżenie, prawie tak, jakbym był samym Leninem w jego szklanej trumnie. Skąd wiem, że istnieje trup, który nazywa się Lenin i że leży w akwarium większym niż moje? Czy spoczywam w dłoni Boga, Darwina, Pawłowa, Lenina czy Hamleta? Dysponuję całą galerią starych nazwisk. Drzwi do niej musiały przez omyłkę zostać zamknięte, kiedy poddano moją czaszkę elektrowstrząsom.

Studenci nie wydają się zbyt zainteresowani. Leniwie przemaszerowują obok mnie. Jakaś dziewczyna czekająca w kolejce ciągle jest zajęta swoją robotką na drutach. Ten i ów ziewa półgębkiem. Jakiś chłopak wyjmuje zegarek kieszonkowy i huśta nim

przed moim okiem, żeby zobaczyć, czy potrafię ustalić położenie poruszającego się przedmiotu.

George wygłasza później wykład traktujący o procesie uczenia się i o agresji. Najpierw mówi o uczeniu się i o zachodzących zmianach molekularnych, które stwierdzono w komórkach mózgu po przeprowadzonych ćwiczeniach pamięci. To nie jest żadna osobliwa teoria: on twierdzi po prostu, że jestem nagrany i zgniecioną później płytą gramofonową lub niekończącym się zwojem taśmy magnetofonowej, na której każde utrwalone wrażenie ma swój odpowiednik w jakimś punkcie lub swój ślad. Ziewam i zaczynam powoli opadać na dno akwarium dzięki temu, że pozwalam wodzie przenikać do wewnętrznych przestrzeni mózgu funkcjonujących jak pęcherzyki. George oczywiście to dostrzega i puka palcem w akwarium. Uważam za wskazane powrócić do normalnego położenia. Odczuwam to jako pewną niesprawiedliwość. Dlaczego nie miałbym pogrążyć się w takim samym ośpieniu co słuchacze?

Następnie George ładnie mówi na temat kompleksu agresji. Nie mam notatnika tak jak studenci. Lecz mam coś innego: dużo nieużytej taśmy do zapisu pamięci.

— Istnieją dwa problemy w neurosocjologii, które mają większy ciężar gatunkowy niż wszystkie inne — mówi George. — Pierwszy to ten, żeby z punktu widzenia neurobiologii w prawidłowy sposób zająć się rozwijającym się gatunkiem. Posiadając

wiedzę o okresach wzrostu mózgu, trzeba sobie zadać pytanie, jakiego typu zróżnicowanych ćwiczeń potrzebuje każda jednostka, żeby się harmonijnie rozwijać i móc wykorzystać swoje uwarunkowania genetyczne, obojętnie, czy należy do większości, czy też do twórczej mniejszości. Drugi poważny problem dotyczy sposobu reagowania na skłonność człowieka do destrukcyjnej agresji, która biorąc pod uwagę obecne możliwości techniczne, może wyniszczyć rodzaj ludzki. Mózg człowieka jest niezwykle precyzyjnym organem, mającym możliwości rozwiązywania skomplikowanych problemów i planowania przyszłości. Dlaczego człowiek, który jest tak hojnie wyposażony, działa tak nieodpowiedzialnie? Może przyczyna destrukcyjnej agresji leży w samej strukturze silniejszego mózgu? Obecnie jest rzeczywiście znany u człowieka mechanizm natury biochemicznej, mogący wywołać niebezpieczną dla innych agresję. Niezastąpionym sposobem właściwego wykorzystania wiedzy, zarówno dawniej jak i obecnie, jest wyrażony w greckiej sentencji „gnothi seauton” — poznaj sam siebie — mówi George robiąc wdech.

Leżę tak w całej swej krasie i słucham tej mowy pochwalnej na cześć moich wybitnych zdolności. Staram się wyglądać miło i pociągająco. Chcę, żeby studenci, jeden po drugim, podchodzili do mnie i przyciskali dłonie do szkła. Jak stara Cyganka będę wtedy każdemu indywidualnie przepowiadać przyszłość.

Lecz zamiast tego są ćwiczenia z rachunków.

W czasie przerwy George z wartownikiem podłącza ją do mnie komputer, żebym nie nadwerężył swych funkcji związanych z pamięcią. Nie lubię mieć na sobie tego aparatu. To tak, jak gdyby wprawiać sztuczną szczękę komuś, kto ma jeszcze własne zęby. Jednak nie protestuję. W szybkim tempie, choć bez większego zainteresowania, gram najpierw w „kółko i krzyżyk” z wybranym studentem, potem w szachach pokonuję trzynastoma ruchami George'a — ku nieopanowanej radości studentów — a na koniec rozwiązuję kilka klasycznych zadań matematycznych, takich, które zawiera każdy tego rodzaju repertuar.

Potem jest czas na pytania, ponieważ do końca wykładu pozostało jeszcze tylko pięć minut. Studenci milkną zażenowani, patrzą w sufit, wycierają nosy, a studentki porównują opisy robótek na drutach. Ponieważ nikt nie zadaje pytań, zostają zwolnieni. To wywołuje krótkotrwałe oklaski — tak jak w teatrze i podobnie jak tam, duża część publiczności zdążyła już znaleźć się w szatni.

Odprężam się, opadam na dno i przygotowuję się do powrotu do laboratorium. Wtedy podchodzi do mnie i do George'a dziewczyna, która została dłużej.

— Co właściwie zamierzacie zrobić z tym, tym... mózgiem? — pyta.

— On sam nazwał się Dzielny — mówi George.

— Do czego potrzebujecie Dzielnego?

— Badania podstawowe są celem samym w sobie — odpowiada George.

— Lecz to musi kosztować masę pieniędzy. Czy twoim zdaniem Biochine nie zażąda nic w zamian?

— W dziedzinie przemysłu jesteśmy równie jak uniwersytet zainteresowani największymi tajemnicami istnienia. Lecz jasne jest, tak myślimy, że w przyszłości ten typ eksperymentu będzie mógł zostać wykorzystany w służbie człowiekowi.

— Jak??

Słucham z wielkim napięciem.

— Jak? — powtarza George. — To możesz chyba w przybliżeniu wykalkulować sama.

— W takim razie nie powinnam pytać. Czy to jest w porządku, że planujecie spowodowanie stopniowego zrastania się tkanki mózgowej z fragmentami wspomnień zakodowanych w mikrodatorze, żeby spowodować powstanie nadmózgu?

— Wzięłaś to z prasy sensacyjnej? — pyta George śmiejąc się. — Lecz gdyby tak było, czy sądzisz, że odsłoniłbym ci tajemnice procesu produkcji? To, że zapraszamy tutaj do nas na wykłady gościnne was, studentów, nie oznacza, że chcemy wiskać wam wiadomości o pracy Instytutu dotyczącej rozwoju naszej produkcji. Chcemy, żebyście się zajęli częścią podstawowych badań, to wszystko.

— A w dziedzinie badań nad mózgiem wyprzedzacie znacznie uniwersytet? Prawda?

— Znajdujemy się, żeby tak powiedzieć, w czołówce.

— A więc dziękuję! — mówi dziewczyna, wzrusza

ramionami, rzuca w moim kierunku krzywy uśmiech i odchodzi kołysząc się w swoich skórzanych botkach na wysokich obcasach.

## 30

Większość spraw jest w dalszym ciągu postawiona na głowie. Nie muszę, oczywiście, spędzać całych dni w przeznaczonym dla mnie płynie, lecz laboratorium zmieniło się nie do poznania. Dwa długie stoły laboratoryjne ze swoimi półkami i przedmiotami ze szkła zostały wystawione. Zamiast tego zastawia się teraz przestrzeń przy tylnej ścianie, tam gdzie miał kiedyś swoją kolebkę pies. Pod ścianą z tyłu wmurowano szeroką ławę, dodatkowo doprowadzono wodę i odpływ, a z sufitu zwisają pęki pojedynczych przewodów elektrycznych. Wolne końce przewodów są oklejone beżową taśmą izolacyjną. Jednak od kilku dni praca jest wstrzymana. Ponieważ Emma jest daleko, nie mam kogo zapytać.

Opiekują się mną różne osoby. Jedyнным opiekunem, którego znam z imienia, jest praktykant Curt. Lecz trudno mi z nim wytrzymać, mimo że znam jego imię. Jest niechlujny i porywczy. Jak długo zadawał się rozmontowywaniem aparatury, nie powstała żadna większa strata. Lecz teraz nie ma już oscyloskopu i wszystkich pozostałych wspaniałości. A więc nie ma tu już żadnego innego obiektu, którego mógłby dotykać — zostałem tylko ja.

Jest tu znowu szympans Flink, jak zwykle chorobliwie towarzyski. Odgrywa podwójną rolę: kiedy obecny jest personel, zachowuje się nieodpowiedzialnie i hałaśliwie jak znudzony nastolatek — kiedy natomiast jesteśmy sami, w nieskończoność snuje ciągle od nowa swoje wspomnienia. Wystarczy zresztą, żeby personel odwrócił się do niego plecami. Zaletą języka migowego jest to, że Flink może bardzo szybko przekazać kilka zdań ukradkiem, tak żeby nikt nie zdążył tego zobaczyć.

— Chyba jesteśmy zgodni? — mówi po raz piętnasty.

— Czy chcesz to mieć na piśmie?!

— Musimy obcować ze sobą na jednakowych warunkach — podkreśla. — Ja opowiem swoje wspomnienia, a ty swoje. Jesteś moim bankiem pamięci, Ipsilon. Jeżeli dokonają wymazania w mojej czaszce, przyjdę do ciebie i wybiorę swój kapitał wspomnień.

— A jeżeli nie przypomnisz sobie nawet tego, że to we mnie ulokowałeś swoje wspomnienia?

Zrobił niezadowoloną minę lub raczej posmutniał. W dalszym ciągu mam do niego pewną awersję w związku z przykrym sposobem nawiązania naszej znajomości, lecz on jest, oczywiście, wart pełnej sympatii. Dlatego, kiedy się smuci, nie mam żadnego powodu nazywać go niezadowolonym.

— Czy opowiadałem o wyspie małp?

— Tak. Lecz możemy to przecież powtórzyć.



— Ale czy na pewno cię nie zanudzam? Jeżeli tak, to powiedz. Przyjaźń wymaga szczerości.

— Przecież możemy jeszcze sprawdzić, czy niczego nie zapomniałem.

Flink przyciąga do siebie jeden pęk przewodów z sufitu, owija go wokół ciała, zapiera się mocno stopami i opowiada przy pomocy swoich długich ramion i rąk, jednocześnie kiwając się powoli z coraz mniejszymi wychyleniami:

— Toczyła się kiedyś wielka wojna. Sprawiała, że wiele ważnych artykułów pierwszej potrzeby nie dotarło do krajów, które je zamówiły. Dlatego ludzie wynaleźli środki zastępcze. Samochody napędzane były gazem generatorowym, kawę mielono z palonych żołądździ. Lecz naukowcy byli w jeszcze gorszej sytuacji. Już wtedy byliśmy małpami człękoksztalnymi. Zwłaszcza szympansy miały decydujące znaczenie dla badań, również dla eksperymentów militarnych z gazami działającymi na system nerwowy i odtrutkami. Można nas było częściowo zastąpić świnią, świnkami morskimi lub królikami. Lecz pod pewnym względem byliśmy unikalni: świnię, świnkę morską i królika nie mogą się nauczyć mowy przy pomocy znaków. Nie można umieścić świni w specjalnym kombinezonie wewnątrz satelity i liczyć na to, że da sobie radę z najprostszymi czynnościami.

Lecz małpa to potrafi. Zanim szlaki transportowe zostały całkowicie zablokowane przez wojnę, dwadzieścia szympansov przeniesiono z ich naturalnego

środowiska na obrzeżach sawann na małą, niezamieszkałą wyspę na wybrzeżu szerowym. Ponieważ jesteśmy złymi pływakami, nie było potrzebne ogrodzenie ani straż. Ustawiono rząd jakby psich bud jako ochronę przed deszczem, przywleczono z ogródka jordanowskiego stare wysłużone urządzenie, do zabaw i zbudowano blaszany pojemnik, który był wypełniany jedzeniem raz na tydzień.

Flink zmienia teraz sposób machania pękiem przewodów tak, że zamiast kiwać się z lewej strony na prawą wychyla się do przodu i do tyłu:

— Urodziłem się na wyspie małp. Każdej wiosny przyjeżdżała delegacja naukowców i testowała nas, młodych. Najinteligentniejsi dostali się tutaj lub do innych laboratoriów czy stacji kosmicznych. Najgłępszych przeznaczono do wiwisekcji, przeciętnych sprzedawano do cyrków i ogrodów zoologicznych. Nie było większych funduszy na utrzymanie wyspy małp. A więc chodziło o zdobycie pieniędzy. Ci, którzy byli bystrzy, zostali wcześniej odebrani rodzicom. O tym dniu nie będę opowiadał. Żadne elektrowstrząsy na świecie nie mogą zatrzeć tego wspomnienia... Czy myślisz, że na wyspie małp było bezpiecznie i wspaniale? Nie, Ipsilon, to było piekło. Żyjącym stworzeniom potrzebna jest praca. My nie mieliśmy pracy. Ongiś w dżungli moi rodzice ciągle byli zajęci zbieraniem liści i korzonków, pilnowaniem się przed szakalami i węzami, noszeniem ze sobą nas, malców, wyszukiwaniem szczelin z wodą, obserwowaniem

pogody lub wyłudzeniem łakoci od robiących zdjęcia turystów, którzy przyjechali na safari.

Na wyspie małp nikt nie musiał pracować. Nie zagrażały nam żadne drapieżniki. Jeśli zrobiło się zimno, wchodziliśmy do swoich bud. Jedzenie było wyśmienite, zawierało zarówno witaminy, jak i środki odrobaczywające. Czy wiesz, jakie były tego następstwa, Ipsilon? Intrygi. Romanse, zazdrość, zdrady, szantaże i utrapienia. W dżungli ród miał określoną hierarchię władzy, surowy, przestrzegany przez wszystkich regulamin... Lecz ta nierówność miała określony cel. Sprawiała, że wydawanie poleceń sprawdzało się w czasie kryzysu. Na wyspie małp nie było kryzysów, kryzysów uwarunkowanych przyczynami zewnętrznymi. Nic nie mogliśmy poradzić na to, że ludzie zabierali część młodych. W lwa mogliśmy rzucić kamieniem, lecz jeśli rzucaliśmy patykami lub szyszkami w badaczy, ryzykowaliśmy, że zostaniemy przez nich wybrani, bo wykazaliśmy inicjatywę.

— Ile zapłaciła za ciebie Biochine?

— Sprzedawano mnie w kilku etapach. Najpierw przebywałem w stacji rozplodowej. Kiedy stałem się dojrzały płciowo, pobrano kilka porcji mojej spermy w celu jej zamrożenia. Tak robiono ze wszystkimi.

— A więc masz już kilka stadek dzieci?

— Nie. Sperma zostanie użyta dopiero wtedy, kiedy pokażę, do czego jestem zdolny, może dopiero po mojej śmierci, kiedy dzięki jakiemuś programowi

komputerowemu będzie można podsumować moje życie: wartościowe lub bezwartościowe. Lecz Biochine nie posiada mojej zamrożonej spermy, ma ją uniwersytet, a dokładniej instytut genetyki. To jest obecnie bardzo bogaty instytut. Nie, nie będę zanudzał cię szczegółami dotyczącymi wyspy małp. Nie chcę wspominać o zbyt wielu przykrych sprawach. Czy pomyślałeś o pewnej rzeczy? Jeżeli mnie wyłączą, a potem wrócę tu do ciebie i poproszę, żebyś mi opowiedział swój życiorys... czy pomyślałeś o tym, że mam teraz życiową szansę upiększenia go, upewnienia się, że zwrócone mi zostaną tylko pogodne i ciekawe wspomnienia?

— Czy nie masz żadnych wymagań dotyczących dochowania wierności prawdzie?

— Nie, kiedy będę stary, będę mógł pomyśleć sobie o udanym życiu. Kogo stać na prawdę? Mam na myśli prawdę całkowitą. Może ciebie? Lecz jesteś przecież milionerem, jeśli chodzi o posiadaną inteligencję... Nie, nie oskarżam cię, nie chciałbym się zamienić. Wiszenie tu i huśtanie na tym zwoju przewodów daje mi nieopisane poczucie szczęścia. Powinieneś mi zazdrościć, Ipsilon.

— Zazdrościsz.

— Chciałbym jeszcze opowiedzieć o czymś innym, do czego, wydaje mi się, sam doszedłem. Moi rodzice nie mogli zapomnieć Afryki. Matka mówiła często: kiedy wojna się skończy, możecie być pewni,

że pierwszym statkiem popłynę do domu. Lecz wojna się skończyła dawno temu. Oczywiście, my wiedzieliśmy o tym, lecz moja matka nie, bo ona nie chciała wiedzieć. Nie mogła się pogodzić z faktem, że wojna się skończyła, a ona mimo to nie może wrócić. Czy wiesz, za czym tęsknię? Za wyspą małp. Nie za dżunglą. Myślę, że do dżungli mógłbym się udać w sentymentalną podróż w poszukiwaniu swoich korzeni. Ale mieszkać w Afryce? Nigdy! Wyspa małp ze wszystkimi swoimi intrygami i swoją destrukcyjną bezczynnością jest dla mnie domem. A teraz posłuchaj: tutaj jest wiele młodszych małp. Nigdy nie były ani w Afryce, ani na wyspie. Jedna z nich urodziła się w podręcznym cyrku, któremu stale groziło bankructwo. Oczywiście, tęskni za nim. Inna urodziła się w sztucznej macicy. Powinieneś słyszeć, jak wyrzuca z siebie tekst o laboratorium swego dzieciństwa. Jeżeli zaczniesz gadać o Afryce, roześmieje ci się prosto w twarz!

— Jeśli jesteś sprytny, Flink, wiesz, co powinieneś być mi opowiedzieć? Powinieneś być opowiedzieć o tym, jak tu dorastałeś.

— Problem w tym, że jestem złym narratorem.

— A więc pozwól mi coś wymyślić.

— Tobie??...

— Odczuwam potrzebę zajęcia się czymś rozsądnym.

— Pozwól mi wymyślić ci życie, jak dorastałeś

tu, w Biochine. Jeżeli potem faktycznie odłączą od ciebie przewody, przyjdiesz tutaj i dostaniesz ode mnie swoje życie. Życie, które sprawi, że nigdy nie będziesz tęsknił za wyspą małp. Przecież twój dom rodzinny jest tutaj!

— Czy mam oddać swoje życie w twoje ręce? Całkowicie?

— Pomyśl o tym. Co masz do stracenia?

— Chcę, żebyś teraz ty opowiadał. Nie powiedz ani słowa o swoim życiu.

Puszcza sztuczną lianę i siada na wąskim brzegu przedniej części akwarium.

— Nie mam nic do opowiedzenia o żadnym życiu.

— Lecz ja wiem, gdzie ono istnieje!

— Nie kłamiesz?

— Twoje życie znajduje się w stalowej szafie w piwnicy. W szafie pełnej starych akt i dzienników.

— Nie wierzę. Oni nie są tacy staroświeccy. Jeżeli moje życie istnieje, jeżeli z tajemniczych powodów nie zostało całkowicie wymazane, to istnieje na taśmie magnetofonowej lub na którymś z tych nowoczesnych antypodycznych zdjęć pęcherzykowych.

— Nieprawda, Ipsilon. Jestem tutaj dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że profesor nie wierzy tak całkowicie maszynom. Jest starym romantykiem. Czy tego nie pojąłeś? Ciebie ma w stalowej szafie.

Ustawili daszki, żeby mi nie „przeszkadzała” przebudowa w tylnej części laboratorium. Oczywiście, nie podoba mi się to, boję się, że zacznie wzrastać moja podejrzliwość. Tę obawę podziela personel z obchodu. Odkrycie, że coś się dzieje, nie zabrało mu dużo czasu. Codziennie pobierane są próbki wody, w której leżę. Sprawdza się, czy użyto właściwe środki odżywcze i elektrolity i kontroluje się też moje wydzieliny. W ostatnich dniach wzrosło paranoidalne stężenie roztworu. Wszyscy wiemy, co to oznacza: ładuje się moje wnętrze.

Lecz tym razem personel z obchodu nie próbował utrzymać w ryzach mojej wzrastającej podejrzliwości przy pomocy środków uspokajających. Zamiast tego dano mi „inny powód do rozmyślań” — to może przy odrobinie szczęścia przynieść taki sam skutek, jak środki psychofarmakologiczne. A przecież wszyscy boją się uzależnienia mnie od zbyt dużej ilości lekarstw. Zamiast nich dostałem aparat do czytania. Obok mnie, w dygestorium ustawili projektor z przezroczami. Przed daszkami robotników zajmujących się przebudową zwisa z sufitu ekran projekcyjny. Dzięki rozszczepieniu promienia światła, który przechodzi przez akwarium, mogę uruchamiać aparat do czytania: na ekranie projekcyjnym otwiera się strona po stronie. Na początku o wiele za wolno. Lecz teraz co trzy sekundy wyskakuje na przeźroczach

nowa strona. Moja odblokowana pamięć działa ejde-  
tycznie, to znaczy tak jak aparat fotograficzny.

W dalszym ciągu pozwala mi się tylko na pewien  
typ lektury. Obecnie jest ona trojakiego rodzaju:  
zwykle stare katalogi towarowe, partytury z nutami i  
podręczniki omawiające centralny system nerwowy.

— Im więcej wiesz na temat tego, jak funkcyj-  
jesz, tym powinienes być spokojniejszy — mówi pro-  
fesor.

Możliwe. Ten proces może mieć również odwrot-  
ny skutek: ten, kto widział wnętrzości w kolorowej  
telewizji, może z łatwością sobie wyobrazić, że w  
każdej chwili nastąpić może tysiąc pomyłek. A czy  
człowiek uspokaja się myśląc o własnym sercu, o  
tym, jak bardzo skomplikowanym, skoordynowa-  
nym procesem jest każde uderzenie?

Jednak rzeczywiście uważam, że stałem się spo-  
kojniejszy, od kiedy zacząłem zdobywać wiedzę. I  
temu optymistycznemu stwierdzeniu nie przeczy  
żadna analiza chemiczna moich wydzielin. Poczucie  
bezpieczeństwa daje znajomość faktu, że myśląca  
część mózgu, szara substancja, ma taką samą ilość  
komórek nerwowych czy „komórek myślących” co  
Droga Mleczna ciał niebieskich oraz że między tymi  
komórkami nerwowymi czy neuronami znajduje się  
1 000 000 000 000 000 synaps czy złącz. Czy dzięki  
nim człowiek staje się mądrzejszy? Kto to wie. Kto w  
rzeczy samej wie, ile przestrzeni potrzebuje myśl lub



wspomnienie? Na przykład wyspa mała Flinka — czy mieści się ona w jednej komórce nerwowej, czy potrzebuje całej konstelacji gwiazd? Dziś rano spytałem o to profesora, lecz on się tylko roześmiał, mówiąc:

— I to pytanie zadajesz nam! Czy nie powinniśmy postawić go tobie?

Czy mózg służy ciału czy odwrotnie? Żadna z drukowanych książek nie dała do tej pory na to odpowiedzi, mimo że zbiory biblioteki Biochine dotyczące tej dziedziny powinny być mieć coś odpowiedniego. Gdyby mózg służył ciału, trzeba by go potraktować jako dodatek, organ jeden z wielu, system sprzężenia zwrotnego i sterowniczy, regulator lub przekaźnik, bez którego ciało wpadłoby w korkociąg, zaczęło się gotować i wysychać.

Może jestem stronniczy, lecz dla mnie naturalne jest myślenie odwrotne: ciało, które opuściłem, gdziekolwiek się ono znajduje, na cmentarzu, w wannie z formaliną, w zamrażalniku lub w postaci błędzącego zombie — to ciało nie jest dla mnie niczym innym niż wymyślnym kostiumem. Zespołem protez i motorów pomocniczych obsługujących mózg, to znaczy mnie. Żeby jeść, potrzebuję rąk, ust, żołądka i tak dalej. Żeby dojść do stołu, potrzebuję nóg. Prawie całe pożywienie zużywane jest przez ciało, lecz żeby utrzymać w normie poziom glukozy w mózgu — mózg odżywia się tylko cukrem — potrzebny jest ten zawiły system, to łatwe do zranienia,

delikatne, duże i głupie ciało. Ciało jest bezmyślne, bezmyślne jak korzeń lub korona drzewa.

Mózg to ja. Lecz w którym miejscu znajduje się mózg? Zapytałem kogoś z obchodu. Jak zwykle, kiedy chodzi o bardziej natarczywe pytania, odpowiedział mi profesor:

— Wiesz co, Ipsylon, pytałem moją poprzednią żonę o tę samą rzecz. Czy wiesz, co odpowiedziała? Nigdy o tym nie myślała. Dla niej odpowiedź była wiadoma: gdzieś w środku czaszki znajduje się mała biała istota, która obsługuje całą maszynę, mniej więcej na tej zasadzie co technik siedzący przed swoją tablicą w elektrowni jądrowej. I ta mała istota jest jej własnym „ja”.

Mała biała istota? Czy może być pociechą dla śmiertelnika? Czy to jest to małe stworzenie, które porzuca statek, kiedy się umiera? A jak wygląda to coś małego białego od środka? Czy ma mózg, mięśnie, żołądek? Może z kolei w mózgu tego małego białego stworzenia siedzi jeszcze mniejsze — zielony mini-człowieczek, który kieruje całym interesem ze swojego obrotowego fotela, a wewnątrz niego różowy, a wewnątrz różowego fioletowy i tak dalej przez wszystkie kolory tęczy?...

Czasami wieczorem kładę się na plecach tu, wewnątrz mózgu. Leżę rozluźniony z rękoma pod głową i z lekko podkurczonymi kolanami. Leżę tak, wpatrując się w sklepienie czaszki na swoim własnym niebie usianym gwiazdami. Nie mogę dojrzeć

zwykłych gwiazdozbiorów; tutaj nie ma ani Wozu Karola, ani Plejad czy Pasa Orionu lub Małego Psa. Lecz w tym skomplikowanym hafcie, na tym sklepieniu niebieskim utkanym z neurytów znajdują się inne wzory. Szkoda tylko, że nie mam papieru, długopisu ani silnej lunety do obserwacji gwiazd.

## 32

Będziemy mieli wizytę kierownictwa. To ma jakiś związek z funduszami. Podwoiła się częstotliwość obchodów. George robi obchody również popołudniami. Czy czynię jakieś postępy? Czy jestem rentowny? Ostatnio prawie ciągle milczałem. Chciałbym zamilknąć całkowicie. Lecz jeśli zupełnie przestanę się odzywać, będę ryzykował swoim życiem. Wtedy prawdopodobnym wnioskiem, jaki im się nasunie, będzie ten, że wysiadł mi jeden z torów myślowych. Nie chcę pójść na przemiał.

Kierownictwo zapowiedziało, że złoży nam wizytę po lunchu. Dwie godziny przed lunchem profesor siedział tu drapiąc mnie po plecach. Czule, z fantazją, lecz metodycznie. Emma twierdziła, zanim wzięła wolne, że on ma opinię donżuana. Jednak na moje bezpośrednie pytanie, czy ma ona na tym polu osobiste doświadczenia, zaprzeczyła.

Po lunchu dla kierownictwa goście wydawali się ożywieni, syci lub senni od jedzenia. Kierownictwo

składa się z siedmiu osób. Trzy z nich to naukowcy, którzy tu pracują. Naukowcy nie wykazują specjalnego zainteresowania. Zwracają uwagę, żeby przeżyć odbitki, podczas kiedy profesor mówi i wprowadza do tematu. Jakiś laik z kierownictwa — z tabliczki z nazwiskiem wynika, że jest z personelu — pyta o „wyznaczenie celu”. Z min i grymasów, którymi porozumiewają się między sobą naukowcy, pojmuję, że to pytanie świadczy o jego złej znajomości rzeczy. Lecz profesor cierpliwie wyjaśnia.

Kiedy myślę, że nadeszła moja kolej, zainteresowanie wzbudza wentylacja. Starszy mężczyzna z kierownictwa należy również do komitetu opieki. Dochodzi do dłuższej gadaniny. Pochylają się nad akwarium nie przejmując się mną. Oświetlają latarką daszek nade mną.

W końcu ktoś się mną przejął. Jest to niska, pulchna kobieta w okularach na sznureczku zawieszonym na szyi.

— Że też on może żyć bez towarzystwa — mówi uśmiechając się, nie do mnie, lecz do profesora.

— Czysty intelekt nie jest jednostką zbyt towarzyską.

Pozostali członkowie kierownictwa — oprócz naukowców — również się przyglądają. Ktoś złośliwie się uśmiecha. Ktoś inny chichocze. Dobrze rozumiem, że budzę wstręt. Żaden człowiek nie chciałby chyba poznać swojego wnętrza w taki obcesowy i brutalny sposób.

Kiedy wymaszerowali z laboratorium, poczułem się zupełnie zapomniany. Emmo, dlaczego mnie opuściłaś? Jeśli będę zdany na samego siebie, to bez pomocy sztucznych środków grozi mi wpadnięcie w głęboką depresję. Wszystko jest bez sensu.

Po kilku minutach wchodzi profesor ze sprzętem do gry w golfa. Podnosi w górę kciuk, śmiejąc się i mówiąc:

— Wziąłeś ich szturmem, ty szelmo! Udała się cała ta intryga.

— Nie doprowadzaj mnie do szału! — mówię.

— Właśnie próbujemy tego uniknąć, Dzielny. Potrzebujemy twojego rozumu, nie ciebie.

Wesoło gwizdząc wymaszerował z torbą golfową na ramieniu. Jej futerał ma kształt grubej rury i jest jakby dopasowany do kształtu broni pancernej lub przenośnego miotacza granatów.

## 33

Nocą wróciły białe szczury. To nie była taka sama impulsywna próba ucieczki jak poprzednio. Skąd pamiętam, że był jakiś poprzedni raz? Wkrótce przyjdzie chyba czas na kolejne oczyszczenie w formie kilku elektrowstrząsów. To nie jest przyjemne, kiedy prześladuje nas przeszłość. Wspomnienia przychodzą najczęściej w postaci uczuć. Dominujące

jest poczucie winy. Za co właściwie ponoszę winę?  
Za coś strasznego, lecz za co?

Szczury zachowywały się bardzo grzecznie. Pierwszy — miał około dwóch metrów długości i spacerował bez żadnego zażenowania na tylnych łapkach — wsunął najpierw górną część tułowia przez drzwi w lewym rogu pokoju, uśmiechnął się uprzejmie, zastukał knykциями w futrynę drzwi, odczekał parę sekund, a następnie wszedł do laboratorium z lekkim ukłonem najpierw w moim kierunku, a potem w kierunku daszka, tak jak gdyby za nim stał ktoś ukryty. Szczur rozejrzał się wkoło z uśmiechem, trzymając łapki założone na grzbiecie. Następnie przekrzywił łebek, znów spojrzął na mnie i zrobił w kierunku drzwi gest wyrażający pytanie. Nie mogłem odmówić mu wpuszczenia jego towarzyszy. Weszli uginając kolana, stąpając niemal na palcach, z zażenowanymi uśmiechami, zdając sobie w pełni sprawę, że jest już późno. Wskazywali sobie nawzajem różne przedmioty w pokoju. Ich mimikę można określić w rubrykach „zdziwienie” i „podziw”.

Coraz więcej wchodziło ich do laboratorium. Szybko straciłem rachubę. Wszystkie miały około dwóch metrów długości, niektóre dochodziły może do dwóch i pół. W tym ścisku można było dostrzec, że szczirom zależało przede wszystkim na tym, żeby nie nadepnąć sobie na wąsy. Deptały bez większego skrępowania po łapach sąsiadów i wciskały sobie nawzajem kościste łokcie w obwisłe fałdy brzuszne,

lecz na wąsy uważały, tak jakby włoski były cienkimi pręcikami ze szkła. Współczułem im. Boję się o swoje dwa srebrne pręciki na czaszce w równym stopniu co o swoje jedyne oko.

Co te wszystkie szczury robiły w laboratorium w środku nocy? Zakładam, że to była delegacja. Było ich dużo, z pewnością ponad czterdzieści. Tylko te, które stały najbliżej mojego akwarium miały szansę coś zobaczyć.

Wizyta szczurów musiała mieć czysto rutynowy charakter. One były naprawdę bardzo taktowne. Nawet ich przewodnik, który wszedł pierwszy, nie odważył się zadawać bezpośrednich pytań. Całe towarzystwo powoli chodziło dokoła i rozglądało się, większość trzymała się swoimi różowymi łapkami za wąsy. To był zabawny widok — wyglądały tak, jakby nosiły lśniące białe snopki zboża. Zmęczyły mnie wciąż nieznikające białe futerka, więc spuściłem głowę. Nauczyłem się metody „przymykania oka”. Zamiast opuszczać powiekę, której nie mam, przyciskam oko do szkła akwarium. Jeżeli uciska się oko, zmieniają się parametry optyczne, następuje rozmycie obrazu i jego zakłócenie spowodowane przez czarne plamy. To jest moja metoda izolowania się od świata zewnętrznego. Kiedy spojrzałem ponownie, cała delegacja zniknęła, tak samo dyskretnie jak przybyła. Z pewnością nie zauważyły, że pozostawiły po sobie pojedyncze białe włoski i kępki futra na podłodze oraz wygryzione narożniki w pokoju.

Jestem pewny, że w przeciwnym razie pozbierałyby wszystko po sobie.

Rozmyślałam o wizycie szczurów. Najbardziej uderzającą rzeczą jest ich wielkość. Nigdy przedtem nie widziałem szczura doświadczalnego, którego długość przekraczałyby dwadzieścia centymetrów odliczając ogon, a więc te były dziesięć razy dłuższe. Istnieje również inna możliwość. Wiem przecież, że George ze swoim zespołem przeprowadzają na mnie różne próby. Czasem odłączają mnie od aparatury i wtedy wszystko staje się czarne — lub raczej białe — na dłuższy lub krótszy czas. Błahostką byłoby dla nich przeniesienie mnie do dużo mniejszego pomieszczenia, do, powiedzmy, starannie wykonanego modelu laboratorium pomniejszonego o dwadzieścia razy. Jeżeliby umieszczono przed moim akwariem takie laboratorium o wielkości pokoju dla lalek, to czy wtedy miałbym jakąkolwiek możliwość stwierdzenia, czy szczury mają dwa metry czy dwadzieścia centymetrów?

## 34

Skończyli z przebudową. Położyli również nowe kafelki w miejscu, gdzie stały dwa stoły laboratoryjne. Nowe kafelki błyszczą bardziej niż stare. Pod ścianą naprzeciwko mnie zbudowali nowe dygestorium, które jest szersze i trochę niższe niż moje.



W dygestorium znajdują się półki, na których stoi siedem szklanych pojemników różnej wielkości. Kilka z nich ma takie same wymiary jak moje akwarium, parę jest mniejszych, a jeden jest co najmniej dwa razy dłuższy. Pod daszkiem dygestorium wiszą przełączniki, kable i reflektory, jeden przy drugim, jak w teatrze. Pod dygestorium stoją cztery oscyloskopy z odchylonymi w górę ekranami. Znajduje się tam również pompa jonowa, transformator i inny sprzęt elektryczny.

Czy mam ponure widoki na przyszłość? Czy ta nowo zbudowana rzecz jest przeznaczona dla mnie? Personel z obchodu nie odpowiada na takie głupie pytania. Od Flinka dowiedziałem się mimochodem, że w pokoju socjalnym mówiono o „eksperymentach z ziarenkami”. To pojęcie brzmi niewinnie, lecz systematyczna lektura rocznika „Postępy w neurofizjologii” sprawiła, że nie jest mi obce. Eksperymenty z ziarenkami polegają na tym, że do żywej tkanki wszczepia się mikrokomputery o kształcie mikroskopijnych ziarenek. Rozróżnia się ziarenka i igielki. Igielki to mikrokomputery, które mają formę włókienek biegnących jak pasemka włosów i które można wetknąć do tkanki nerwowej i precyzyjnie skierować na pewne ośrodki lub jądra komórek nerwowych. Natomiast ziarenka wprowadza się bezpośrednio do krwioobiegu i krążą one razem z krwinkami, a następnie osiadają w różnych miejscach centralnego systemu nerwowego. Istnieją dwie zasadnicze

różnice między ziarenkami i igielkami. Igielki mają kilkakrotnie większą wydajność, która zależy od ich ogromnej, w porównaniu z ziarenkami, powierzchni. Lecz do mózgu nie można wetknąć nieograniczonej ilości igiełek, nie uszkadzając nerwów krzyżujących i przewodzących. Problem z ziarenkami jest zupełnie inny: trzeba sprawić, żeby trafiły na właściwe miejsce. Ziarenka muszą być odlane tak, żeby pasowały do komórek nerwowych jak poszczególne części układanki.

Wspólne dla obu technik jest ryzyko odrzucenia obcego ciała. Korzyść jest z reguły również taka sama: uwalnia się tkankę nerwową od wykonywania części, głównie mechanicznych i stereotypowych, funkcji, takich jak na przykład uczenie się i zapamiętywanie.

Wiem, że jestem zbyt drogocenny, żeby naukowcy odważyli się cokolwiek ryzykować. Wyszkolenie mojego następcy zabrałoby im wiele miesięcy a może lat. Jednak i tak odczuwam instynktowny wstręt przed wszczępieniem mi ziarenek lub igiełek. Wiem, że to jest czysto emocjonalne. W zasadzie to nic gorszego niż uczucie, jakie się odnosi przy wkręcaniu śruby do złamanej szyjki kości udowej. Lecz nie mogę się jednak z tym pogodzić. Moje życie umysłowe biegnie wieloma torami i jest urozmaicone jak Droga Mleczna. Nie chcę, żeby unosiły się w nim satelity lub sondy. Nie chcę mieć w swoim wnętrzu metalu.

Dzisiaj po południu przydzielono mi nowego

towarzysza w miejsce psa. Wnieśli chłodziarkę po-dróżną i wyjęli z niej coś, czego nie mogłem zobaczyć, bo zasłaniali mi widok.

Przez kilka godzin próbowałem dojrzeć swojego nowego towarzysza, lecz odległość między nami była trochę za duża, około siedmiu metrów. Może byłem kiedyś krótkowidzem, a może ciecz w moim akwarium powoduje zmianę proporcji? Zaczynam wyra-biać sobie ogólne wyobrażenie o wyglądzie kolegi. W lekko zabarwionym na zielono, migoczącym płynie akwarium widać niewyraźnie coś bladoróżowego. Przeważnie leży spokojnie jak rozmazana bryła, lecz czasem wykonuje gwałtowne ruchy, na pierwszy rzut oka niezamierzone. Kiedy się porusza, przypomina ośmiornicę z krótkimi, silnymi ramionami, które pracują tak jak pompa, migocząc przy tym. Wydaje się, że ma słaby wzrok, bo czyniąc gwałtowne ruchy skierowuje się na szkło i odpoczywa przez kilka se-kund, zupełnie wyczerpany, jak ptak, który uderzył w okno.

To jest ręka, odcięta ręka. Dziś wieczorem kąpali-śmy się, najpierw ja, a potem kolega. Kiedy leżałem świeżo wykąpany, mając uczucie, że spoczywam między dopiero co wymaglowanymi, jeszcze wilgot-nymi prześcieradłami, mogłem dokładnie zobaczyć, jak Curt podchodzi do nowo przybyłego, wkłada gumowe rękawiczki, wyjmuje go z akwarium i kła-dzie na ręczniku. Następnie podszedł do mnie i po-kazał, co trzyma. Była to ludzka ręka, nienaturalnie

biała, tak jak ręce trzymane długo pod wodą. Ręka była odcięta i zszyta tuż nad dłonią. Miała uniesiony w górę palec wskazujący i błędziła po omacku jak ślimak, który po deszczu z wielką nieufnością otwiera swe zdumione oczy.

On — lub ona — musi być ślepy. Zanim Curt z powrotem włożył rękę do akwarium, dał jej zastrzyk w jedną z niebieskozielonych żył na grzbiecie dłoni. Przypuszczam, że to było jedzenie. Ręka mająca grubą skórę nie może przecież, tak jak ja, pobierać pożywienia bezpośrednio z otaczającej ją cieczy. Kiedy dostała zastrzyk, zadrżała, co świadczy o tym, że zachowała częściowo swoje życie uczuciowe.

Nie wiem, jak nawiążę kontakt ze swobodnie poruszającą się wokół ręką, którą z braku lepszego określenia nazywam właśnie Ręką. Z szympansem mogę się porozumiewać na migi. Oczywiście Ręka nadaje się do tego wyjątkowo dobrze, lecz ona przecież nic nie widzi. Wprawdzie ma jeszcze wszystkie paznokcie, lecz nie byłbym optymistą, jeżeli chodzi o używanie paznokci jako organów reagujących na światło. Obrazy musiałyby być w takim przypadku bardzo prymitywne i jakościowo dużo gorsze niż obraz popękanej sali lustrzanej, który dociera do oka muchy złożonego z fasetek. Paznokcie mogą być najwyżej używane jako baterie słoneczne, ponieważ światło działa w jakiś sposób na Rękę. W przeciwnym razie nie skierowano by na nią reflektorów

punktowych. Wydaje się, że paznokcie obracają się w kierunku źródła światła. Kiedy Ręka zupełnie się uspokaja po jednym ze swoich okrążeń przypominających pływania, kładzie się zawsze z na wpół zaciśniętą pięścią, tak że paznokcie tworzą pierścień złożony z pięciu czworokątów zwróconych w kierunku reflektorów.

Czy Ręka słyszy? Kilka razy w różnych sytuacjach odwróciła dłoń w moim kierunku i przyjęła taką pozycję, jak ktoś, kto nie dosłyszy. Lecz przecież nie istnieje żaden organ słuchu, do którego mogłoby być dalej przekazywane światło. Sądzę natomiast, że siła Ręki leży w czuciu. Czasem przyciska czubki palców do szkła. Gdybym miał stopę, tupnąłbym w dno mojego akwarium. Jeżeli Ręka jest dostatecznie czuła, na pewno odczuje drgania. Z powodzeniem wystarczyły tu alfabet Morse'a, przynajmniej mnie, który go opanowałem. Dlaczego opanowałem alfabet Morse'a? Czy w przeszłości miałem do czynienia z telegrafem?

To dziwne, że Ręka może poruszać się tak swobodnie, mimo że jest amputowana od ramienia. Przecież wiele mięśni palców zaczyna się wysoko na ramieniu. Lecz amputowana ręka nie potrzebuje widocznie dużej siły, żeby pokonać swój własny ciężar. Wydaje się, że wystarczą jej krótkie mięśnie palców. I unoszenie jej przez wodę! Po co by trzymano żyjącą rękę pod wodą, jeżeli nie chciano by wykorzystać falowania wody? Porażeni paralizem

dziecięcym i nieumiejący poruszać się na lądzie stałym, często potrafią pływać ze zdumiewającą łatwością.

Zupełnie przypadkowo wpadłem na to, jak mogę kontaktować się z Ręką. Mam często tak zwane odruchy fantoma: swędzą mnie plecy, drży mi policzek lub bolą hemoroidy, których pozbyłem się dawno temu. Teraz swędzi mnie nieznośnie prawe ucho, które mi pozostawiono. Zupełnie instynktownie podniosłem prawą rękę, której już nie mam, do ucha, wsadziłem środkowy palec do otworu usznego i przeciągnąłem nim tam i z powrotem. Jednocześnie kontrolowałem Rękę. Praktycznie nie mogę przecież odwrócić wzroku. Czuję, że wykonuję jakiś ruch i widziałem, że Ręka robi identyczny. Uniosła się i skurczyła cztery palce, pozostawiając środkowy wyciągnięty do przodu. Potem, raz za razem, obracała nim, jakby to był śrubokręt, którym się wkręca śrubę. To było dla mnie cudowne, poczuć ucisk czubka palca w przewodzie słuchowym!

## 35

Flink znów jest tutaj i nie daje mi spokoju z naszą umową dotyczącą wspomnień. Nie chcę słuchać o wyspie małp i dżunglach Afryki. Chcę, żeby sobie poszedł. Przeszkadza mi w moich ćwiczeniach z Ręką. Skupiam całą swoją cierpliwość na próbie nawiązania z nią kontaktu. Flink się nią nie przejmuje.

Traktuje ją jak egzotyczną rozgwiadę w akwarium udostępnionym publiczności. W żadnym wypadku nie chce mi pomóc w próbach nawiązania kontaktu z Ręką.

— Nie przejmuj się Ręką —daje znak Flink — To my, myślące stworzenia, powinniśmy trzymać się razem!

— Przecież trzymamy się razem! Zapewniam cię, że znam twój życiorys na pamięć, każdą sylabę, każdy znak przestankowy.

— Lecz ja nie wiem nic o twoim życiu oprócz tego, że wydaje ci się, że przypominasz sobie kobietę w czerni, która głaszcze cię po policzku, kiedy leżysz w respiratorze. Cóż to jest»w porównaniu z wyspą małp?!

Oczywiście, nie byłoby dla mnie wielkim problemem wymyślić życie, które zadowoliloby Flinka. Mógłbym być budowniczym statków kosmicznych mającym żonę, która jest gospodynią domową, oraz dwoje dzieci w wieku szkolnym, lub niezależnym artystą wykonującym skoki na trapezie, który spadł spod kopuły namiotu i złamał kark. Albo wielokrotnym mordercą, który został stracony pod nadzorem naukowców. Do wyboru mam całą książkę telefoniczną. Ale nie będę opowiadał Flinkowi bajek. Bardzo łatwo jest wpaść w pułapkę zastawioną przez samego siebie: jeżeli znów zaaplikują mi elektrowstrząsy, będę miał przy sobie mamroczącego Flinka, jak tylko się obudzę. Wtedy z radością i bezkrytycznie

przyjmę od dobrodusznego Flinka historię mojego życia, która będzie czystą fantazją.

— Mam dla ciebie prezent! — mówi Flink i przysuwa zieloną teczkę.

— Niespodziankę?

— Można tak powiedzieć: twoje życie.

Z dumą przyciska wierzch teczki do szkła akwarium. Znajduje się na niej napis „IPSYLON, wywiad lekarski”. Na chwilę zaniewidziałem moim jedynym okiem. Pole widzenia zwęziło się do szparki, tak jak wtedy, kiedy człowiek jest bliski omdlenia. Mam też zawroty głowy i odczuwam mdłości. To jest dla nas obu wielkie szczęście, że nie jestem już podłączony do oscyloskopu. W przeciwnym razie natychmiast wszczęto by alarm.

— Skąd wzięłeś teczkę?

— Z piwnicy, z metalowej szafy, jak już powiedziałem!

— A skąd wiesz, że to jestem ja?

— Przecież jest napisane Ipsylon. Takie same bazgroły, jakie widnieją na kawałku plastra na twoim akwarium. Tutaj!

Skrobie w dolny prawy róg szyby, która nas dzieli. Dopiero teraz dowiaduję się, że mam szyld z nazwiskiem. Musieli mieć ze mnie zabawę po poprzednich elektrowstrząsach, kiedy pewien czas sądziłem, że nazywam się Dzielny.

Flink zaczął kartkować teczkę. Jest gruba, może



mieć od 100 do 200 stron. Tekst miga przed oczyma; krzywe EEG, wyniki laboratoryjne, kody.

— Dlaczego nie ukradłeś swojego własnego dziennika? — pytam. — Wtedy nie musiałbyś liczyć na mnie, na to, że przypomną sobie historię twojego dzieciństwa.

Najpierw udał, że nie słyszy. Kiedy powtórzyłem pytanie, był zażenowany.

— Potrafię przeczytać tylko pojedyncze znaki.

Wychodziłem z założenia, że Flink umie czytać — był to pochopny wniosek. Ten, kto opanował porozumiewanie się na migi, nie potrzebuje przecież czytać liter. Analfabeta może być przecież bardzo dobrym mówcą, chociaż nie potrafi przeczytać nawet swojego nazwiska.

— Gdybym umiał czytać, przeczytałbym ci twój dziennik, Ipsilon.

— Cieszę się, że nie potrafisz czytać.

— Ale mam inny pomysł. Mogę się tu przemknąć z kilkoma papierami naraz i przycisnąć je do akwariium przed twoim okiem. Ty czytasz przecież szybciej niż ktokolwiek z ludzi... Lub, jeśli chcesz, spróbuję postarać się o fotokopie, które możesz włożyć do aparatu do czytania.

— Oni usunęli aparat. Nie byli pewni, czy dobrze się z nim czuję.

— W takim wypadku nie wiem, co mam robić. Jeśli się jednak teraz pospieszymy, zdążysz chyba przeczytać parę stron?

— Chcę cię poprosić o zrobienie czegoś bardzo ważnego. Chcę, żebyś przyrzekł zrobić to, o co cię teraz poproszę.

— Oczywiście.

— Chcę, żebyś natychmiast zszedł do piwnicy i włożył teczkę z powrotem do metalowej szafy.

— A ja miałem taki kłopot z jej zwędeniem! I już znalazłem idealną kryjówkę: za zbiornikiem wody w WC!

— Połóż ją z powrotem na swoim miejscu. Oni odkryją, że zginęła!

— Nie będą przecież, do diabła, podejrzewać mnie, głupiej małpy!

— Proszę cię.

Teraz jest smutny. Nachmurzony kartkuje teczkę jak plik banknotów, które nagle zostały zdevaluowane do ułamkowej części swojej poprzedniej wartości.

— Gdybym tylko mógł zrozumieć, dlaczego?

— Dlatego, że już tego nie mogę wytrzymać — mówię. — Przecież nie ma powrotu. Nie jestem w stanie słuchać o życiu... Może mam dzieci, Flink. Lecz nie chcę tego wiedzieć. Nie mam siły. Poza tym moja dalsza egzystencja tutaj zależy od tego, czy będę z nimi współpracował. Jak myślisz, co się ze mną stanie, jeżeli profesor odkryje, że zaglądałem do dziennika? Użyją maszyny wywołującej elektrowstrząsy.

Flink podnieca się i zmienia temat rozmowy, w

jednej chwili wpada z głębokiego rozczarowania w entuzjazm:

— Wiem, do czego chcą cię wykorzystać!!

Skąd Flink może to wiedzieć? On, który nawet nie potrafi czytać.

— Oni chcą dysponować przykładem!

— W jaki sposób?

— Gdybyś tutaj nie leżał, byłbyś martwy, co? A jeżeli rzetelnie będą się tobą opiekować, będziesz mógł przeżyć osiemset lat?!

— Mniej więcej.

— Lecz czy nie pojmujesz, Ipsilon, że jesteś najwyższą wygraną dla nauki?! Nie ma z ciebie żadnego praktycznego pożytku, lecz stanowisz przykład. Jesteś mianowicie dowodem na to, że można przezwyciężyć śmierć lub przynajmniej odsunąć ją na osiemset lat, jeżeli tylko nauka zainwestuje wystarczające środki... I właśnie tego wy, ludzie, chcecie się dowiedzieć od nauki: że naukowcy mogą trzymać śmierć pod kluczem!

— Niegłupia teoria, Flink...

— Genialna! Przyznaj sam.

— Lecz błędna. Dlaczego w takim wypadku stosuje się elektrowstrząsy, żeby usunąć pamięć? Dlaczego stosuje się ćwiczenia mowy? Po co ta troska, jeżeli wartość mojego ilorazu inteligencji zmienia się? Dlaczego przeznaczają się dla mnie drogie anteny? Żeby chodziło tylko o to, aby pokazać, że można utrzymać przy życiu mózg. A dlaczego ryzykować

wtedy to życie (podczas skomplikowanych operacji)? Mylisz się więc, Flink.

— Przepraszam. To bolesne zostać przywołanym do porządku, to sprawia ból pojąć, że nie jest się tak mądrym jak ty...

— Myślę, że przygotowują dla mnie coś zupełnie wyjątkowego. Jestem zbyt drogi, żeby stanowić tylko numer popisowy. Biochine jest poważnym zakładem, wymagającym dochodu odpowiedniego do zainwestowanych środków.

Flink schyla czoło przed tym rozumowaniem w kategoriach ekonomiki rynku, ścisła pod pachą zielony dziennik, potakuje i wybiega truchtem.

Są inne powody, dla których teoria Flinka nie trzyma się kupy. Zaczęli aplikować mi cortison w małych dawkach. Początkowo się tym nie przejmowałem. Lecz kiedy zacząłem odczuwać opuchliznę i ogarniał mnie czasem niewytłumaczalny niepokój, a poza tym miewałem koszmarne sny, zapytałem o to na obchodzie. Tak, dali mi cortison, hormony kory nadnercza. Ale dlaczego? Wymawiano się od odpowiedzi. Lecz nie doceniają mnie: myślę, że przygotowują transplantację. Aby to zrobić, muszą mieć pod nadzorem moją odporność immunologiczną.

Komu zamierzają mnie przeszczepić? Czy chcą wszyć mnie jakiejś głowie państwa mającej zwapnienie żył? Najchętniej wróciłbym do swojego dawnego ciała. Może doprowadzili je do porządku podczas kiedy tutaj leżałem? Chciałbym poczuć się w

swojej starej czaszce tak jak piskłę w gnieździe. Fantazja! Nie potrzeba zwiększać odporności immunologicznej u kogoś, kto ma być wszczepiony z powrotem w swoje własne ciało.

## 36

Jest sobota i odczuwam szalone swędzenie w całym ciele. Jak spłoszony okoń pływam wkoło w swoim mikroskopijnym basenie. Szukam towarzystwa. Płeć nie gra roli, ważne, żeby to było żywe stworzenie, z którym mógłbym połączyć się w parę. Wspinam się na szkło i uderzam końcówką rdzenia o twardą powierzchnię. Praktykant, który właśnie podał mi jedzenie, wsuwa swój palec do akwarium, lecz przerażony wycofuje się, kiedy z zapalem atakuje palec.

Co się ze mną dzieje?! Nie przypominam sobie, żebym przy jakiejś okazji podczas mojego pobytu tutaj był tak wypełniony żądzą. A więc muszę z rezerwą podchodzić do swojej zniszczonej pamięci. Lecz uczucia się przecież rozpoznaje, do tego nie jest potrzebny żaden system katalogowy. Pożądliwie wpatruję się w Rękę w akwarium naprzeciwko. Czy mam opaść na dno, naładować się energią, wziąć rozbieg i jak podwodny pocisk przelecieć w poprzek pokoju i wpaść prosto we wspaniałą fałdę między kciukiem a palcem wskazującym Ręki?!

Zdjęcia pornograficzne przelatują przez mój mózg.

Popęd zmusza mnie ponownie do pływania dokoła akwarium. Kładę się na wodzie brzuchem do góry i odsłaniam zapraszająco swoje szczeliny i otwory. Lecz nikt nie wybawia innie z trudnej sytuacji. Z trudem udaje mi się znów przewrócić na właściwą stronę — nie chcę leżeć tu jak bezradny chrząszcz i topić się we własnych sokach. Oszołomiony opadam na dno i kołyszę się jak moneta w studni. Wówczas zauważam profesora, George'a. Co on tu robi w sobotę?!

— Już dobrze, dobrze, Ipsilon — mówi i zanurza całą rękę.

Ocieram się o jego dłoń, lekko w nią uderzając, aż powoli przechodzą przeze mnie konwulsje.

— Czy teraz lepiej?

Potakuję wyczerpany, moje uszy również oklapły.

— To było małe nieporozumienie. Praktykant dał ci przypadkowo testosteron, który był przeznaczony dla jednego z kapłonów w kurniku. To wkrótce przejdzie.

A więc dostałem porcję hormonu płciowego! Teraz brakuje tylko tego, żeby na całej mojej powierzchni pojawiły się młodzieńcze krosty.

— Czy nie możecie się przedtem upewnić? — pytam. — Teraz, kiedy możemy ze sobą rozmawiać. Pozwólcie mi brać w tym udział i sprawdzać etykiety na buteleczkach!

— Pomyślmy o tym.

George ma ze sobą wielki futerał o kobiecych kształtach, który nie może chyba być przeznaczony na kije golfowe.

— Czy chcesz, żebym ci trochę pograł? — pyta i wyjmuje wiolonczelę.

Cieszę się. George przysuwa taboret, przytwierdza podpórkę pod wiolonczelę, dmucha na smyczek, nastroja instrument, patrzy w sufit, bierze rozmach, pochyła się nad wiolonczelą i zaczyna grać.

To jest bardzo ładne. Ponieważ mam dwie anteny, mogę słuchać tego fragmentu w stereo. Muzyka mnie fascynuje. Wiem, że przez długi czas sądziłem, iż słuchając trzeba szukać w wyobraźni obrazów do muzyki. To stało się bardzo męczące i szybko pogubiłem się wśród gmatwaniny różnych obrazów. Lecz nie tak dawno temu — kiedy to było? — odkryłem, że nie potrzeba się przejmować żadnymi obrazami. Zamiast tego należy tylko zaakceptować temat, wczuć się w niego i pójść za nim: żadnych ilustracji, żadnych przeszkadzających w słuchaniu skojarzeń.

George wyciera ręce w chustkę do nosa, przymyka oczy, podejmuje decyzję i zaczyna grać następny fragment. Gra na wiolonczeli jak zawodowy muzyk. Jaki to wielostronnie uzdolniony mężczyzna: profesor neurochirurgii, gracz w golfa i wiolonczelista! Kiedy skończył grać drugi fragment, dały się słyszeć w laboratorium energiczne i trochę niezdarne oklaski. Wszedł tutaj Flink i usiadł na oscyloskopie niezauważony przeze mnie. Ponieważ jest sobota, nie

ma na sobie białego fartucha. Zamiast niego szympanś ma, jako jedyną część ubrania, szykownie związany srebrny krawat na szyi. Biję brawo długimi rękoma i uśmiecha się szczerząc nieapetyczne kły.

Ja też chcę bić brawo! Zarówno dlatego, że to jest przyjemne, jak i dlatego, że współzawodniczę z Flinkiem. Którego z nas George bardziej lubi? Gorliwie udaję, że klaszczę. Najpierw uszami, lecz nie odczuwam tego jako coś normalnego, potem nieistniejącymi rękoma. Wtedy zauważam trzeciego słuchacza, który okazuje George'owi swoje uznanie. To Ręka. Ponieważ ona jest jedna, nie może bić brawa w dosłownym znaczeniu, a jedynie poklepywać boczną ścianę akwarium. Im bardziej pograżam się w swoich fantazjach na temat oklasków, tym intensywniej pracuje Ręka. Woda rozpryskuje się wysoko, tak wysoko, że George odkłada wiolonczelę i rozkłada swoją białą chustkę do nosa na akwarium z Ręką. Oczywiście i mnie, i Flinka doprowadza to do wściekłości. Postanawiam klaskać jeszcze mocniej po następnym fragmencie.

Profesor gra dalej tak, że pot z niego spływa, lecz ani Flink, ani ja już nie słuchamy. Zamiast tego obserwujemy się wzajemnie, kto z nas pierwszy zacznie klaskać. Wygrywam, mam większą zdolność szybkiego postrzegania niż niedouczony szympanś. Lecz równie szybko jak ja zaczęła klaskać Ręka! Biję brawo z taką gorliwością, że biała chustka do nosa zsuwa



się do wody i owija jej się wokół kilku palców. Ręka przeobraża się w tonącego, który w ostatniej próbie skierowania na siebie uwagi unosi chustkę do nosa powiewając nią.

Jednocześnie nasilają się moje własne oklaski, które przybierają stopniowo zwolnione tempo. Nagle przerywam je. Wówczas Ręka również kończy bić brawo. Znów gwałtownie zaczynam klaskać — Ręka klaszcze z taką werwą, na jaką pozwala jej chustka do nosa. A więc to właściwie ja biję brawo poprzez Rękę, ona jest całkowicie pod moim wpływem. Podobne tendencje zauważyłem co prawda już wcześniej. Lecz teraz naśladownictwo jest całkowite! To ja wyslizguję się z chustki do nosa, ja przecinam powierzchnię wody tak, że oblewam Flinka i ja zaciskam pięść w geście zwycięstwa.

George, który grzecznie uklonił się Flinkowi, zauważył, że dzieje się coś niezwykłego. Gapi się zdumiony na ruchy, które wykonuje Ręka. Natychmiast się wyłączam i pozwalam Ręce opaść na dno. Nie warto ujawniać zbyt dużo. Oni panują nad moją pamięcią, lecz ja nie mam zamiaru pozwolić im zaplanować nad moją zdolnością sterowania Ręką.

## 37

Niewidomi mają psy — przewodniki. Lecz ja nie jestem niewidomy, a więc jak nazwać w takim wypadku Rękę? Ona nie jest widzącym za mnie owczarkiem,

lecz moim atutem w grze. Jest wieczór. Personel poszedł do domu, a ja skupiam swe myśli na Ręce. Leży naprzeciw mnie w swoim akwariium. Na półce poniżej stoi klatka dla ptaków. Jedyne przy przenoszeniu Ręki na niewielką odległość wkładają ją do klatki.

— Pokiwaj! — przekazuję swoją myśl i Ręka kiwa. To wygląda trochę nieporadnie, ponieważ nie ma ona przedramienia, które by jej pozwalało utrzymać równowagę. To wygląda raczej tak, jakby chciała zaatakować szkło przed sobą.

— Podnieś się! — pomyślałem i Ręka rozpoczęła swoje mozolne próby przedostania się przez brzeg akwariium. To nie jest łatwe, ponieważ nie może się od niczego odbić. Kiedyś w misce ze śmietaną znalazła się żaba. Brzegi miski były zbyt śliskie, żeby się można było po nich wspinać. Ale żaba się nie poddawała, lecz pływała ciągle wkoło, aż śmietana zmieniła się w masło i wtedy mogła wyskoczyć z takiej bryły. Ale co począć z amputowaną ręką leżącą w szklanej szufladzie wypełnionej słonawą wodą? Nie można jej po prostu nakazać, żeby zrobiła masło z wody.

Nad akwariium Ręki znajduje się zapasowy zbiornik z wodą zrobiony z białego plastiku. Kiedy obniża się poziom wody, automatycznie otwiera się zawór. Nakazuję Ręce odgarniać wodę od wodomierza, żeby go wprowadzić w błąd. W ten sposób podnosimy

poziom wody prawie do brzegów akwarium. Teraz Ręka może podnieść nad krawędzią szkła dwa palce i zacząć się wspinać. Jakoś jej to idzie! Z głuchym odgłosem spadła z akwarium na dach klatki dla ptaków. Leżała tam przez chwilę, a kiedy doszła do siebie, zaczęła schodzić z klatki w dół. Już jej nie mogę dojrzeć. Lecz przyciągam ją do siebie jak magnes. Błąka się na dole na podłodze z kafelków. Przez cały czas czuję, jak się do siebie zbliżamy. Jej palce napotykają rurę i zaczynają się po niej wspinać. Dosięga półki i zbliża się do niej bokiem, tak jak krab. Przepelnia mnie uczucie triumfu, kiedy Ręka pojawia się nagle w dygestorium tuż przede mną.

Następnej nocy nakazuję Ręce powtórzyć dokładnie ten sam program. Nie możemy podejmować żadnego ryzyka. Tragedią byłoby zwłaszcza to, gdyby nie znalazła drogi powrotnej do swojego mieszkania. Gdyby utknęła na którymś z żeberek kaloryfera lub została zdeptana na śmierć przez stróża nocnego. Jeżeli nie wróci na poranny posiłek — który musi dostać w zastrzyku — zostanie dość szybko zaatakowana przez martwicę i umrze.

Mija następna noc i jeszcze jedna. Ten sam program. Lecz siódmej nocy czujemy się przygotowani. Za kilkoma drzwiami, tuż za ścianą pokoju socjalnego znajduje się sekretariat. Za każdym razem, kiedy wyjmowano mnie z akwarium, próbowałem nauczyć się czegoś nowego o swym otoczeniu. Siódmej nocy wysyłam Rękę do sekretariatu. Ponieważ ona nie

widzi, musimy spróbować zdobyć orientację w terenie przy pomocy dotyku i intuicji. Szczególnie tę ostatnią wykształciłem w swej samotności na odciążonej powierzchni mózgu. Posiadam nie tylko szósty zmysł, lecz również zaczątek siódmego i ósmego. W sekretariacie Ręka ma za zadanie zwędzić długopis, notatnik, kopertę i, jeśli to możliwe, znaczki.

Pewnej nocy przywlokła kopertę, którą z dumą położyła przede mną. Wspólnie podziwialiśmy zdobywcę przez prawie godzinę, potem musieliśmy ją ukryć. Schowaliśmy ją pod moim akwariem. Między jego dnem a kaflem dygestorium jest szpara o szerokości pół centymetra. Następnej nocy Ręka przysłała z piórem, które było jednak zbyt grube, żeby można je było wepchnąć w szparę. Będzie musiała zabrać pióro i wpuścić je do trocin znajdujących się na dnie klatki dla ptaków. Na koniec zwędziliśmy notes do telefonów. Jego nie możemy ukryć. Zostawiamy go na wierzchu, licząc na ogólne niedbalstwo personelu. Dwóch zastępców pracujących tu na pół etatu nie wykazało większych ambicji.

Przez kolejne noce ćwiczymy się w szlachetnej sztuce pisania. Rezultat pierwszego tygodnia jest przerażający. Brak ramienia u Ręki sprawia, że musi ona, pełzając, prowadzić długopis nad maleńkimi kartkami notesu do telefonów. Zatacza się raz w jedną, raz w drugą stronę, jak przeciążony zawodnik rzucający drągiem. Innym problemem, który przewidziałem, lecz którego nie doceniłem, jest pytanie,

co zrobimy z wszystkimi zabazgranymi kartkami papieru. One przecież nie mogą tu leżeć. Rozwiążemy to w ten sposób, że Ręka w drodze powrotnej skręci do pokoju obok i da papier szcukrom do zjedzenia.

Po tygodniu nasz charakter pisma jest do odczytania, lecz nic ponad to. Ale do kogo napiszemy? Czy mamy napisać do Radia i poprosić o płytę, czy może do jakiegoś urzędu i poskarżyć się na opiekę tutaj? To nie ma sensu. Biochine wchodzi w skład międzynarodowego konsorcjum badaczy. Musimy wyjść od tego, że George i firma będą postępować zgodnie z obowiązującym ustawodawstwem. A jeśli nie, to mają z pewnością adwokatów, którzy potrafią ich wybronić.

Pewnej nocy postanowiłem, że postaramy się o przyjaciela korespondencyjnego. Wspólnie układamy list do rubryki „Znajomość, małżeństwo”. Piszemy:

„Mężczyzna w wieku czterdziestu lat, samotny, o uczciwych zamiarach, szuka przyjaciela na dobre i złe”.

Następnej nocy kończymy list i zaklejamy kopertę, co okazało się nie takie proste. Teraz brakuje tylko znaczka. Wiem, że znajduje się w sekretariacie, w plastikowym pudełku, lecz tam jest, niestety, zamknięte. Czekać na znaczek wpychamy list do kryjówki pod akwarium. Mam uczucie, że wreszcie zaczyna się dla mnie życie.

W noc później Ręka wyjęła list i dała go szcukrom

do zjedzenia. Nie chcę już mieć przyjaciela na dobre i złe! Chcę, żeby wróciła Emma.

## 38

Dzisiaj jestem wraz z innymi na popołudniowej kawie. Wniesiono mnie tu na wyjętych drzwiach od szafy. Wtedy woda w akwarium nie chlupocze tak bardzo, zmniejsza się ryzyko zapadnięcia na chorobę morską. Następnie umieszczono mnie w pokoju socjalnym na jednym końcu stołu, z kawą. Na drugiej połowie stołu stoi duży tort, a między mną a tortem wazon z suchymi kwiatami. Bukiet zasłania mi widok samego tortu. Lecz cienkie, różowe świecek wystają nad kwiatami. Na torcie jest 21 świecek. Przy krótszym końcu stołu siedzi na dziecięcym krzeselku solenizant obchodzący urodziny. To szympans Flink. Jestem trochę zdziwiony, że mnie zaprosił. Przecież mieliśmy udawać, że nie jesteśmy przyjaciółmi.

Białe szczury nie zostały zaproszone, natomiast Ręka tak. Jest zamknięta w zwykłej klatce dla karnarków, którą umieszczono obok mojego akwarium. Nie okazuje specjalnego zainteresowania. Spokojnie grzebie w trocinach na dnie klatki.

George nie przyszedł, chociaż jestem pewien, że został zaproszony. Zamiast niego mowę na cześć jubilata wygłasza ten weterynarz, który ponosi największą odpowiedzialność za Flinka. Znam go tylko

pobieżnie. Jego przemowa jest smutna, lecz — tak jak można się było spodziewać — bardzo uczuciowa: — Najmilszy Flinku — mówi weterynarz trzymając przed nosem konspekt — dwadzieścia jeden lat dla szympansa to nie tak mało, jak się może wydawać. W przypadku człowieka oznacza to, że się właśnie ukończyło naukę. W przypadku szympansa: że stoi się na progu złotego, średniego wieku. Dla ciebie, Flink, życie nie zaczyna się po czterdziestce, lecz po dwudziestce. Można, jak wszyscy wiemy, dużo, dużo dobrego powiedzieć o złotym wieku, w który ma teraz wkroczyć Flink. Lecz pozwólcie mi skorzystać z okazji, żeby wykazać się przy tym chociaż odrobiną powagi. Dla wielu, którzy byli nierozsądni, średni wiek nie oznacza największego nasilenia witalności życiowej, lecz ślełą uliczkę. Przypominam sobie historię mężczyzny w średnim wieku, który piał się w górę przez całe swoje życie. Życie było dla niego długimi, stromymi schodami prowadzącymi pod ciemnym sklepieniem. Przypuszczał, że na szczycie schodów znajduje się źródło światła, tak jakby schody przechodziły tam w oświetlony słońcem taras na dachu, z drzewami o gęstych koronach, kwiatami i fontannami. Celem jego życia było jak najszybciej dotrzeć do tych wiszących ogrodów, które wyobrażał sobie jako raj na Ziemi. Dniem i nocą dążył do tego wytrwale, krok po kroku. I pewnego dnia w połowie swego życia stanął na progu jasnego wejścia i przygotowywał się do wkroczenia do wiszącego ogrodu.

Lecz kiedy pokonał ostatni stopień, wpadł na szklaną płytę, która odgradzała schody. I nie była to zwykła szklana płyta, moi przyjaciele. To było w rzeczy samej lustro! To światło, które jak sądził, było przyszłością, w rzeczywistości było promieniem odbitym od wejścia do tunelu.

Podnoszę teraz moją filiżankę z kawą, żeby trącić się z tobą, Flink. Wszyscy wznosimy filiżanki za solenizanta obchodzącego urodziny, bo jesteśmy przekonani, że dla ciebie, Flink, żadne zwodnicze lustra nie były celem życia. Mimo że stoisz obiema nogami na ziemi, zawsze kierowałeś wzrok ku obłokom, ku bezkresnemu, błękitnemu, rzeczywistemu niebu!

Wszyscy przy stole, weterynarz, praktykant i jedna ze sprzątaczek, która nagle została oderwana od pracy, mają łzy w oczach, kiedy trącają się na cześć Flinka. On sam wyje tak, że w moim akwarium rozpryskują się jakby strugi deszczu. Następnie weterynarz wręcza mu prezent, na który zbierano pieniądze. To jest aparat fotograficzny marki „Polaroid”.

— Od nas wszystkich! — podkreśla weterynarz, lecz ja się nie składałem i wątpię, żeby dokładała się Ręka.

Potem Flink miał zdmuchnąć świeczki na torcie. To była przykra sprawa. Jego usta są o wiele za szerokie, wargi za sztywne i nie mogą całkowicie podołać takiemu zadaniu. Skutek jest taki, że strumień powietrza faluje we wszystkie strony: jeden powiew



zerwał śmietaną z tortu, inny przewrócił kilka suchych, lekkich jak piórko kwiatów w niskim wazonie.

Praktykant chciał pomóc — stanąć ukośnie za krzesłem Flinka i dmuchnąć. Lecz zamiast tego ja uznałem za, stosowne wkroczyć do akcji: gapię się prosto w czoło praktykanta i sprawiam, że powstaje w jego mózgu pewna myśl. Pojął prawie natychmiast i postąpił tak jak chciałem: wypuścił Rękę z klatki dla ptaków. Następnie podprowadziłem Rękę, posuwającą się pajęczym krokiem, do tortu. Kiedy się do niego zbliżyła, kazałem jej zrobić kilka szybkich podskoków i ataków na świeczki. Ręka szybko zdusiła płomień między kciukiem a palcem wskazującym. Trochę się poparzyłem — nie miałem przecież okazji, żeby zwilżyć przedtem śliną czubki palców.

Ręka weszła powoli z powrotem do gniazdka karnarka, a Flink dostał pierwszy kawałek tortu, który szybko wepchnął do pyska. Następnie chciwie wylizał do czysta swoje czarne palce. Dostał jeszcze jeden kawałek i przełknął go, zanim inni zdążyli porozdzielać wszystkie kawałki. Z wesołym chichotem Flink opuścił swoje dziecięce krzeselko, wspiął się na armaturę pod sufitem i zaczął nas fotografować swoim nowym „Polaroidem”. Wspinał się na wszystko w pokoju, próbując robić zdjęcia w różnych ujęciach. Wszedł na półkę z książkami, na wentylator nad kuchenką, na zasłony, aż wreszcie usiadł okrakiem

na akwariium i wystrzelił błyskawicę prosto w moją korę mózgową.

Jak tylko Flink zrobił zdjęcia, natychmiast chciał je wyrwać z aparatu, nie odczekując przepisowego czasu. Lecz weterynarz nakłonił go, żeby poczekał. Kiedy zdjęcia były gotowe, Flink wcale nie uważał, że są udane. Podarł wszystkie i porozrzucił nad stołem ze swojego stanowiska na lampie pod sufitem.

Następnie wyświetlono film. Flink zażyczył sobie swój ulubiony pt. „Koko — gorylica, która mówi”. Trwa on prawie godzinę i opowiada o tym, jak kobieta prowadząca doświadczenia uczy mowy na młodej samicy małpy. Można szczegółowo prześledzić wielkie wysiłki przeprowadzającej ćwiczenia i nie mniejsze Koko. Nudziłem się i zamiast oglądać film, zrobiłem kilka ćwiczeń z Ręką, której kazałem wspinać się na klatkę. Chciałem sprawdzić siłę jej mięśni. Ręka w jakiś niezwykły sposób przystosowała się do stałego lądu. Nie potrzebuję już wody, która ją unosiła i może wykonywać skomplikowane ruchy wymagające pracy mięśni.

Kiedy film się skończył, Flink zaczął chodzić dookoła i obejmować ludzi przy stole. Nagle rzucił aparatem prosto w weterynarza. Chwilę później zerwał zasłonę i kopnął w okno. Lecz nie wybił szyby. Skoczył na drzwi, lecz były zamknięte. Wszyscy zamarli ze zdziwienia nie odzywając się ani słowem. Flink

wpełzną w kąt pod ławkę przy oknie, odwracając się do nas pochyłymi plecami starca.

Weterynarz zaczął się śmiać. Inni mu zawtórowali. W mgnieniu oka Flink znalazł się na ławce. Śmiał się tak, że aż mu kapały łzy. Potem zaczął bić brawo. Nie przestał, dopóki inni nie zaczęli klaskać.

W drzwiach stanął profesor, a za nim asystent mający pomagać przy operacji. Weterynarz wziął Flinka za rękę i podprowadził do profesora. Ten podniósł go za ramię i pogłaskał po czaszce podobnej do orzecha kokosowego. Flink popatrzył na nas, ogarnięty paniką wyszczerzył zęby i zamachał swoimi długimi ramionami. O wiele za duży dla niego śliniak zwisał przed nim jak fartuch.

## 39

Oni coś przygotowują. Wynieśli akwarium Ręki do zmywalni. Wczoraj trzech mężczyzn było zajętych ponad 13 godzin montowaniem telewizyjnej kamery obserwacyjnej w miejsce zapasowego prysznica, a więc na lewej ścianie patrząc od mojej strony. Zapasowy prysznic zniknął równocześnie ze stołami laboratoryjnymi. Ponieważ tutaj nie przechowuje się już kwasów ani innych żrących chemikaliów, niepotrzebny jest zapasowy prysznic. Mała szara kamera z błyszczącym obiektywem umocowana jest na ruchomym ramieniu; przesuwa się nad laboratorium

tam i z powrotem. W ciągu dwudziestu sekund odrywa się od ściany z tyłu, przechodzi nade mną, zmienia kierunek i wraca do położenia wyjściowego. Kiedy zapytałem o nią na obchodzie dziś rano, profesor odpowiedział:

— Takie jest żądanie spółki ubezpieczeniowej. W środę ktoś włamał się do archiwum z dziennikami.

Jednak kamera im nie wystarczyła. Przez całe przedpołudnie odbywała się ożywiona działalność przy tylnej ścianie. Praktykant Curt czuł się jak ryba w wodzie. Nastawili i sprawdzili wszystkie cztery oscyloskopy. Właśnie teraz elektrycy mają przerwę w pracy. Curt poszedł zadzwonić do firmy zajmującej się usługami telewizyjnymi. Z tego, co zrozumiałem, między falami dźwiękowymi wysyłanymi przez kamerę obserwacyjną a emitowanymi przez oscyloskop zachodzi niekorzystna interferencja. Przeszkadzają sobie nawzajem.

Elektrycy — dwaj młodzi chłopcy w wieku osiemnastu lat — siedzą, każdy na swojej drabinie, jedzą kanapki ze smażonym jajkiem i gapią się na mnie. Rozmawiają o mnie między jednym a drugim kęsem. Jeden mówi, że to jest bardzo interesujące. Drugi jest wzburzony. Ma zamiar opowiedzieć o mnie księdzu w swojej parafii. Pierwszy przypomina mu o obowiązku zachowania tajemnicy, lecz ten drugi na to gwizdże. — Kościół nie może na to pozwolić, żeby utrzymywano przy życiu ludzki mózg, przechowując go w słoiku z wodą. To musi być sprzeczne z naturą.

— Wiele rzeczy jest sprzecznych z naturą — mówi pierwszy elektryk.

— Lecz musi gdzieś istnieć nieprzekraczalna granica — dostaje odpowiedź.

Curt wchodzi w pośpiechu z plastikowym kubkiem z kawą, która się rozlewa, tworząc jasnobrązową gwiazdę na kafelkowej podłodze. Elektrycy dalej przeżuwiają swoje kanapki. Curt patrzy na zegarek, elektrycy także — i wbijają zęby w swoje kanapki z chrupkim chlebem i smażonym śledziem.

Parę godzin później w pokoju znalazło się sześć osób: trzy z firmy telewizyjnej, które regulują kamerę, oprócz tego Curt i elektrycy, którzy kontrolują oscyloskopy. Pracują aż do chwili, kiedy na zewnątrz zaczyna się ściemniać. Wtedy przychodzi profesor i mój psychiatra. Lecz nie zwracają na mnie żadnej uwagi. Pytają i przyglądają się, wskazują na coś, zapisują coś w tabelach i dyskutują. Ludzie z firmy telewizyjnej mogą odejść. Zamiast nich przychodzi personel z oddziału operacyjnego tocząc wielki aluminiowy cylinder z otworem skierowanym ku górze. Cylinder obraca się jak betoniarka. Unoszą się z niego ciężkie, białe opary dwutlenku węgla, owijające się im dokoła nóg jak skręcony welon panny młodej.

Elektrycy też już mogą pójść do domu. Pozostali wkładają maski ochronne i kościsto-żółte gumowe rękawiczki. Pielęgniarka rozkłada dokoła jednego z

pustych akwariów zielone serwetki używane przy operacjach. Wyjmuje je z parującej metalowej skrzynki przy pomocy długich szczypiec. Przymocowuje też serwetki wokół otworu cylindra przy pomocy kleszczy. Następnie Curt po raz ostatni reguluje oscyloskop. Jakiś technik wchodzi sapiąc, niosąc białą skrzynkę, w której rozpoznaje elektroencefalograf. Wydaje się, że są wreszcie gotowi. Wszyscy odwracają głowy i spoglądają na zegar ścienny. Następnie profesor wkłada ręce do cylindra. Wyciąga coś, co przypomina kształtem strusie jajo. Dymi się z tego zamrożonego „jaja”. Nie mogą dokładnie zobaczyć co robią, zgadują tylko z ich ruchów. Profesor zajmuje się akwariem, a Curt kablami dygestorium. Asystent wytacza z powrotem cylinder. Pielęgniarka odsuwa się do tyłu i poluźnia maskę ochronną. Jest w tym samym wieku co Emma. Strój operacyjny nadaje jej twarzy wyraz powabnej surowości.

Zespół pracował przez całą noc. Niektórzy zostali zwolnieni do domu tuż po północy, lecz profesor, psychiatra i Curt zostali. Tuż przed czwartą nastąpił wyraźny kryzys. Curt znów musiał zadzwonić po operatorów, którzy zjawili się w pośpiechu po kilku minutach. Mieli nabrzmiałe od snu twarze i gorączkowo pocierali dłonie, żeby odzyskać w nich czucie. Po kilku godzinach sytuacja wróciła do normy. Curt przyniósł kawę, a lekarz psychiatra wyciągnęła aparat fotograficzny z lampą błyskową. Zrobiła wiele zdjęć w różnych ujęciach. Nagle odwróciła się i

wystrzeliła błyskawicę również w moim kierunku. Poczulem pustkę w oku, które zaniewidziało porażone światłem. Trwało to kilka minut, może kwadrans, zanim odzyskałem wzrok. Wtedy odeszli. Na zewnątrz zaczęło robić się jasno. „Strusie jajo” w akwarium naprzeciwko już nie było białe, lecz szaro-żółte i pęknięte przez środek. Wkoło było cicho i różne krzywe w oscyloskopie zaczęły leniwie falować jak łosoś na tarle w wolno płynącym strumieniu. Ręka również wróciła i znalazła się na swoim zwykłym miejscu pod nowo przybyłym. Kamera obserwacyjna wykonuje swoje długie obroty jak latarnia morska. Wpatruję się w nowego przybysza. To tak, jakby zobaczyć w lustrze samego siebie. Na dole, po lewej stronie akwarium, przyklejony jest różowy, szeroki pasek plastra z napisem „Omega”, zrobionym dermografem.

## 40

Nie posiadam się ze szczęścia. Z uśmiechem na ustach wróciła Emma. Opalona na brązowo, rozmowna, miła. Była na urlopie. Jest absolutnie pewna, że przedtem powiedziała mi o tym. Mówiła, że jej nie będzie, lecz nie powiedziała, że wyjedzie. Ale nie mogę się dąsać z tego powodu. Wyjechała w dobrej wierze — a teraz jest tutaj. Oboje promieniujemy szczęściem, lecz ja czuję się przy niej bardzo blady.

Dziś rano wziąłem bardzo gruntowną kąpiel. Zastępcy, którzy się mną opiekowali, nie byli godni zaufania jako kąpielowi. Za tę kąpiel byłem wdzięczny: nie chcę przecież zostać upuszczony na podłogę. Dzisiaj po raz pierwszy zrobiono mi również prysznic. Pozwoliliśmy strumieniowi wody spływać po kilku zwisających nerwach czaszkowych tak, żebym mógł to poczuć. To było jak rozkoszny wiosenny deszcz!

Wszystko zostało zrobione i poprosiłem ją gorąco, żeby usiadła i opowiedziała o urlopie. Chciała najpierw pójść się przebrać, lecz poprosiłem: usiądź choć na chwilę. Usiadła i oparła czoło o akwarium Opalona na brązowo skóra w zetknięciu ze szkłem zrobiła się biała jak ciasto.

— Pojechałaś sama, Emmo?!

— Byliśmy we dwoje.

— Kto to był??

— Kolega. Nie jedzie się samej, jeśli się jest dziewczyną.

Tak, to jasne. Byłbym bardzo niespokojny, gdybym wiedział, że pojechała sama na urlop, kąpać się w Morzu Śródziemnym.

— Czy dostałeś widokówkę?

— Jaką widokówkę??

— Tę, którą napisałam.

— Nie dostałem żadnej przesyłki. Chyba o tym wiesz, że nigdy nie dostaję poczty!

— Właśnie to chciałam zmienić. Kartka przyjdzie chyba lada dzień.

— Co robiliście wieczorami?



— Spokojnie, spokojnie. W dzień leżeliśmy na plaży od dziesiątej do drugiej. A potem od czwartej do siódmej.

— Czy jesteś taka brązowa na całym ciele?

Grozi mi palcem wskazującym, lecz wcale nie ma surowego wyrazu twarzy a raczej wesoły, jakby usłyszała komplement. Opowiada dalej o lodziarzu, o wynajmującym łódzie, o staruszce sprzedającej koronki i o wszędobyłskich, krzykliwych Niemcach. W morzu się nie kąpała, było za zimne i zbyt brudne. Po morzu można było pływać rowerem wodnym. Kąpali się w basenie.

— Czy w basenie było dużo chloru? Czy sądzisz, że byłbym w stanie popływać tam przez chwilę?

Wielkim problemem jest dla mnie moja nieśmiałość. Właściwie chciałbym krzyknąć do Emmy: „Wślizgnij się do mnie!”. Powiem to, zanim ten dzień dobiegnie końca.

— A czym zajmowaliście się wieczorem?

— Cierpliwości! Na razie doszliśmy do lunchu. Przyrządzaliśmy go sami. Kupowaliśmy wędzoną szynkę, kilka jaj, owoce i jarzyny, i przygotowaliśmy jedzenie. Mieliliśmy własną kuchnię lub raczej wnękę kuchenną.

— I przez cały czas świeciło słońce?

— Dwa dni były pochmurne, a jednej nocy grzmiało jak liko. Teraz muszę się przebrać. Zobaczymy się przy kawie!

Wyszła. Bardzo trudno będzie mi powściągnąć

swoje nadzieje. Po południu zapytam ją. Niech się wali i pali. Wiem, że mnie akceptuje, że nie odstrasza jej mój odrażający wygląd. Tylko na początku każdego związku ludzie przejmują się nawzajem swoim wyglądem, później się o tym nie myśli. Nie, oczywiście obchodzi mnie wygląd Emmy. Ona nie tylko się opaliła, lecz również jak gdyby dojrzała, zeszcuplały jej policzki, rysy stały się wyraźniejsze, ostrzejsze. To jej dodało urody.

Wróciła po kilku godzinach. Gapię się na swoich towarzyszy: Rękę i Omegę. Emma ma, oczywiście, wyjątkowo dużo pracy, między innymi przy szczurach. Czy wysłała widokówkę również do nich? Grubą, włóknistą kartkę odporną na gryzienie.

Kiedy w końcu przyszła, miała na sobie nową czerwoną sukienkę w małe, żółte czworokąty. Włosy przewiązała szalikiem w kolorze turkusowym. Trzymała ręce w kieszeniach sukni jak manekin i obracała się przede mną. Z braku rąk klaskałem uszami, co wywoływało fale w akwarium. Potem przez kilka minut kołysałem się, widząc świat w kawałkach i zniekształcony. Emma rozpływała się w dużych, secesyjnych, kolorowych plamach.

Siedzi opierając brodę na jednej ręce. Drugą głaszcząc szkło między nami, jak gdyby próbowała uspokoić wzburzoną wodę.

— A wieczorem chodziliście na tańce?!

— Wieczorem wychodziliśmy, żeby coś zjeść — mówi pogardliwie.

- Jakie były ceny?
- Mniej więcej o połowę niższe niż u nas. Wino nie było droższe od mleka.

Wino? Wiem, że piłem wino. Ale kiedy? Właśnie teraz ogromnie tęsknię za winem, za szampanem. Chciałbym, żeby wlała do akwarium pół butelki. Chciałbym poczuć, jak małe, kłujące pęcherzyki przenikają do moich zakamarków i kanalików.

- Ale potem szliście chyba potańczyć?
- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła!
- Nie chodziliście nawet na dyskotekę?
- Muszę już iść do domu. Ciąg dalszy jutro!

Zostałem ze swoją ofertą: wślizgnij się do mnie! Może równie dobrze będzie poczekać z taką zasadniczą sprawą do jutrzejszej kąpieli. Obiecała, że jutro również zrobi mi prysznic.

## 41

Wprowadzono podział pracy. Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu Emmie przypadła opieka nad nowym mózgiem, Omegą, a mną ma się zająć Curt. Nie mają nawet takich samych godzin pracy. Emma zaczyna realizować swój dokładny harmonogram punktualnie o godzinie siódmej rano, lecz Curt przychodzi, kiedy mu pasuje. On ma swoje badania, którym daję pierwszeństwo. Kiedy tylko Emma pojawia się w zasięgu wzroku, proszę ją: usiądź na chwilę;

możesz chyba poświęcić mi swoją przerwę na kawę?! Lecz ona kręci głową i dalej w pośpiechu uwija się między szczurami, Ręką i Omegą. Ma też postarać się o kruche ciasto do kawy. Sekretarka została w domu z powodu ropnego zapalenia opłucnej.

Curt wchodzi wolnym krokiem w rozpiętym fartuchu i między skurczonym po praniu podkoszulkiem i opadającymi džinsami widać mu pół owłosionego, nagiego brzucha. Drewniaki uderzają głośno o kafelkową podłogę, tak że powierzchnia wody w każdym naczyniu w laboratorium zaczyna drgać. Bezceremonialnie podnosi mnie i ogląda moje zwoje mózgowie przy pomocy lupy, której dotyka kciukiem.

— Jesteś cholernie dobrym słuchaczem, Einstein — mówi rozpylając nade mną trochę destylowanej wody.

— Nie nazywaj mnie Einsteinem! — odpowiadam, kiedy znów wpuszcza mnie z pluskiem do akwarium.

Mówi dalej. Czy słucham? Nie mam wyboru. Oczywiście, mogę przenieść się w marzeniach gdzie indziej. Lecz jeśli to uczynię, nie będę nagle wiedział, skąd dobiega jego głos. Porusza się w pomieszczeniu ciągle coś mówiąc. Muszę wiedzieć, gdzie się znajduje, dlatego wsłuchuję się w każde słowo z największą uwagą. Słowa docierające jak przez mgłę są dla mnie jak koła ratunkowe. Kiedy odchodzi, żeby zająć się swoją pracą egzaminacyjną, moja uwaga jest bardzo napięta. Nie chcę, żeby uszedł mojej uwagi jego

ostatni krok lub ledwie słyszalny dźwięk dochodzący od drzwi windy.

— Jesteś moim spowiednikiem — powiedział przepraszająco innego dnia, kiedy tak nieostrożnie wpuścił mnie do spluwaczki, że dotknąłem okiem jej dna.

Moje oślepie oko boli mnie, coś w nim tętni. Curt przykłada mi kompres. Jest na nim środek znieczulający.

— Co za cholerny pech, Einstein, żeby tak upaść prosto na oko — mówi.

Martwi go praca egzaminacyjna. Robi się coraz obszerniejsza. Na początku była mowa tylko o krótkim opracowaniu. Teraz zanoszą się na to, że powstanie rozprawa.

— Plan na dziesięć lat — mówi zmęczonym głosem. — George uważa, że to jest świetne. Sądzi, że wpadliśmy na dobry trop. Ja tak nie sądzę. Nie chcę zagrzebać się w mechanicznych małpach. Czy wiesz, czym chciałbym się zajmować? Skąd się bierze u nas to ciągle „chciejstwo”?? Sądzę, że coś nawarstwiło się w ciągu całego okresu ewolucji. Ktoś zapomniał zamknąć zawór, jak to się mówi. Pomyśl tylko, jak by to było, gdyby można było dozować wolę. Korzystać z niej w pełni tylko wtedy, kiedy zaistnieje taka potrzeba, nie podlegać jej zmienności. Przecież, do diabła, sam widzę, jakie to jest męczące. Żeby panować nad swoją wolą, trzeba przecież ciągle mieć włączoną inną, przeciwną, wolę. Inaczej człowiek

załamie się. Natura nie mogła tego chcieć. Ona jest oszczędna, Einstein. Po co wykorzystywać skomplikowany system sprzężenia zwrotnego, jeśli to nie jest potrzebne? Chciałbym skonstruować wentyl sterujący wolą. Byłby albo otwarty, albo zamknięty, nie tak jak ten przeklęty, niezdecydowany... Czy wiesz, co mówi George? Uważa, że to interesujący pomysł, lecz trudny do wykorzystania w badaniach. Oczywiście, lecz ja chcę zrobić coś porządnego, pojmujesz?! Jednak na to nie przyznają funduszy, choć na małą dają każdą ilość. Konsorcjum przyznaje najwyższy priorytet mechanicznym małpom. Co za siła robocza! Robią w kółko tę samą rzecz, dopóki się nie powie stop. Jedyłą ich wadą jest to, że mogą wybuchnąć lub pęknąć od zbyt wielkiego wysiłku. Trzeba na nie uważać. George chce, żebym wymyślił coś, co by przed tym ostrzegało. Gdy miały stary, zwykły mózg, czuły przecież, kiedy podnosi się w mięśniach poziom kwasu mlekowego. To sprawiało im ból. Lecz to nie funkcjonuje, jeżeli mają wmontowany przekaźnik. Trzeba Wymyślić coś, co by mierzyło poziom kwasu mlekowego bezpośrednio w mięśniach, mniej więcej tak jak papierek lakmusowy. Kiedy kolor będzie zbyt intensywny, mięśnie automatycznie przestaną pracować. Pojmujesz? Będą albo wyłączone na jakiś czas, żeby się zregenerować, albo trzeba będzie wstrzyknąć coś, co zneutralizuje kwas. Jeżeli na to wpadnę, będę miał zapewnioną pomyślną przyszłość. To absolutnie pewne! To będzie światowy patent, Einstein. Wtedy będę mógł

się zająć wolą — tak powiedział George. A więc, kiedy sam dostanę kierownicze stanowisko. Ja mówię, że to złudzenia! Czy jakkolwiek szef miał kiedyś czas samemu prowadzić badania? Spójrz na George'a: prawie nie podnosi nosa znad tych wszystkich papierów! So long, na razie, Dzielny! Miło było trochę sobie pogadać.

— Zastanawiam się, w jakim idziemy kierunku — mówi przy następnym spotkaniu. — Człowiek czuje się zgrzybiały. W co się właściwie angażuje? Jakie ma gwarancje? System, Ipsilon. Nie można jednocześnie czymś się zajmować i dystansować się od tego. Często zastanawiam się, do czego to doprowadzi. Czy ludzkość będzie szczęśliwsza? Jeśli nie, to pytam, czy kiedykolwiek istniały widoki na osiągnięcie szczęścia. Może pracujemy mając marne widoki na sukces. George jest jednak większym optymistą. Uważa, że należy zmienić złe założenia. A ja pytam, czy przy okazji zniszczyć też człowieka? Na to nie chce odpowiedzieć. Mówi, że najpierw zrobimy jeden krok. A pojedyncze kroki utworzą wkrótce milę. Ale gdzie się, do diabła, znaleźliśmy? Czasem zastanawiam się, co ty myślisz, Einstein? Zastanawiam się, co myślisz? Nie masz przecież, do diabła, nic innego do roboty! Człowiek ci zazdrości. Może się zamienimy? Ty będziesz zajmować się małpami, a ja będę leżeć beczynnym w twojej szklanej skrzynce i rozmyślać. Potem udzielę odpowiedzi wyjaśniających zagadki świata. Będziecie mogli mnie wykorzystywać

jako kryształową kulę. Lecz irytuje mnie to, że firma czy konsorcjum, jak ją nazywają, przejęłaby cały zysk. Politycy czekali by w kolejce. „Francja to ja” — czyż nie tak mówił Król Słońce? W Ameryce połączono przednie płaty mózgowe z pamięcią magnetyczną. Czy wiedziałeś o tym, Dzielnym? Lecz nastąpiła przy tym, oczywiście, reakcja odrzucenia obcego ciała. Skutkiem tego był obrzęk mózgu. To cholernie zastanawiające, że nic ci się nie stało, kiedy wmontowaliśmy ci anteny. Powinieneś być spuchnąć jak melon. Chciałbym napisać o tobie artykuł do gazety. Ciekawy jestem, czy to nie jest naruszenie praw człowieka. Leżałeś w respiratorze, cały pokrojony od brody w dół. Wtedy namówili cię, żebyś podpisał jakiś papier. Teraz można się pytać, jak, do diabła, do tego doszło? W każdym razie postarali się o ważny prawnie dowód. Lecz czy wiedziałeś, na co się zgadzasz? Nie. Skąd mogłeś to wiedzieć? Przecież oni sami tego nie wiedzieli. Pytam George'a. Mówi, że firma ma biegłych prawników. Z nas, biologów, nie są żadni prawnicy. Pozwólmy prawnikom zająć się stroną oficjalną. Bylibyśmy przecież cholernie niezadowoleni, gdyby zjawili się tu adwokaci i zaczęli grzebać w naszych probówkach. Co do tego George ma rację. Nie mam żadnych wątpliwości. Lecz mimo wszystko ma się odczucie, że to nie jest w porządku. Uważam, że kiedy tu będzie was, mózgow, więcej, powinniście utworzyć organizację dbającą o wasze interesy. Nigdy nie należy ufać specjalistom. W każdym razie ja im



nie ufam. Każdego człowieka można kupić. Liczy się tylko jedno pytanie: za ile? Siedzę tu i paplam. Chyba nie powtórzysz tego, Einstein?

W moim oku znów zaczyna coś tętnić, więc on przykłada na nie kompres ze środkiem znieczulającym. Jak on to zauważa, że odczuwam ból?

Jednego wieczoru, kiedy pracował w nadgodzinach, powiedział:

— Właściwie składasz się z dwóch części, Einstein. W jednej połowie mózgu koncentrują się uczucia, w drugiej to, co nazywane jest intelektem. Lecz jeszcze nikomu nie udało się podzielić mózgu wzdłuż linii środkowej i sprawić, żeby jego części funkcjonowały osobno. To byłaby dopiero wielka rzecz! Ja sam nie miałbym nic przeciw temu, żeby pozbyć się uczuć. Chciałbym mieć dwie prawe połowy, dwie połowy skupiające intelekt. Wtedy moja rozprawa nabrałaby chyba, do diabła, rozmachu.

— Nie gadaj tyle! Powiedz raczej, dokąd poszedł Flink!

— Flink?

— Szympan, który chodził za tobą krok w krok.

— Flink już jakiś czas temu dorósł do wykonywania poważniejszych zadań — mówi kwaśno. — Nie wiem, czy będzie miał następcę. Zmalało zainteresowanie dużymi małpami. Ci, którzy się na tym znają, mówią teraz, że nas, ludzi, łączy więcej z rasą małych małp. To podobno tylko przesąd, że szympany są

naszymi kuzynami. A Flink był, oczywiście, zabawny, zręcznie nas naśladował.

— Czy Flink jest objęty twoimi badaniami nad zastąpieniem mózgu małpy przekąźnikiem?

— Nie, do diabła. Możesz zapytać szefa. Jeżeli sobie dobrze przypominam, Flink został przeniesiony do telewizji, do jakiegoś programu dla dzieci o Darwinie.

— Lecz najpierw go zoperowaliście? Tuż po przyjęciu urodzinowym?

— Nie wiem. Zresztą nie odprawiono go tak po prostu, niezmienionego. Flink wiedział prawie wszystko o nas i o naszej pracy. Ciągłe się za nami włóczył. A tajemnice produkcji trzeba przecież zabezpieczyć przez odmagnesowanie. W przeciwnym wypadku mogłyby się znaleźć jako towar na czarnym rynku przemysłowym. Nie masz pojęcia, jakie formy przybiera szpiegostwo przemysłowe.

— Czy jesteś zupełnie pewny, że on nie wróci?

— Na to nie masz co liczyć.

Odszedł. Pogrążam się w rozmyślaniach. Czyżbym sam, przez swoje kontakty z Flinkiem, przyczynił się do tego, że musiał odejść? Czy wpadli na to, że kradł dzienniki lekarskie? A co mam zrobić z jego wspomnieniami? Strzec ich, a może przyjąć je za swoje? Chętnie zamieniłbym to miejsce na wyspę małp.

Jedna z wielu nocy: Omega i ja gapimy się na siebie. Pozostawili mu uszy, tak jak mnie. Lecz on rzadko ich używa; przez dłuższy czas przyciska się do dna. Czy to jest „on”? Tak myślę. Kobiety mają z reguły mniejsze i bardziej okrągłe uszy. Uszy kobiet przypominają uszy małp. Omega ma długie i zwiotczałe. Może on jest stary? Z wiekiem uszy mężczyzn się wydłużają.

Do tej pory nie udało się nawiązać bezpośrednio kontaktu z Omegą. Nie odpowiada na żadne sygnały. Przewodnictwo myśli nie funkcjonuje. Przez pewien czas myślałem, że jestem wyczerpany. Lecz tak nie jest. Za dnia przechodzi program ćwiczeń podobny do mojego: ogląda program telewizyjny, a psychiatra siedzi przy nim ze swoimi tablicami Rorschacha w plastikowych teczkach.

Dziś w nocy Ręka jest po raz pierwszy od długiego czasu na wolności. Krąży wokół akwarium Omegi, dotyka palcami szkła, używa nadgarstka jako podpory i próbuje się wspinać. Czasem udaje się jej przysaść przy pomocy spoconego opuszka palca, lecz przy kolejnej zmianie pozycji spada na dół. Ponieważ Omega jest całkowicie niemy, koncentruję się na Ręce. Wkrótce mam właściwe odczucie, że to jest moja ręka. Prowadzę ją do wnętrza dygestorium, gdzie znajduje się urządzenie doprowadzające tlen oraz podgrzewacz do wody. Stoi tam również mała,

zielona skrzynka częstotliwościomierza. Ręka wspina się na niego, a potem wyżej, na podgrzewacz do wody. Kiedy znów pojawia się w zasięgu mojego wzroku, „obwąchuje” pokrywą akwarium Omegi.

Teraz Omega zareagował: przesuwa się do tyłu i opuszcza swą tylną część tak, że widoczna staje się mocno pofałdowana bryła mózdzku i kikut rdzenia przedłużonego. Próbuje na wycucie cofnąć się na tyle, żeby Ręka znalazła się w jego polu widzenia. Jego jedyne oko kołysze się na powierzchni wody jak mała boja. Nakazuję Ręce przesunąć się do przodu, tak żeby Omega dokładnie ją zobaczył. Następnie każę jej powoli i wyraźnie powiedzieć na migi:

— Czy mnie rozumiesz? Daj mi znak...

Lecz nic się nie dzieje. Omega leży zupełnie nieruchomo i obserwuje Rękę; tak jak ropucha gotowa wyrzucić lepki język w kierunku mięsistego owada. Lecz atak nie następuje.

— Nazywam się Ipsylon. Ty się nazywasz Omega.

Nie ma żadnej odpowiedzi. Lecz mamy czas. Może będziemy tu leżeć całymi latami w swoich izolatkach. Mamy wiele czasu na wynalezienie nowego języka więziennego, którym posługivalibyśmy się stukając w rury.

Nagle Ręka znów znalazła się na dole na częstotściomierzu, chociaż nie poleciłem jej tam zejść. Wydaję komendę „zatrzymać się!”, lecz Ręka nie czyni tego. Jest już w trakcie wspinania się na klatkę dla

papug. Ustępuję. Moje możliwości dyrygowania Ręką nigdy nie były nieograniczone. Poczekam, aż się uspokoi! Omega w dalszym ciągu leży w tej samej pozycji, przesunawszy się do tyłu. Gwiżdżę na nich, układam się na dnie i przyciskam gałkę oczną do szkła akwarium, żeby móc trochę pospać.

Zostałem brutalnie zbudzony przez Rękę, która zawisa palcami na górnej krawędzi mojego akwarium. Wisi tak i uderza raz po raz dłonią w szkło, że aż huczy woda. Co wstąpiło w tę idiotkę?! Odpływam do tyłu i wpatruję się w Rękę:

— Jesteś moją ręką! Bądź mi posłuszna!

Nie mam nad Ręką żadnej kontroli. Wspina się dokoła czterech ścian akwarium, wisząc na zgiętych czubkach palców. Przez cały czas porusza dłonią tam i z powrotem, waląc w szkło. Próbuję poddawać się kołysaniu wody, żeby mieć ją ciągle przed swoim okiem. Moje uszy poruszają się. Staję się nerwowy i zachowuję się jak niedoświadczony wioślarz. Nie wiem, jak do tego doszło, że leżę na plecach.

Straciłem Rękę z mojego pola widzenia. Lecz ezu-  
ję jej obecność w górze, na akwarium. Skacze tam w  
górze i w dół; uderzenia przechodzą przez wodę jak  
elektrowstrząsy. Jest mi niedobrze. Łomot trwa da-  
lej. Odczuwam to tak, jakby zamontowano obok  
mnie duże, pracujące serce. Kiedy następują ude-  
rzenia, tracę zarówno wzrok, jak i czucie. W prze-  
rwach między nimi widzę zarysy laboratorium.  
Omega już nie gapi się w górę. Zamiast tego stoi na

samym przodzie swojego akwarium i mierzy mnie swym płonącym okiem.

Dopiero przy porannym obchodzie odzyskałem świadomość. Profesor, psychiatra i Curt przykucnęli wkoło i gapią się. Teraz profesor ostrożnie obraca mnie we właściwym kierunku. Patrzą zatroskani. Psychiatra poszła pożyczyć od Omegi elektroencefalograf.

— Ksylokard w kroplach! — mówi profesor i Curt przynosi z lodówki małą buteleczkę z pipetką.

Wkraplają roztwór do wody. Czuję się rozbity i oszołomiony. Psychiatra podłącza przewody elektroencefalografu. Rolka w maszynie obraca się. Podnoszą do góry szeroką papierową taśmę i dokładnie się jej przyglądają. Profesor robi znaki na krzywej przy pomocy czerwonego dermografu. W ciszy kiwają do siebie głowami.

— Ipsylon — mówi profesor — uważamy, że miałeś atak epileptyczny. Nie wiemy, czy to się nie powtórzy. Nie wiemy, co go wywołało. Będiesz dostawał ksylokard w kroplach jeszcze przez jakiś czas, dla pewności. Chcę też, żebyś zwrócił uwagę na to, czy będą zachodzić w tobie jakieś zmiany. Chcę zwłaszcza, żebyś reagował na dziwne plamy światła, pisk lub zgrzyt, osobliwe zapachy, oraz jeśli ogólnie mówiąc poczujesz, że tracisz kontakt z rzeczywistością. Takie objawy mogą wywołać nowy atak. Nazywa się je aurą. Lecz przede wszystkim nie martw się.

Jeżeli miałeś lekki napad epilepsji, to jeszcze nie

tragedia. Możemy nad tym zapanować. A zresztą, czy wiedziałeś, że epilepsja nazywana była kiedyś „świętą chorobą”? To nie jest pierwsza lepsza choroba, lecz coś, z czego można być niemal dumnym!

Chciałbym krzyknąć za nim: Jestem czymś wspaniałym, czymś nadzwyczajnym! Chociaż poprzednio nie byłem absolutnie niczym, tylko komórką. Z czasem stałem się cewką nerwową, embrionem, myślącą główką, tak małą jak u szpilki, która urosła do rozmiarów gładkiego, niewinnego mózgu płodu. Potem byłem kruchym mózgiem małego dziecka, wykrzywionym mózgiem ucznia szkolnego, zmartwionym i pomarszczonym mózgiem nastolatka — a teraz: doskonałą myślącą maszyną, opanowaną i unieczynnioną jak reaktor jądrowy. Lecz poczekajmy, do diabła, na dzień, w którym awaryjne chłodzenie przestanie funkcjonować!

Jestem bardzo zmęczony. Nie mam siły wprawić w ruch tej obolałej substancji, z której się składam. Po ich odejściu leżę ospały i wpatruję się w Emmę, która czyta coś głośno Omedze.

On gapi się jej przez ramię zawsze tym samym, uparcie wytrzeszczonym, okiem węża.

## 43

Przyjemnie jest być rekonwalescentem. Lecz to skłania też do rozmyślań. Nie mogę zapomnieć Flinka. Teraz, kiedy go nie ma, zyskuje zupełnie inny

wymiar. W mojej wyobraźni jest większy, dostojniejszy i poważniejszy. W porównaniu z nim czuję się jak dziecko. Wiem, że nigdy nie wróci. Gdyby mi ktoś powiedział wtedy, kiedy Flink jeszcze „egzystował”, że będę go oplakiwać, śmiałybym się z tego. Był nieznośnym nudziarzem, zupełnie pozbawionym wdzięku.

Co pocznę z wyspą dzieciństwa Flinka, wyspą małp? Jest teraz moja. On nigdy się tu nie przedostanie i nie zażąda jej z powrotem. Im więcej myślę o wyspie małp, tym bardziej staje się ona moją własnością. To już nie jest miejsce dzieciństwa Flinka, lecz mojego własnego. Żyje we mnie wyspa małp, rośnie i zaludnia się w cieplarni mojego mózgu. Na początku próbowałem rozróżniać istoty, które tam żyją. Byłem ciekawy, czy są szympanсами czy ludźmi. Lecz nigdy nie udaje mi się wystarczająco dokładnie się im przyjrzeć. To zresztą nie ma żadnego znaczenia. Kto będąc dorosłym przejmuje się tym, jak wyglądają jego rodzice? W wieku dziecięcym zwracamy wyjątkową uwagę na to, żeby nasi rodzice nie różnili się od rodziców innych dzieci; żeby nie byli starsi, nie mieli mniej pieniędzy, innych poglądów lub dziwnego ubrania. Lecz dla mnie, który jestem dorosły, najważniejszy jest wzajemny stosunek do siebie.

Siedzę nad brzegiem wody i grzebię w piasku suchym patykiem. Czekam na matkę. Poszła przynieść dzienną rację żywności z metalowego zbiornika, z



którego każda porcja wydzielana jest automatycznie. Nie wolno mi tam pójść. Nie chcą tam włóczących się i czepiających wszystkiego dzieciaków. Ojciec nie pokazywał się przez cały dzień. Jak zwykle jest zajęty próbą wydania sprawiedliwego wyroku w zadawnionym sporze. Chodzi o prawo posiadania wyrzuconego na ląd drzewa. Znalazło się ono pewnego ranka ubiegłego lata na małym kawałku plaży należącym do nas. Zostawiliśmy je tak, jak leżało — tutaj ciągle panuje nastrój „mañany”. Lecz następnej nocy zerwał się nagle sztorm i drzewo zostało porwane przez fale i wyrzucone parę dni później na skrawek plaży trochę dalej na południe. Ci, którzy tam mieszkali, uważają teraz drzewo za swoje. Ojciec udał się tam ze swoimi braćmi, aby zabrać drzewo do domu, lecz zostali przepędzeni. Teraz dorośli mężczyźni plemienia siedzą razem na nasłonecznionej rafie, gryzą strąki grochu i naradzają się. Matka nosi w tym czasie jedzenie.

Nie jestem dzieckiem w pełni szczęśliwym. Siedzę często sam i rysuję znaki na piasku. One nic nie znaczą. Ciągłe rysuję te same wzory. Nie wiem, co oznaczają, lecz sprawiają, że czuję się spokojniejszy. Czasem wyobrażam sobie wielką katastrofę. Widzę w wyobraźni pożar lasu, tu, wśród naszych wyschniętych sosen i suchych jak chrust krzewów, lub potop, który unosi nas wszystkich do szarego morza. Chciałbym zrobić listę tych, którzy powinni utonąć i tych, którzy mają przeżyć. Lecz nie umiem pisać.

Kiedy dochodzę do szóstego, siódmego nazwiska, myli mi się kolejność i muszę zaczynać od początku. Dlaczego matka nie przychodzi? Jeżeli nie przyjdzie, zanim słońce przesunie się obok wielkiego dębu, umieszczę ją na liście tych, którzy mają zginąć.

Nie widać moich kolegów. Kicham na nich. Rzadko zajmujemy się czymś przyjemnym. Apatycznie siedzimy na jakimś drzewie lub na kamieniach na plaży i smarujemy je śliną wcierając ją palcem wskazującym. Chciałem, żebyśmy coś zbudowali, lecz nigdy nie pozwalają mi zdecydować. Nawet jeśli wcześniej dojdziemy do porozumienia, że to ja zdecyduję, nic z tego nie wychodzi. Tutejsze dzieci wyróżniają się tym, że nie potrafią dotrzymać słowa.

Każdej jesieni i wiosny przychodzi tu komisja kwalifikacyjna. Wówczas ustawiamy się w skupieniu rodzina za rodziną. Mam dwóch starszych braci, którzy zostali wybrani. Należy albo się ożenić, założyć nową rodzinę, albo zakwalifikować się. W przeciwnym razie nie jest się nic wartym i trzeba tutaj wegetować przez resztę życia. Jeśli się jest mężczyzną, nie można brać udziału w naradach na nasłonecznionej rafie. A jeśli się jest kobietą, dostaje się jedzenie na końcu, kiedy je już wezmą mężatki.

Słońce właśnie minęło dąb. Zwiększam karę dla matki. Jeśli nie przyjdzie, zanim słońce dosięgnie starego gniazda wroniego na sąsiednim drzewie, wymyślę coś diabelnie złośliwego. Można by wykopać

głęboki dół i wepchnąć ją tam. Potem wszyscy sikaliby i srali do dołu. Musiałby być odwadniany, żeby nie utonęła. Ale byłaby zanurzona po szyję. Dostałaby trochę jedzenia i wody, bo nie chodzi o to, żeby umarła.

Słońce minęło właśnie wronie gniazdo. Możemy wymyślić coś jeszcze gorszego. Niektórych wybierają do eksperymentów medycznych, lecz to się zdarza wyjątkowo rzadko. Trzeba cechować się silnym niedorozwojem psychicznym, żeby się w to włądować, lecz należy być zdrowym fizycznie. Oni nie kwalifikują chorowitych ani ułomnych. Dlatego nigdy nie wybierają ich dużo. Wydaje się, że jeśli ktoś jest niespełna rozumu, to prawie zawsze jest słaby fizycznie. Ale moglibyśmy zmusić matkę, żeby oddała się w ich ręce. Moglibyśmy ją nabrać: powiedzieć, że popłynie z nami łodzią, żeby spotkać się z moimi oboma braćmi. Na to by poszła. Często za nimi tęskni — ku mojej złości. Przecież jestem najmniejszy! To ja jej najbardziej potrzebuję. Jeśli matka nie przyjdzie, zanim słońce dosięgnie bunkra dla strażników położonego na skalistej wyspie leżącej w poprzek cieśniny, ukradniemy naftę i polejemy ją. Potem tylko ktoś będzie musiał skombinować zapalną. Ale to się chyba da załatwić. Kiedy przychodzi tu komisja kwalifikacyjna, jej członkowie nigdy nie mają specjalnego porządku w swoich rzeczach. My, dzieci, przeszukujemy im bagaż albo kradniemy wprost z ich kieszeni. Mam złamaną fajkę i pięć otwieraczy do butelek,

schowanych w starej dziupli zrobionej przez dzięcioła.

Teraz nadchodzi matka! Z oczyma zalanymi łzami ruszam ku niej i rzucam się jej w ramiona z takim rozmachem, że upuszcza koszyk z kolbami kukurydzy. Ze złością szybko odsuwa mnie od siebie, tak że łąduję tyłkiem w jednej z kałuż na plaży.

## 44

Emmo, dlaczego mnie opuściłaś? Widzę tylko twoje plecy, kark, łydki, które się napinają, kiedy się wspinasz na palce, żeby dosięgnąć tablicy z bezpiecznikami nad akwarium Omegi. Czasem mam szczęście widzieć twój profil, kiedy bierzesz Rękę na kolana, żeby dać jej w zastrzyku codzienną porcję żywności. Nigdy ani jednego spojrzenia, nigdy życzliwego słowa w przelocie! Kiedy siedzisz w oddali i czytasz coś na głos z „Katalogu sportowego”, dlaczego zakrywasz sobie dłonią kąciki ust? Wiesz, że i tak słyszę! Wiesz, że znam na pamięć wszystkie strony. A przy okazji, jak wygląda sprawa z „Fjellsikker”, norweskim skafandrem, o którego zamówienie cię prosiłem?

Odwraca gwałtownie głowę i wybałusza na mnie oczy, a za chwilę zachowuje się tak, jakbym nigdy nie istniał.

Czy jesteś nieszczęśliwa, Emmo? Mogłabyś z powodzeniem mi się zwierzyć. Wysłuchiwałaś, jakie

mam problemy, a teraz ja jestem gotów posłuchać o twoich. To jest przecież podstawą wszelkich kontaktów międzyludzkich: zaufanie. Rozumiem, że Omega ma większe prawo niż ja do tego, żebyś poświęciła mu swój czas. On jest przecież tutaj nowy. Ale, do diabła, nie potrzebuje chyba każdej sekundy twojego czasu! Nie chcę powiedzieć nic niepoehlebnego o Omedze, lecz nie jestem całkowicie przekonany, że on dobrze życzy tobie lub mnie. Co wiemy o jego pochodzeniu? Gdybym był w twojej skórze, zszedłbym do piwnicy i wyciągnął jego akta personalne z tej zamkniętej metalowej szafy. Nie, ja nie chcę nic wiedzieć. Chcę, żebyś ty wiedziała. Dlaczego nawzajem nie mielibyśmy brać pod uwagę swojego pochodzenia — przecież normalnie zawsze tak czynimy. Rzadko się zdarza, że pozwalamy spoufalać się z nami innemu człowiekowi nie wiedząc, skąd pochodzi, jaki ma zawód, zainteresowania... Nazywasz to drobnomieszczacństwem! Ja uważam, że to jest typowo ludzkie.

— Przestań! — krzyknęła nagle przez całe laboratorium.

Nie zamierzam przestać. A wiesz dlaczego? Dlatego, że nie mam nic do stracenia. Wystarczająco długo byłem od ciebie uzależniony jak chory z miłości chłopak. Tolerowałem wszystkie kaprysy. Zawsze starałem się wyglądać na zadowolonego. Przez cały czas się bałem, żeby nie wydać się naiwnym, lecz nie odważyłem się na ani jedno słowo krytyki. Unikałem

tego. Każde zadanie, jakie raczyłaś mi przydzielić, wykonywałem nadludzkim wysiłkiem. Robiłem wszystko, żebyś tylko nie powiedziała, że mnie nie kochasz.

Tak dalej nie może być. Nie możemy grać w nieskończoność. Nie wymagam, żebyś powiedziała, że mnie kochasz. Kto może żądać czegoś takiego? Do tej pory sądziłem, że muszę mieć nadzieję, żeby móc żyć dalej. Lecz pozbadźmy się uczucia wstydu: ja będę w każdym razie dalej tak postępował. To przecież nie ja o tym decyduję. Nawet gdybym w dalszym ciągu był człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu, posiadającym ręce i nogi, byłoby nieprawdopodobne, żebym mógł rozstrzygnąć, czy moje życie ma trwać dalej. Mimo wszystko niewielu ludzi odbiera sobie życie. Nigdy bym nie zdołał... wyobrażam sobie, że to się dzieje w transie, na granicy szczęścia i zwątpienia. Czy ty, Emmo, czy mogłabyś...

— Jeżeli nie będziesz cicho, wyjdziemy do zmywalni, żeby tam czytać!

No to wyjdź! Tylko powlecz za sobą swojego kompana, czy kompanów. Ręka chyba tego słucha? Czego sobie życzy z katalogu? Rękawiczki ze świńskiej skóry z Tajwanu model „Pimpernel”? Uważam, że dla Omegi powinnaś zrobić na drutach czapkę, taki kapturek na dzbanek do herbaty, jaki zrobiłaś dla Flinka. Czy pamiętasz Flinka, Emmo? Przepraszam. Nie poznaję siebie. Chociaż nie, Emmo: teraz też jestem sobą. Taki jestem, kiedy nie próbuję grać

za wszelką cenę, żeby cię zadowolić. Można mi oczywiście co nieco odpuścić, z powodu tego nadmiaru pracy, którą wzięłam na siebie. Od miesięcy wzbiera we mnie złość. Jeżeli jutro będę wyjątkowo miły i potulny, nie uważaj tego za mój normalny stan. Jestem tak samo egocentryczny, niepewny i odczuwam taką samą potrzebę potrzymania głowy na twoich kolanach, jak inni mężczyźni, których poznałaś.

— Teraz już idę! — mówi Emma, wkłada katalog do kieszeni fartucha, posuwa z trzaskiem krzesło, patrzy na zegar ścienny i opuszcza laboratorium.

Siedź sobie w pokoju dla personelu. Siedź tam, pal i gap się na ekspres do kawy, który potrzebuje jeszcze dużo czasu na zagotowanie wody. Siedź tam sobie, z dala od innych. Zresztą, jeśli masz zamiar płakać, idź lepiej do toalety. Tylko pamiętaj, że dopiero po trzech kwadransach będziesz mogła pokazać się unikając pytań. W pokoju dla personelu słyszysz mnie równie dobrze. Dosięgnę cię również na strychu, gdzie mieszkają zwierzęta, lub w sekretariacie. Słabiej słyszysz mnie daleko, w pokoju Curta. Ale jeśli chcesz być zupełnie pewna, że się ode mnie uwolniłaś, musisz pójść do domu.

Jak mieszkasz, Emmo? Masz balkon, tego dowiedziałem się w czasie, kiedy jeszcze umieliśmy z sobą rozmawiać. Masz kota, który wabi się Mozart; wykastrowany nieborak, który nigdy nie wychodzi z domu, a nawet na balkon, bo boi się mew. A przy okazji,

kto się nim zajmował, kiedy byłaś na wakacjach i kąpałaś się w morzu? Mama? Zostałyście prawdziwymi przyjaciółkami, od kiedy wyprowadziłaś się z domu. Odległość zbliża, zwykło się mówić. Czy jesteś zadowolona ze swojego życia? Albo lepiej: czy masz zamiar coś w nim zdziałać?

Teraz słyszę, jak zaznaczasz w odpowiedniej kratce, że masz problemy z menstruacją lub może migrenę? Wybacz Emmo, chociaż już mnie nie słyszysz. Dlaczego tak się ułożyło między nami? To nie jest normalne. Dla ciebie jestem przecież tylko zwierzęciem domowym, chociaż nie tak naiwnie oddanym jak pies. Nie umiem też układać się w takich wyszukanych, leniwych pozach jak Mozart. Leżę tak jak zwykle, oczywiście wyłączając chwilę, w której miałem atak epileptyczny.

Wybacz mi! Sądzę, że wiem, jak wygląda sytuacja; dostałaś polecenia. George i personel z obchodu rozmawiali z tobą w cztery oczy, przejrzeni mój program i powiedzieli: Emmo, stwierdziliśmy, że przez jakiś czas powinnaś trzymać Ipsylona w niepewności. Mamy wrażenie, że zbyt wielka przyjaźń absorbuje jego komórki nerwowe. Rozpraszasz go. To nie są słowa krytyki, raczej komplement. Wiesz, że bardzo wysoko oceniamy twój wkład pracy. Jesteś godna zaufania, wydajesz obiektywne oceny i masz zdolność szybkiego postrzegania. Niestety, Ipsylon uważa chyba tak samo. Dlatego on nie może nie przywiązać się do ciebie. Jeżeli zdarzy się coś szczególnego, liczymy na to, że doniesiesz nam o tym w



zwykłym trybie. Z pewnością tak będzie, prawda, Emmo?!

## 45

Całymi nocami Omega i Ipsiłlon wpatrują się w siebie nawzajem. Zaczynam używać języka dziecięcego, mówiąc o sobie samym w trzeciej osobie. Jak można tutaj być dorosłym? Kto dłużej niż ja leżał w inkubatorze? Ipsiłlon, to wiecznie cudowne dziecko ważące trochę więcej niż kilogram.

Ręka śpi zwinięta, z zaciśniętą pięścią. Nikt tak nie śpi, bo nikt nie chce obudzić się z zieloną płwociną lub z pokrytym łuskami płazem między linią życia a szczęścia, znajdującymi się na dłoni. Nie odważam się już nawiązywać kontaktu z Ręką. Wyobrażam sobie, że dopóty dopóki nie zacznę nią dyrygować, Omega również zachowa spokój. To jest takie ciche porozumienie, a może również początek nawiązania kontaktu. Nasz wzajemny stosunek do siebie nie jest już obojętny, lecz zmienił się w postawę wyczekującą.

Życie na wyspie małą toczy się utartym torem. Nie wydorostałem od ostatniego czasu. Moje kontakty z kolegami nie stały się bardziej otwarte czy naturalne. Tata nadal bierze udział w naradach siedząc na nasłonecznionej skale. Mamy nie ma całymi godzinami, kiedy idzie po żywność i wodę. Wieczorami

siedzimy wszyscy wokół ognia, a starcy ciągną w kółko swoje niekończące się wspomnienia o życiu w dżungli. Jeżeli ktoś ukradkiem podejdzie do ogniska i zacznie w nim grzebać patykiem, może liczyć się z tym, że otrzyma policzek.

Czy Omega też ma swoją wyspę małp? A może wyrósł wśród nietoperzy-wampirów w zatechłej, wilgotnej i zimnej skalnej jaskini? Mój dziadek zmarł. Kiedy ktoś umiera na wyspie małp, grzebie się go w piasku w pozycji siedzącej z twarzą zwróconą ku Afryce. On zmarł dawno temu — więc dlaczego mam się tym martwić? Kiedy zmarł mój pradziadek, nie było mnie jeszcze na świecie. Nie chcę nic wiedzieć o tysiącach staruszków stojących nade mną, o tej długiej, zwężającej się kolumnie, która ginie w chmurach; o staruszkach, którzy uważają się za moich przodków i z tego powodu żądają szacunku i żalu po sobie. Czym jest wyspa małp? Jedyne namiastką życia, roślinnością w pół cywilizowanych warunkach. Nie przeżylibyśmy ani jednej zimy bez pomocy państwa. Słabo znamy się na łowieniu ryb. Jeżeli będziemy wygrzebywać z ziemi korzonki, sami doprowadzimy się do zguby. W ciągu kilku lat zmienimy naszą obfitującą w chrust, piaszczystą wyspę w pustynną, skalistą wysepkę.

Odmierzam krokami swoją przestrzeń życiową. Akwarium jest pięć razy takie długie jak mózg, jego szerokość jest trzy razy większa od długości mózgu, a wysokość, cztery. To pozwala na zrobienie obrotu,

lecz na nic więcej. Jeśli będę robił zbyt gwałtowne obroty, mogę sprawić, że moje własne nerwy czaszkowe, które zwykle zwisają pode mną, owiną mi się wokół oka jak włosy. To może uszkodzić oko, ponieważ nie potrafię mrugać i pozbyć się w ten sposób włókien.

Przyciskam się mocno do dna jak flądra, odwracam tyłem do ostrego światła laboratorium i wciśkam się pod wąż, który ciągle doprowadza pęcherzyki tlenu. Sprawia mi to przyjemność, kiedy kołyszące się pęcherzyki łaskoczą moje szczeliny i zgięcia. Leżę tak i wpatruję się w tylną część dygestorium, ciemną i wykafelkowaną. Kiedy George ukończy badania nade inną, może będę mógł dostać pracę jako strażnik. Jak mała łódź podwodna lub pływająca kamera telewizyjna mogę przepływać wzdłuż i wszerz stocznie wojskowe i porty, badać dokładnie cał po cału i meldować o każdej nieprawidłowości. Brakuje mi jedynie lekkiego, lecz silnego reflektora używanego na większych głębokościach. Czy wytrzymam zimno? Co się stanie, kiedy wodę zetnie lód? Czy będę mógł wtedy zaufać swojej orientacji w terenie, czy też będą musieli przez całą dobę mieć włączoną małą radiolatarnię, żebym nie zbłądził pod lodem i nie zamarzł?

Gdybym tylko nie musiał leżeć w cieczy, zebralbym wszystkie siły, wzniosłbym się z akwarium jak poduszkowiec i poruszałbym się swobodnie w

pomieszczeniu. Nie wiem, jak się wydostanę z laboratorium. Wszystkie drzwi są z pewnością zamknięte; znajduje się tu zbyt drogie wyposażenie oraz spirytus, chemikalia i inne kuszące rzeczy. Oprócz tego jest też kamera obserwacyjna. W zaworze powietrznym znajduje się śruba wentylacyjna, która pokroiłaby mnie, gdybym próbował się tamtędy przecisnąć. Lecz co by było, gdyby ktoś zostawił uchylone okno?! Wtedy podobny do okrągłego latającego spodka pożeglowałbym w świetle księżyca nad parkiem. Dokąd bym się udał? Przecież nie ma nikogo, kto akurat czekałby na mnie z kawą. Mógłbym oczywiście poszukać jakiejś miotły, usiąść na niej okrakiem i ruszyć w drogę na Łysą Górę, gdzie zostałbym wciągnięty w diabelskie harce. Lecz Kusy odróżniłby mnie na pewno od wszystkich wiedźm. A więc gdzie mógłbym się ukryć? U jeży! Mamy taki sam kształt i wielkość. Mogę udawać różowego jeża z obcięzonymi igłami. Z pewnością zaakceptowałyby mnie, bylebym tylko miał odpowiedni zapach.

Wolałbym jednak spotkać Boga. Bóg jest w niebie, tylko na początku Starego Testamentu jest mowa o tym, że znajduje się na Ziemi. W XIX wieku, zaledwie dziewięć miliardów lat po stworzeniu, Bóg wysłał Charlesa Darwina na morza Południa, żeby opisał ówczesne stadium rozwoju gatunków — czy równie długo trzeba czekać na następną generalną inwentaryzację?

Co wówczas odkryje przyszły Darwin, za dziewięć

miliardów lat? Kiedy zjawi się tu ponownie i będzie chciał popłynąć statkiem na swoje ukochane Wyspy Galapagos — jak wówczas będą wyglądały zięby? Zgodnie z prawem o walce o byt i o doborze naturalnym, wszystkie żyjące stworzenia powinny w ciągu tych miliardów lat uczynić duży krok na drodze rozwoju. Wystarczy przecież spojrzeć wstecz i porównać: gdzie są dzisiaj dinozaury, latające węże, jedno- i dwurzęźce, tygrysy szablastozębne i neandertalczyk? Sądzę, że jestem pierwszym egzemplarzem przyszłego człowieka. Kiedyś cała Ziemia zostanie zalana wodą. Wszystkie ssaki, ptaki i owady będą współżyły w tej olbrzymiej kałuży — jeżeli, nota bene, będzie jeszcze świeciło słońce. W przeciwnym razie będziemy tam leżeć zamarznięci na kość jak w zamrażalniku, który zapomniano rozmrozić.

Radioaktywność w bezwzględny sposób zmienia rozwój gatunków i mutacje. Najczęstszym tego skutkiem jest rodzenie się potworków, które jednak wymierają. Lecz pojedyncze udane okazy przeżyją będąc bardziej ekspansywnymi. Jak będziemy w przyszłości wyglądać? Nowe stworzenia będą miały nieskomplikowaną budowę i trudno je będzie zranić. Krew, szpik kostny, wątroba, serce i nerki — to wszystko są organy podatne na zranienie i w takim samym stopniu na zatrucie i napromieniowanie — zanikną. We wszystkich czasach człowiek umieszczał siebie jako punkt wyjściowy w swoich fantazjach. Jeżeli poprosi się kogoś, żeby narysował Marsjanina,

to rezultatem będzie niewielkie, zielone stworzenie ze spiczastymi uszami fauna i wielkim okiem na środku czoła.

Moja własna fantazja jest w ten sam sposób ograniczona realiami, w jakich żyję. Kiedy Darwin Numer Dwa, Syn Darwina, czy jak tam on lub ona będzie się nazywać, powróci na Ziemię, do tego, co wówczas będzie tylko letnim, lekko słonym morzem — jak wówczas będą wyglądały flora i fauna? Wszystkie gatunki zwierząt będą już wtedy pozbawione ciała. Żadne nie będzie ciągnęło za sobą długich nóg, męczyło się ze sterzcącymi piórami, obolałymi płetwami, nadłamanymi rogami lub szerniałymi z braku witamin łuskami. W ciepłym morzu wszystkie będą żyły w przyjaźni. Każdy gatunek i rodzina będą się, oczywiście, trzymały przeważnie razem, lecz nie prowadząc walki z otoczeniem. Z nas wszystkich pozostanie tylko mózg, oczywiście wraz z okiem i uszami. Nie będziemy musieli pływać, żeby móc polować, lecz będziemy potrzebować wiele ruchu, żebyśmy nie utknęli na zawsze w tej samej skalnej rozpadlinie. Spotka się mózgi wielorybów lub słoni, przyciskające się do siebie w czasie snu jak wielkie poduszki; małe mózgi zięb podskakujące w różne strony, mózgi delfinów, poruszające się w oleistych zakolach na powierzchni wody; tu i tam mózg rekina ze skurczoną płetwą ogonową zwisającą wzdłuż czaszki. Żadne zwierzę nie pożre drugiego. Cukier i sole będą występowały w morzu, a pobierać

się je będzie przez skrzela znajdujące się w mózdzku.

Problem będzie stanowić życie płciowe. Przypuszczalnie powstanie pewien model łączenia się w pary. Lecz ponieważ w zasadzie wszystkie zwierzęta będą miały życie wieczne, można się liczyć z tym, że nawet najbardziej trwałe związki zostaną po kilkuset latach zerwane przy kurtuazyjnym zachowaniu się obu stron. Walki o teren lub w okresie godów będą się ograniczały do płaszczyzny werbalnej. A co z powracającym na Ziemię Darwinem? Nie będzie mógł, tak jak w czasie swojej poprzedniej podróży, wynająć płynącego dookoła świata żaglowca „Beagle”, lecz zarezerwuje chyba sobie miejsce w łodzi podwodnej, może u kapitana Nemo?

## 46

— Co słyhać dzisiaj z praniem mózgu? — pyta Curt wciągając szczyptę tabaki.

Nie odpowiadam. Przyzwyczailem się do tego, że nie oczekuje odpowiedzi. Żartuje, żeby dodać sobie odwagi, kiedy czuje się niepewny. Przykleił do ściany przy pomocy taśmy duży schemat połączeń elektrycznych. Gapi się na swoją mapkę z na wpół otwartymi ustami o nabrzmiałej górnej wardze, wyznacza kierunki, nanosi długopisem niefachowe oznaczenia na odwrocie okładki notesu z numerami telefonów.

Przeczytawszy wszystko dokładnie wyszedł z pokoju w poszukiwaniu bezpiecznika, złącza lub przełącznika, lecz schemat połączeń pokazuje idealny obraz rzeczywistości i parę razy Curt o mało nie zrezygnował z poszukiwań.

— Robię to dla ciebie, Ipsilon. Pomyślałem sobie, że powinienes wyjść, stąd i trochę się rozruszać.

Krąży po pokoju ze swoimi kartkami, na których ma różne zapiski, jak gdyby bawił się udając ptaka lub rybę. Tyle razy tutaj coś przebudowywano, że przewody elektryczne muszą stanowić bezładny kłęb. Kiedy znalazł wreszcie poszukiwaną puszkę pod parapetem, zaklął wesoło, odkręcił ją, zajrzał do środka. Ukazała się jej zawartość: 24 bezpieczniki przypominające małe gwizdawki, całe pokryte warstwą lepkiego kurzu i starych włosów.

— Miałeś cholerne szczęście, że nie doszło do spięcia w twojej czaszce.

Zaznacza na schemacie połączeń jakąś cyfrę, pisze tę samą cyfrę na pasku oznaczonej taśmy i przykleja go na przykrywcę puszek. Następnie zakręca puszkę nie oczyściwszy jej.

— „Tu sroczka kaszkę warzyła, tu sobie ogonek sparzyła” — nuci Curt i wskazuje śrubokrętem gwiazdźdżistym na obserwacyjną kamerę telewizyjną.

— Pomyślałem, że moglibyśmy zrobić mały eksperyment wykraczający poza rutynę. Twój prawy nerw wzrokowy jest przecież sprężysty.

Myśli o tym, że mam bezwładnie sterczący nerw



wzrokowy pozostały po moim jednym amputowanym oku. Do tej pory nie rozumiałem, dlaczego usunięto mi jedno oko, pozostawiając wypustkę nerwową. Lecz teraz zacznam się domyślać.

— To jest jasne jak słońce, równie proste jak podłączenie anteny do telewizora — mówi Curt.

W kieszeni miał zwinięty kabel telewizyjny w twardym plastikowym opakowaniu, które rozerwał zębami. Po obu końcach białego kabla znajdują się małe metalowe osłonki.

— To powinno się udać — mówi i sprawdza otworek metalowej osłonki. — Twój nerw wzrokowy jest, oczywiście, trochę węższy niż kabel, lecz sądzę, że jeśli nie będziesz się poruszał, to on się nie ześlizgnie.

Stawia taboret pod kamerą obserwacyjną i wchodzi na niego. Wyciąga złącze, przerywając stałe połączenie, za którego pomocą obraz przekazywany jest dalej, gdzieś do centrali strażników, i wtyka zamiast niego kabel telewizyjny, który ma przy sobie. Ostrożnie schodzi i rozkłada za sobą kabel na podłodze, zbliżając się do mnie. Zanim odchodzi dalej, wciąga nową szczyptę tabaki.

— Chodzi o to, żeby zachować zdrowy rozsądek, Ipsilon... Teraz muszę, niestety, odwrócić cię do góry nogami, żeby nawlec kabel na twój nerw wzrokowy.

Odwraca mnie spodem do góry, spokojnie i uważnie, czego normalnie nie można sobie skojarzyć z jego sposobem postępowania. Nie odczuwam

absolutnie nic, kiedy przeciąga metalową osłonkę przez mój nerw wzrokowy. Następnie odwraca mnie z powrotem, układając w prawidłowej pozycji.

— Czy jesteś gotowy, Einstein?!

Obraz w kamerze poraża mnie, to tak jakby skierowało się światło silnej lampy na powieki śpiącego człowieka. Cała głowa staje się jasnoczerwona od środka. Zanika wzrok w oku, wszystko skrzy się oślepiająco białym kolorem.

— Nie oślepiaj mnie!!

— Przyciemnię obraz.

Ostry biały kolor przechodzi w szary. Po kilku minutach odzyskuję wzrok w moim własnym oku: Omega gapi się jak zwykle, nie dając po sobie poznać, w jakim jest nastroju. W moim drugim, podłączonym oku migocze niewyraźny, białoszary obraz. Powoli staje się coraz wyraźniejszy. Spojrzeniem błędę po laboratorium. Widzę podłogę z jasnych kafelków i cztery wysokie okna z opuszczonymi żaluzjami. Na lewo szerokie dygestorium ze stojącymi jedno na drugim akwariami; kiedy kamera wykonuje obrót w prawo, widzę mężczyznę w odpiętym białym fartuchu wyciągającego w moim kierunku dwa palce ułożone w znak „V”. Za nim stoi mniejsze dygestorium tylko z jednym akwariem. Siebie samego nie widzę z powodu odblasków w wodzie.

— Umieść czarną płytę przed moim okiem!

— Nie potrzeba. Wkrótce się przyzwyczaisz. To tak, jakby patrzyło się przez mikroskop. Tylko

początkujący zasłaniają lub mrużą drugie oko. Człowiek szybko uczy się posługiwać jednym okiem.

Ma rację. Przesunąwszy się jeszcze parę razy nad laboratorium kolorowy obraz z Omegą zbladł, a w tym czasie oko kamery było coraz lepiej widoczne. Obraz jest w dalszym ciągu biało-czarny, jeżeli nie brać pod uwagę szarego paska, który co kilka sekund przesuwa się z góry na dół.

— Podnieś żaluzje!

Figura w dole, na kafelkowej podłodze przesuwa się powoli do tyłu w kierunku parapetu i pociąga za kilka sznureczków. Całkowicie daje sobie radę tylko z jednym okiem. Na pozostałych trzech żaluzje pozostają mniej lub bardziej nierówno opuszczone. Na zewnątrz znajduje się parking. Jest zatłoczony. Samochody zajmują połowę szarych skwerów z trawą lub blokują prawie wszystkie uliczki dojazdowe. Za parkingiem stoi jasny wieżowiec. Na jego fasadzie jaśniejże duży neon z napisem Biochine. Pod szyldem znajduje się ciemny czworokąt. Na nim podawana jest na zmianę temperatura i aktualny czas, akurat teraz 17.03 lub +6.

Nagle dociera do mnie myśl: jestem tu, na górze, w kamerze. To tutaj się znajduję. Znikło moje uczucie umiejscowienia w mózgu! Patrzę oczywiście na akwarium przy każdym obrocie w prawo, lecz to nic dla mnie nie znaczy. Tam, na dole, mógłby równie dobrze leżeć ktoś inny. No tak, to jest stara prawda: człowiek jest zależny od swoich zmysłów; lecz z tym

jest różnie, bo zwykle nasze narządy zmysłów — oko, ucho, nos są połączone z mózgiem. Teraz odległość wynosi z pewnością około dziesięciu metrów w prostej linii. To daje mi ogromne, imponujące poczucie wolności.

— Pozwól mi tu pozostać!

— Jesteś szalony, Ipsilon. Muszę cię ściągnąć na dół. Nie możesz w nieskończoność siedzieć tu pod sufitem, tak jakbyś założył gniazdo jak ptak, który uciekł z klatki.

## 47

W środku nocy obudziło mnie drapanie paznokci w szybę. Krople przeciw epilepsji sprawiają, że obecnie często znajduję się na granicy snu i czuwania. Ręka opiera się rozczapierzonymi palcami o krótszy bok akwarium. Skuliłem się. Mam nadzieję, że wystarczająco nafaszerowali mnie lekami na wypadek, gdyby Ręka przedostała się tu, na dół i wywołała we mnie spięcie.

Po pierwszej reakcji, jaką była chęć ucieczki, próbuję zapanować nad Ręką. To mi się nie udaje. Wiem, że nie mogę wpłynąć na jej ruchy nie odbierając jednocześnie takich samych jak ona wrażeń, to znaczy nie czując ucisku na koniuszki palców lub ruchów mięśni dłoni. Jest cisza, lecz Ręka wdrapuje się jednak na moje akwarium. W poprzek pokoju leży w akwarium Omega ze swoim wiecznie

wytrzeszczonym okiem. Ręka nie próbuje się dalej wdrapywać, wycofuje się i ustawia nieruchomo tuż przy narożniku dygestorium. Stoi tam opierając się na kciuku i małym palcu, wsparta o grzbiet dłoni. Palec wskazujący, środkowy i serdeczny błądzą w powietrzu. Ręka próbuje coś powiedzieć. Trudno mi to odczytać. Mowę na migi przy użyciu jedynie trzech palców można porównać do maszyny do pisania pozbawionej niektórych klawiszy.

— O-m-g-a...

Omega? Czy Omega próbuje wreszcie przerwać swoje milczenie? Od razu jestem gotowy do nakreślenia w odpowiedzi swojego własnego imienia, lecz czym mam je nakreślić? Powietrze uchodzi ze mnie i opadam na dno. Leżę tam uciskając swoje oko, tak że obraz, który widzę, jest wykrzywiony i zniekształcony. Ręka zmienia się w bładą, tłustą ośmiornicę z długimi, poruszającymi się ruchem węża ramionami. Wzdrygam się i zaczynam wpatrywać się w Rękę.

— O-m-g-a-s-i-b-o — mówi.

— Omega się boi? — Koncentruję się na udzieleniu odpowiedzi przy pomocy przewodnictwa myśli:

— Odpowiedz, jeżeli mnie słyszysz! Odpowiedz „tak”, jeżeli mnie słyszysz!

Palce Ręki opadają na kafelkowe dno dygestorium. Następnie z wysiłkiem podnosi ona w górę serdeczny palec i kreśli:

— Ak.

Tak? Ponawiam próbę wykorzystując przewodnictwo myśli:

- Ile jest cztery razy cztery?
- S-z-s-n-ś-c-i.

Już nie ma wątpliwości, że kontakt został nawiązany. Omega dobrze mnie słyszy. Natomiast jego możliwości wyrażania się są przecież wyraźnie ograniczone.

— Nie bój się. To jest do przeżycia, spójrz na mnie!

- N-d-n-o — odpowiada Ręka.

Nudno? Podziękuj diabłu za to, że tu jest nudno! Zdenerwowałem się. Może mnie tutaj nie jest nudno?! A trzeba pamiętać, że do tej pory byłem samotny, jeżeli się pominie psa, Flinka i personel — i Rękę, która się w zasadzie nie liczy. Nie dano mi przywileju szkolenia się tu, w laboratorium, w towarzystwie starszego mózgu.

- Przyzwyczaisz się, tak jak to było ze mną.
- O-p-w-d-z.

Opowiedz? Co mam opowiedzieć Omedze — bajkę na dobranoc? To głupie uczucie leżeć tutaj i opowiadać... maszynie. Czy Omega jest maszyną? Umie liczyć i zadawać pojedyncze pytania. A w ogóle jak wygląda życie duchowe tam, po drugiej stronie? Czy istnieje właściwie jakiś powód, żeby sądzić, że Omega jest bardziej uszkodzony ode mnie? Trudno w to uwierzyć. Na początku sam byłem traktowany przez personel jak niemowlę, które uczy się chodzić, mimo

że swoją inteligencją przewyższam ich o niebo. Nagle uderzyła mnie myśl, że Omega może być lepszy ode mnie. Może mówi do mnie dziecinnym językiem, żeby nie wywołać u mnie zmieszania. Nie chcę, aby Omega miał wyższy iloraz inteligencji. To, że mogę zostać podporządkowany Omedze przeraża mnie bardziej niż myśl o podporządkowaniu się profesorowi. Dlaczego? Czy trudniej nam podporządkować się naszemu gatunkowi?

— Opowiem ci o wyspie małp — mówię.

— W-s-p-i-m-ł-p! — daje znak Ręka pełna oczekiwania.

— Był kiedyś szympans, który nazywał się Flink. Mieszkał tutaj, w laboratorium. Z czasem zaprzyjaźnił się z personelem i zabierano go na obchód. Wszyscy myśleli, że chodził z nimi dlatego, że było mu nudno i chciał spotykać się z ludźmi. Ale to nie była cała prawda: Flink szukał sprzymierzeńca, kogoś, kto chciałby posłuchać historii jego życia. Nie był bowiem zwykłą małpą laboratoryjną. Wyrósł na wolności lub w każdym razie pod gołym niebem. Przywędrował z miejsca, które nazywał wyspą małp. Nie wiem, gdzie ona leży, lecz sądząc z oderwanych informacji — w archipelagu szerosym lub może na którymś z dużych jezior śródlądowych. Tam, na małej wysepce o gładkich skałach, z suchym młodnikiem, kilkoma sosnami i drzewami liściastymi oraz kawałkiem płaskiej piaszczystej plaży wzrastał Flink przy swojej mamie i tacie...

— M-m-i-e-i-t-c-i-e.

— Właśnie, przy mamie i tacie. Później, kiedy Flink podrosł i okazało się, że należy do bardziej uzdolnionych dzieci w swoim pokoleniu, pozwolono mu opuścić wyspę małp i pójść do szkoły. Czy wiesz, co się później stało z wyspą? Pewnej jesiennej nocy przyszedł gwałtowny sztorm i zatopił ją całą. Wielu zatoneło, lecz niektórzy uczepili się zniszczonych bud i połamanych przez wiatr drzew i tym udało się podплыnąć do stałego lądu. Sama wyspa została natomiast oderwana od swojego skalistego podłoża i popłynęła w morze. Pływała tak całymi miesiącami i latami, aż w końcu osiadła na dnie morza, kilka kilometrów pod powierzchnią wody. Było to w jednym z ciepłych mórz. Tam właśnie utknęła dawna wyspa małp. Ryby głębinowe i mięczaki badały zatopioną wyspę, lecz żadne z tych zwierząt nie odważyło się tam osiedlić. Wyspa nie przypominała niczego, z czym się wcześniej zetknęły. Najbardziej była podobna do wraku statku, a wraków zwierzęta morskie nauczyły się unikać. Wraki były często pełne różnych trucizn i oleju, który wyciekał, kiedy zaczynały rdzewieć zbiorniki. Dlatego wyspa pozostała niezamieszkała aż do dnia, w którym dwa osobliwe stworzenia przypląnęły na nią z głębin morza. Były podobne do siebie jak dwie jagody. Były prawie takie duże jak strusie jaja i ciągnęły za sobą długie czułki jak meduzy morskie. Te stworzenia wiedziały, że wyspa małp nie jest niebezpieczna. Dlatego każde z nich



zamieszkało w swojej rozpadlinie skalnej w odległości zaledwie kilku metrów jedno od drugiego. A czy wiesz, jak się nazywało tych dwóch kompanów? Nazywali się Ipsilon i...

— O-m-g-a.

— Nazywali się Ipsilon i Omega. A czy wiesz, kogo mieli do towarzystwa, kto był ich przyjacielem i opiekunem, lecz wcale ich samych nie przypominał, lecz wyglądał raczej jak morska syrenka? Nie była ubrana w złotą lamę i nie miała tułowia zakończonego ogonem jak ryba. Miała natomiast maskę zamiast twarzy, butle z tlenem na plecach i płetwy na stopach. Nazywała się...

— E-m-a!

— Nazywała się Emma i była najlepszym przyjacielem Omegi i Ipsylona. Myślę, że teraz powinieś iść spać. Czy jesteś teraz spokojniejszy?

— D-b-r-n-o-c.

Teraz jest nas tu dwóch — dwa mózgi. Może nie powinienem robić sobie zbyt dużych nadziei co do Omegi, lecz mogę skonstatować: jest nas dwóch. Dopiero teraz odważam się dopuścić do świadomości swoje obawy. Traktowałem Omegę jako swego następcę. Sądzę, że Biochine potraktowała mnie jako niewypał. Jak tylko stwierdzono, że Omedze się polepszyło, postanowiono pozbyć się mnie. Gdyby tak nie było, co stało się w takim razie z Alfa, Beta, Gamma i innymi? Z całą kolekcją mózgów, które tu leżały i odczuwały strach? Od jak dawna? Od lat? Od wieków?

Jutro w nocy rozpocznę poważną rozmowę z Omegą. Musimy czynić dwie rzeczy: trzymać ze sobą, lecz jednocześnie współpracować z naszymi rozkazodawcami. Musimy zdobyć respekt dzięki swoim zdolnościom. Musimy stać się niezbędni. Nikt nam nic złego nie zrobi tak długo, jak długo będą nas potrzebować. I powinniśmy współpracować z radością. Nikomu nie przyniesie to pożytku, jeżeli będziemy leżeć tutaj ograniczając się tylko do wykonywania tego, co konieczne. Przeciwnie, powinniśmy ich zawojować. Przecież nie jest powiedziane, że na dłuższą metę to my będziemy musieli się podporządkować. Możemy być tutaj panami. Oczywiście, zależnymi od tych, którzy nas obsługują, lecz w równym stopniu tymi, którzy decydują. Zwycięstwo człowieka nad innymi gatunkami zwierząt na ziemi polega przecież na jego większej inteligencji. Lecz jego panowanie będzie trwać tylko tak długo, jak długo potrafi on zachować tę przewagę. Jako gatunek jesteśmy z Omegą lepsi od człowieka.

## 48

Curt wtacza się do laboratorium na dobrą chwilę przed rozpoczęciem się porannego obchodu. Przysuwa sobie taboret i siada opierając łokieć o dygestorium oraz pochylając czoło nad jego krawędzią. Widać z daleka, że był na nogach przez całą noc.

— Dzisiaj mówię ci do widzenia, Ipsilon. Mój angaż kończy się z nowym miesiącem. Lecz teraz idę do domu.

— Czy to znaczy, że będzie się mną opiekować Emma?

— Jednak zanim odejdę, mam zamiar wyjawić ci część prawdy. Cierpię widząc cię leżącego tutaj jak głupiec! Czy wiesz, dlaczego dali mi kopniaka? Dlatego, że ty i ja bawiliśmy się kamerą, która cię obserwuje. A odkryli to dopiero wczoraj! Nikt nie ma czasu sprawdzać wszystkich kaset. Lecz wczoraj była tu policja w związku z tym, że zginęła pewna ilość dzienników lekarskich. Wtedy przejrzyli wszystkie kasety. I wówczas zobaczyli, że nastąpiła przerwa w filmie. Przedtem ujrzeli jeszcze, jak przygotowywałem podłączenie. To nie o to chodzi, Ipsilon! To jest tylko wymówka. I to sprawia, że jestem tak cholernie wściekły! Któż dostaje kopniaka tylko za to, że ma ochotę trochę poeksperymentować? Chodzi o moje badania. Uważają, że one posuwają się zbyt wolno. Nie pojmują, że właśnie poważne badania posuwają się wolno. Nawet George tego nie rozumie. Może w głębi duszy pojmuje to, lecz ma przecież na głowie kontrolerów.

— To przykre.

— Lecz nie mogą przecież zakneblować mi ust tutaj, wewnątrz budynku. Na zewnątrz nie mógłbym powiedzieć ani słowa, żeby się na tym nie przejechać. Ale ty nie jesteś szpiegiem przemysłowym. W

każdym razie nie w świetle prawa. Jesteś natomiast idiotą. Ty i twój kumpel Omega; wy, którzy macie być tak diabelnie inteligentni. Nic nie pojmujecie! Sądziś, że jesteś tutaj jakąś maskotką, co? Lecz jesteś tylko jednym ze zwierząt doświadczalnych. Czym się zajmujemy przez ostatnie miesiące? Zgadnij! Nie, nie potrafisz zgadnąć. Czekamy tylko na to, żeby twoje życie uczuciowe zebrało się w tym miejscu, w którym powinno się skupiać, w twojej prawej półkuli mózgowej. Pojmujesz? Oddziela się plewy od ziarna. Uczucia na prawo, rozum na lewo...

Podśmiewa się trochę ze swojego dowcipu, patrzy na zegarek i przyczepia sobie pod wargę szczyptę tabaki przy pomocy starej jednorazowej strzykawki bez igły.

— Przyrzeknij mi jedną rzecz, Ipsilon: że nigdy nie zaczniesz zażywać tabaki.

— Dlaczego mam mieć uczucia po prawej stronie?

— Wiesz równie dobrze jak ja: przecież dopóty, dopóki wszystko jest jednym kłębkim w twoim mózgu, nie można wyodrębnić pojedynczych funkcji. Tego dnia, w którym uda się podzielić cię na różne części, zaczniesz być pożyteczny jak diabli... Twoje dane wyjściowe będą bardziej przejrzyste, będzie się wyciągać tylko to, co potrzebne. Będzie przecież możliwość wyłączenia lub pozbycia się tego, co niepotrzebne. „Wyprana inteligencja”, powiedział George na piątkowym zebraniu. Lecz my stwierdziliśmy,

że to jest za bardzo naładowane treścią. Należy opuścić „wyprana”. To słowo jest dwuznaczne. Zaproponowaliśmy słowo „ukierunkowana”. Ale George nie uważał, żeby ono było lepsze. Teraz zatrudnili pracą nad tym cały oddział językowy. Jeżeli ma się specjalistów, to trzeba ich przecież wykorzystać.

— A więc masa rzeczy, do których przeżywania na płaszczyźnie uczuciowej mnie tu zmuszają, ma służyć temu, żeby skoncentrować moje uczucia...

— Wszystko ma temu służyć. Nie wierz w to, że cokolwiek tutaj dzieje się przypadkowo. Oczywiście oprócz tego, że siedzę tutaj i paplam sobie. Tego nie ma w programie.

— Sprawiasz mi radość!

— Jak to — radość? Cieszysz się słysząc, że jesteś kompletnym pajacem?!

— Chodzi o Emmę. Wiesz, że teraz Emma odwraca się do mnie plecami. Jeśli cię dobrze rozumiem, to też należy do programu? Sam do tego doszedłem.

— Emma? Ona miałyby być objęta programem?

— Wszystko, powiedziałeś przecież przed chwilą.

— Emma to osobny rozdział, Ipsilon. Ale tak między nami mężczyznami: mieliśmy mały romans, ona i ja. Może tego nie wiesz, ale jest się przecież żonatym i ma się dzieci. To nie było nic dobrego, zupełnie nie. Była w ciąży, wiesz, i usunęła ją. Przedtem

był płacz i zgrzytanie zębów, lecz to trzeba przecież nazwać jedynym rozsądnym wyjściem. Nawet za cenę wzięcia na siebie roli łajdaka. Czasem trzeba grać chama dla dobra innych. Zwyczajna skrobanka, powiedziałem. Lecz niestety, okazało się, że nie bez pewnych komplikacji. Tutaj, w pracy, powiedziała, że była na Majorce. Pożyczyła ode mnie kwarcówkę.

— Jeżeli to nie jest objęte programem, to jaki ona ma powód, żeby odwracać się do mnie plecami?!

— Uspokój się. A jaki ma powód, żeby nie odwracać się do ciebie plecami? Wiem, że ty i twój kumpel próbujecie być szarmanccy wobec żeńskiego personelu. Ale bądźmy poważni. Czy sądzisz, że ona cię lubi? Wiem, że czasami musi wychodzić z pokoju dla personelu, bo chce jej się wymiotować. Uważa, że jesteście obrzydliwi. Trwało to długo, aż do czasów kogoś, kogo nazywaliśmy Sigmą, zanim Emma nauczyła się brać do ręki żywy mózg.

— Przecież ja nazywam się Ipsylon. Dlaczego on, tam w oddali, nazywa się Omega? Przecież między nami powinno być jeszcze trzech: Fi, Ki i Psi.

— Między wami? Ach tak. Oni byli niewypałammi, jak my mówimy. Nigdy nie zaczęli funkcjonować. Technika jest jeszcze w powijakach. Wy dwaj tutaj jesteście właściwie unikatami w skali światowej. Wkrótce zaczniesz się obchód. Teraz powiem ci coś na temat przyszłości tutaj...

— Weźmy jeszcze raz sytuację z Emmą!

— Szczerze mówiąc uważam, że to męczące.

— Czy możesz przysiąc, że Emma nie dostała polecenia, żeby się ode mnie odwrócić?!

— Oczywiście, przysięgam.

— A więc jak wytłumaczysz to, że faktycznie miała mnie na kolanach, że mi głośno czytała, że — nawet jeśli w to nie wierzysz — pocałowała szkło w tym miejscu!

— A jak myślisz? To znajdowało się, oczywiście, w programie. Żeby uczucia Ipsylona sięgnęły zenitu i żeby mógł je zebrać we właściwym miejscu, musi go ktoś pobudzić... Sam słyszałem, jak George tak mówił. Ale teraz widzisz: ona siedzi daleko i spiskuje z Omegą. Już cię odfajkowała. Teraz może pokazać, co rzeczywiście o tobie myśli...

— Dzień dobry, chłopcy!

To jest obchód na czele z profesorem, który ciężko kładzie dłoń na pochylonej głowie Curta. Nie rzuciwszy mi na pożegnanie nawet spojrzenia, Curt wymknął się znikając pod ramieniem George'a.

— Przyszedł tutaj, żeby się pożegnać — mówię.

— Curt dostał inne zadania do wypełnienia — odpowiada George. — Ale ty, Ipsilon, robisz duże postępy. Ponad oczekiwania. Jesteśmy z ciebie bardzo zadowoleni. Chcę, żebyś to wiedział. Nie należy być rozrzutnym w udzielaniu pochwał. Lecz jeśli rzeczywiście istnieje ku temu powód, trzeba to uczynić. To zawsze było moją dewizą.

Postanowiłem spróbować stąd uciec. Nie mogę tu długo leżeć pogrążony w swoich fantazjach i śmiesznych nadziejach na godniejsze życie. Powodzenie ucieczki jest w praktyce prawie niemożliwe. Lecz co mam do stracenia! Inną możliwością niż ucieczka jest dla mnie samobójstwo. A więc nie mam nic do stracenia. Lecz nie mam pojęcia, jak to zrobić; nie dostałem żadnej wskazówki. Zamiast tego zazdroszczę klasycznym uciekinierom: Casanovie, który wymknął się z więzienia Piombi połączonego z Pałacem Dozów, lub hrabiemu Monte Christo, który zaszył się w worek przeznaczony dla zwłok i kazał się wrzucić do morza. To dziecinnie łatwe. Moja ucieczka nie miałaby sobie podobnych. Pacjent, który zrywa się ze stołu operacyjnego, ciągnąc za sobą serwetki, wężyki, szczytce i złącza, i wybiega z sali popychając przed sobą respirator tak jak wózek dziecięcy, żeby torować sobie w ten sposób drogę!

Jeżeli mi się nie uda, odbiorę sobie życie. Wydaje się rozsądne zacząć coś robić w tym kierunku, rozpoczynając od drugiej możliwości. Jeżeli ucieczka się nie powiedzie, nie będę mógł zdobyć się na taką koncentrację, jakiej wymaga zaplanowanie morderstwa. Istnieją samobójstwa niezwykle. Rzymski niewolnik miał odebrać sobie życie przestając oddychać; lecz w czasach nowożytnych nigdy nie udowodniono, żeby to było możliwe. W niektórych narodach



prymitywnych zdarza się podobno, że ktoś postanawia umrzeć i potem ginie z osłabienia. Czy mogę liczyć na taką metodę? Ile czasu by to zabrało? Czy aparatura wcześniej tego nie zasygnalizuje? W jaki sposób mógłbym umrzeć? Ja, którego teoretyczna długość życia wynosi 800 lat!

Potrzebuję pomocy. Kto mi pomoże? Chyba nie personel. Jeżeli umrę, fundusze laboratorium mogą być zagrożone. Personel stanie, być może, przed koniecznością zmiany pracy. Na dobrowolną pomoc nie mogę liczyć. Może uda mi się kogoś zmylić, tak żeby zrobił coś nieobliczalnego i żebym wskutek tego został upuszczony na kafelkową podłogę. Czy wtedy bym umarł? Przecież nie jestem jajkiem, lecz miękką, dającą się dość dobrze formować, masą poprzecinaną włóknami i bruzdami, przypominającą twarogą glinę między korzeniami drzewa. Może się tylko ze mnie pośmiają, podniosą mnie, opluczą i wpuszczą z powrotem do akwarium.

Jeżeli się zmieni środowisko w samym akwarium, to umrę. To może nastąpić dopiero za jakiś czas; nie przeżyję jednak znacznego wzrostu lub spadku temperatury ani zmiany Składu chemicznego. Jeśli urządzenie pompujące tlen zastrajkuje na dłużej, wówczas również umrę. Lecz tu powstaną dwa zasadnicze problemy: ktoś będzie musiał wyłączyć, na przykład, to urządzenie, a po drugie, jego wyłączenie nie może wszcząć alarmu lub spowodować włączenia się automatycznej rezerwowej pompy. Jednak w

sporadycznych wypadkach zdarza się, że system kontrolny jest przez dłuższy lub krótszy czas wyłączony. Tak było na przykład wtedy, kiedy prowadzono tu przebudowę i ciągnięto nowe przewody. Ile czasu upłynie, zanim znów zaczną coś przebudowywać?

Jedna rzecz jest pewna: w tym czasie, kiedy będę coś planować, muszę za wszelką cenę spowodować, żeby personel z obchodu sądził, że z nim współpracuję. Położenie wyjściowe nie jest złe, dostałem przecież pochwałę za poczynione postępy. Może byłoby lepiej, gdyby postępy nastąpiły trochę później, a więc po tym, jak zacząłem planować ucieczkę lub śmierć. Lecz punkt wyjścia nie jest taki zły. Nikt nie może tak łatwo przewidzieć co planuję, jeżeli nie podłączyli mnie do takiej wyrafinowanej aparatury, dzięki której mogliby czytać w moich myślach — a to wydaje się nieprawdopodobne. W takim przypadku uniknęliby wszelkich komplikacji z porozumiewaniem się, ominęliby system Morse'a, wmontowania anten, okularów ze słuchawkami i czytania z ruchów warg. Nie mogą czytać moich myśli. Istnieje natomiast niewielka szansa, że ja mogę odczytywać niektóre z ich. Bezsprzecznie dałoby mi to przewagę, gdybym mógł wyćwiczyć czytanie w myślach. Lecz tak rzadko pojawia się ktoś w zasięgu mojego wzroku. Dziś rano personel z obchodu poprzestał na pokazaniu się w drzwiach i pokiwaniu mi. A Emma już nie zatrzymuje się przy Omedze. Karmienie zostało zracjonalizowane. Emma przebiega obok nas z

małymi porcjami w opakowaniach pokrytych rozpuszczalną w wodzie powłoką. Podaje nam to, czego potrzebujemy i znika.

## 50

Ułożyłem w punktach plan ucieczki:

1. **Przygotowania:** Największym problemem będzie nie to, jak wydostać się z akwarium, lecz to, jak utrzymać się przy życiu. Żeby przeżyć, muszę zgromadzić glukozę i mikroelementy, głównie cynk. Jeżeli będę głodował, mogę zaoszczędzić i zgromadzić te pierwiastki w swoich jamach wewnętrznych, w tak zwanych komorach. Tego nie da się zauważyć, ponieważ w moim wnętrzu nie umieszczono żadnych przyrządów do analizy; zadowolają się sprawdzaniem płynu w akwarium, a on nie pokaże żadnych zmian.

Ręka odegra decydującą rolę. Dlatego muszę ćwiczyć porozumiewanie się z nią. Muszę opanować każdy ruch i przemieszczanie się. Muszę również pilnować, żeby Omega nie przeszkadzał. To powinno się udać. Jeżeli się nie mylę, Omega jest teraz na tym etapie, na którym robi się różne badania, między innymi stosuje się elektrowstrząsy. Dlatego w pewnych dniach powinien być wyłączony.

2. **Kamera obserwacyjna:** Odcinki czasu, w których oko kamery skierowane jest w dal, poza moje dygestorium — najdłuższe wynoszą jedenaście sekund — są za krótkie na wykonanie dłuższych

manewrów. Pewne przygotowania natury technicznej są możliwe, lecz sama ucieczka nie może przebiegać szybko. Ktoś może się również znajdować w dyżurce i oglądać obraz. To, że film jest nagrywany na kasetę, nie jest gwarancją, że oni zadowolą się jedynie jego sprawdzeniem po nagraniu. Lecz jeśli ucieczka będzie wystarczająco szybka, strażnicy ledwo zdążą zareagować. A kiedy to już uczynią, ich reakcja pośrednio ułatwi ucieczkę.

**3. Omega:** Oceniam za całkowicie pozbawione szans powodzenia, gdybyśmy obaj uciekali jednocześnie. Jeśli mi się uda, będzie to oczywiście oznaczało, że środki bezpieczeństwa zostaną w budynku zwiększone, co z kolei utrudni później ucieczkę Omedze. Niestety, nie widzę możliwości rozwiązania tego problemu. Lecz istnieje i pozytywna tego strona: jeżeli mi się powiedzie, pokażę Omedze, że można stąd uciec. Nastawiam się na to, żeby nie wyrządzić Omedze krzywdy. Dzięki temu, że akwarium Omegi stoi około 10 centymetrów wyżej niż moje, istnieje odpowiedni poziom bezpieczeństwa.

**4. Ucieczka:** Odpowiedniej nocy — prawdopodobnie z niedzieli na poniedziałek o godzinie 3.30 — nakażę Ręce udać się w drogę, kiedy kamera skierowana będzie w dal. Ręka przykryje otwór odpływu, który pozostał po zapasowym prysznicu. Ponieważ kamera jest umieszczona na miejscu dawnego zapasowego prysznicu, nie może dostrzec, co się dzieje tuż pod nią. Dlatego Ręka będzie mogła ze spokojem

przywlec tam szmaty i ścierki i zapchać odpływ. Następnie odkręci wodę; tutaj są co najmniej trzy krany, są nawet narzędzia na półce na ścianie, na wypadek gdyby zacięły się krany. Wtedy w pokoju szybko wzrośnie poziom wody. Ręka przepłynie do mojego akwarium i wyłączy większość kontaktów. Żeby pobierać energię, potrzebuję tak zwanej baterii morskiej, małej plastikowej torebki, która funkcjonuje w wodzie. Baterie morskie mają duże zastosowanie w instytucie i z łatwością można je skraść. W tej samej chwili, kiedy woda w pokoju zacznie wlewać, się do mojego akwarium, Ręka popłynie w dół do odpływu, żeby odsunąć szmaty. Wtedy nadejdzie krytyczna chwila — jeżeli nastąpi zbyt szybko, woda przestanie się podnosić, zanim osiągnie poziom pozwalający mi na wypłynięcie stąd; jeżeli będzie się to działo za wolno, powódź spowoduje przelanie się wody w akwarium Omega. Ponieważ Omega nie został wcześniej nafaszerowany niezbędnymi mu chemikaliami, znajdzie się w zbyt jałowej wodzie i umrze.

Potem wypłynę do zalanego wodą laboratorium. Wir wody wciągnie mnie do ścieku. Wtedy Ręka będzie musiała odsunąć żelazną kratkę, która przykrywa studzienkę. Kiedy to zostanie zrobione, będę mógł zniknąć na dole w kanale ściekowym, pociągając za sobą Rękę. O życiu, które nas tam czeka, wiemy bardzo mało. Lecz wiemy, że istnieje w nim woda, że woda ta płynie z górskich tunelów i betonowych

kanałów do oczyszczalni ścieków. Woda nie jest czysta, co jest bardzo korzystne. Powinna się w niej znajdować wystarczająca ilość pożywienia i mikroelementów, a może nawet witamin. Nie mamy zamiaru płynąć tym strumieniem aż do oczyszczalni. Osiądziemy w wygodnym zagłębieniu i będziemy zastanawiać się nad naszą przyszłością.

**5. Niepowodzenie:** Jeżeli w którejś z krytycznych chwil plan się nie sprawdzi, odbiorę sobie życie. Niestety, nie można tego dokładnie zaplanować. Lecz mając pełną kontrolę nad Ręką nie powinienem mieć problemu. Najgorszą rzeczą, jaka może się zdarzyć, jest to, że mogę utknąć w wodzie w drodze z akwarium do studzienki w podłodze. Jeśli ucieczka zostanie przerwana zanim opuszczę swoje mieszkanie, nie będzie to miało większego znaczenia. Nikt nie będzie mnie mógł oskarżyć o jej próbę, dopóki będę leżał w akwarium. Jeżeli Ręce nie uda się odsunąć ciężkiej kraty na studziencie, możemy liczyć na pomoc strażnika. Co zrobi, kiedy zauważy zalanie? Sprawdzi rurociągi. Na swojej tablicy kontrolnej zobaczy natychmiast, że świeci się czerwona lampka sygnalizująca, że w laboratorium coś się zapchało. Wtedy albo zadzwoni po straż pożarną, albo sam wejdzie w kaloszach do laboratorium, żeby usunąć przeszkodę w studziencie. Kiedy przeszkoda zniknie, ześlizgniemy się z Ręką do otworu...

Nagle dostrzegam pochylonego nade mną profesora, mimo że to nie jest zwykły obchód.

— Nad czym rozmyślasz? — pyta.

Wolę nie odpowiadać. Zamiast tego myślę: teraz albo nigdy! Intensywnie wpatruję się w jego czoło. Dzisiaj nie przeraża mnie tak swoją opalenizną, która już trochę zbladła; jego skóra przypomina sfermentowany ser. Wpatruję się w jego czoło, przenikam wzrokiem skórę, warstwę mięśni, nogę... Rozkazuję: weź mnie do ręki!

Profesor wyjmuje ręce z kieszeni fartucha i patrzy zdziwiony na swoje własne dłonie.

Ponownie wydaję rozkaz: weź mnie teraz do ręki!

Zaczyna podwijać rękawy fartucha, a następnie zdejmuje z ręki zegarek. Potem pochyła się i zaczyna przesuwać znajdujące się tu akcesoria: kable, urządzenie doprowadzające tlen, regulator częstotliwości — żeby mnie dosięgnąć. Muszę teraz przesunąć się jak najbardziej do tyłu, żeby nie stracić z pola widzenia jego czoła...

— Co ja, do diabła, robię?!

Robi szybki krok do tyłu i z poczuciem winy chowa dłonie za plecami. Następnie wyławia z kieszeni na piersi parę okularów słonecznych i przygląda mi się przez ciemne szkła — tak, jakby musiał chronić oczy.

— Słuchaj, Ipsilon, nie próbuj mnie nabierać! Wiemy bardzo dobrze, że możesz w pewnym stopniu kierować ruchami innych stworzeń. W rzeczywistości

nie jesteś bardziej osobliwy niż pierwszy lepszy ma-  
łomiasteczkowy hipnotyzer!

Teraz zdejmuję okulary. Uznał, że całkowicie  
opanował sytuację.

— Masz zamiar uciec — stwierdza później. —  
Przez parę dni i nocy oglądaliśmy próby i wywnio-  
skowaliśmy z nich, że snujesz plany ucieczki.

— Tak, mam zamiar uciec.

— Powodzenia!

— Czy mi pomożesz?

— Czuję się zaszczycony, że mi okazujesz zaufa-  
nie... Nie, Ipsylon, porozmawiajmy jak mężczyzna z  
mężczyzną. Chciaż tak chciałbym ci pomóc, tak  
chciałbym zobaczyć starego przyjaciela uwalniającego  
się od materii... nie należysz jednak do mnie, nie  
jesteś moją prywatną własnością! Należysz do  
Biochine. Jeżeli chcesz uciec, to musisz to zrobić w  
wyobraźni. Temu nie mogę przeszkodzić, najwyżej  
mogę spróbować to zarejestrować.

— Jesteś tchórzem.

— Nie, nie jestem aż takim tchórzem. Mógłbym  
nawet pomyśleć o zdradzeniu swojego zwierzchnika.  
Mógłbym oszukać Biochine i ponieść tego konse-  
kwencje tylko po to, żeby choć raz w życiu przeżyć  
coś nieprawdopodobnego: to, że komuś w twojej  
sytuacji udało się uciec. Ale, Ipsylon, ale...

— Wypuść mnie!!

— Tak, wypuszczę cię, lecz, niestety, nie na  
wolność. Na to jest za późno. Nasze plany posunęły



się już o wiele za daleko. Zbyt dużo obcych zostało w nie wciągniętych... Już postanowiono, że jutro się przeniesiesz tam dalej, na drugą stronę laboratorium, do Omegi.

— Dlaczego?!

— Dlatego, że już najwyższy czas, żebyście zaczęli przyzwyczajać się do bliższego kontaktu z sobą.

## 51

Omega i ja znajdujemy się w wąskiej szufladzie ze szkła. Pomiędzy nami umieszczono cienką plastikową płytę, która uniemożliwia nam bezpośredni kontakt. Nad nami znajduje się sufit z siatki przeszkadzający jakimukolwiek intruzowi przedostanie się tu, na dół. Nie widzę już Ręki, ale powinna się znajdować na półce pod nami. Wzywałem ją wiele razy, lecz bez skutku.

Co by się stało, gdyby nie wyszła moja próba ucieczki w czasie zorganizowanego zalania i gdyby cały budynek, aż po strych, wypełnił się wodą? Omega oczywiście wydostałby się. Co by było ze szczurami na strychu? Czy przypląnęłyby tu, uderzając ogonami, przez rury wentylacyjne? Może znajdują się tu również inne organy? Na pewno mają tu serca albo umieszczone w akwariach podobnych do naszych, albo oziębione i utrzymywane przy życiu na małym płomieniu, w suchym lodzie. Brunatne wątroby, duże i tłuste, również czekają na swoich odbiorców;

ramiona, oczy, bębenki uszne, dwunastnice — całe, błyszczące kolorami, wewnątrz człowieka. Gdyby nastąpił potop, wszystkie organy zostałyby uwolnione i zaczęły pracować ruchem pompy: serca, wijące się jak węgorze kiszki, unoszące się pod sufitem jak gąbki płuca. Stworzylibyśmy cały organizm, gdybyśmy doszli do porozumienia, gdyby tylko udało nam się nakłonić kogoś, żeby nas zszyl razem.

Przyszedł personel z obchodu. Nikt nie odzywa się ani słowem. Przyrząd rejestrujący elektroencefalografu dygocze gdzieś w oddali. Po zanotowaniu czasu profesor wyciągnął plastikową płytę, która oddziela mnie od Omegi. W jakim celu? Czy chodzi o walkę kogutów na poziomie naukowym, czy jedynie o stworzenie nam okazji, żebyśmy wzajemnie przyzwyczaili się do swoich wydzielin?

Kiedy zbliżam się do Omegi, leży początkowo zupełnie spokojnie, tylko pojedyncze włókna nerwowe, które znajdują się na jego spodniej stronie, lekko falują. Węszę wkoło. Oko Omegi jest brązowe. Poszczególne części oka nie są wyraźnie odgraniczone od siebie, wydaje się, że źrenica, tęczówka i białkówka łączą się z sobą. Może jego pochodzenie jest zupełnie inne niż moje? Może jest Indianinem lub Mongołem? Chętnie zaproponowałbym coś Omedze, żeby pokazać, że mam pokojowe zamiary. Lecz cóż by to miało być? Zbliżając się emituję przy pomocy anteny wypowiedź:

— To ja jestem Ipsylon.

Lecz on nie reaguje. Znajduje się we wcześniejszym stadium rozwoju, na takim poziomie, na jakim ja byłem jeszcze niedawno, poziomie czytania z ruchów warg i gestów. Opadam na dno, żeby nie czuł się zagrożony. Czy jest w jakiś sposób uzbrojony? Nie widzę ani żadnego kolca, ani żądła, ani innej broni. Teraz podnoszę się z dna i układam tak, że znajduję się z nim oko w oko. Co kryje się tam w głębi? Ostrożnie się pochylam. Czy my w ogóle mówimy tym samym językiem, czy on rozumie...

Nagle Omega podrywa się jak spłoszona ryba. Nie pływa przy pomocy uszu, lecz wykorzystując sieciowy układ nerwowy, tak jak meduza. Pracując jak pompa, zrobiwszy kilka silnych ruchów uderzył prosto w szkło krótszego boku akwarium. O mało się przez to nie przewróciłem. Powoli jak galera obracam się wkoło i ustawiam przodem do Omegi. Zaszył się w kącie tyłem do mnie; od czasu do czasu drżą jego włókna nerwowe. Przypomina żabę, która próbuje uciec pod piaskiem brzegiem plaży. Wołam na całe laboratorium:

— George?! Emma?!

Nikt nie nadchodzi. Nikt się nie odzywa. Nie zauważam obecności żadnych postaci ani w laboratorium, ani w graniczącym z nim pokoju. Lecz jestem pewny, że nas obserwują.

Układam się na dnie próbując zrobić się tak płaskim i małym, jak to tylko możliwe. Nagle Omega robi skok z wody prosto w górę. Oczywiście od razu

uderza w siatkową pokrywę akwarium i odbija się od niej. Opada stroną grzbietową na dno jak martwy żuk. Leży tam gapiąc się błędnym wzrokiem, lecz bez ruchu. Czy Omega może się sam odwrócić we właściwym kierunku, czy też musi mu ktoś pomóc? Pozwalam mu tak leżeć przez około pół godziny, żeby się uspokoił. Lecz nie odważam się czekać dłużej. Wnętrze Omegi może przecież całkowicie przestać funkcjonować. Jądra komórek mogą zostać zgniecione, myśli i obrazy mogą wypaść ze swoich szufladek i stać się bezładną mieszaniną.

Bardzo ostrożnie podpływam bliżej i szturcham go lekko kikutem swojego rdzenia przedłużonego. Kiedy to czynię, włókna nerwowe Omegi drżą. Wydaje się, że szuka po omacku jakiegoś oparcia. Nie udaje mi się jednak odwrócić go we właściwą stronę. Zastanawiam się, czy by nie spróbować wyholować go na powierzchnię. Ponownie się zbliżam, tym razem z trochę większą prędkością, próbując wcisnąć się pod niego, tak żeby znalazł się nade mną i żebym mógł go wypchnąć w górę. Coś uderza mnie w oko — odczuwam to tak, jakbym uderzył głową w ścianę. Teraz jestem unieruchomiony. Nie mogę się poruszyć, bo Omega jest zbyt ciężki. Poza tym wydaje mi się, że moja jedna antena zahaczyła o jedną z najgłębszych bruzd Omegi, *Sulcus lateralis*.

Gdybym tylko mógł z nim porozmawiać! Wspólnymi siłami zdołalibyśmy z pewnością wybrnąć z sytuacji. Lecz on jest niemy i głuchy. Po chwili

zaczyna wykonywać gwałtowne ruchy, tak jak tonący. Długie włókna nerwowe uderzają mnie po wierzchu jak razy bata. Instynktownie pochylam się i pozwalam moim uszom pracować na pełnych obrotach. To szczęście, że na dnie akwarium nie ma piasku ani gliny — w przeciwnym wypadku tak zmącilibyśmy wodę, że nie moglibyśmy się nawzajem zobaczyć.

Nagle uwolniłem się i popłynąłem swoją szerszą częścią do przodu. Lecz oto coś mnie zatrzymało. Długie wypustki nerwowe Omegi owinęły się kilka razy wokół moich anten. Im większy stawiam opór, tym mocniej zawiązują się supelki. Próbuję myśleć: nic takiego się nie stanie, jeżeli wczepimy się w siebie; wcześniej czy później będzie musiał przyjść ktoś z personelu i nas rozdzielić. Jest natomiast ważną rzeczą, żeby żaden z nas nie leżał zbyt długo na grzbiecie. Wydaje się, że Omega odzyskał siły; zaczyna się szarpać i ciągnąć mnie w swoją stronę. Prawdopodobnie jest zupełnie zdezorientowany i nie wie, gdzie jest góra, a gdzie dół. Zwalniam opór i pozwalam mu ciągnąć mnie po dnie. Nadal leży na grzbiecie, jak bezsilny żółw. Wygląda na to, że cała jego siła skupiła się w długich wypustkach nerwowych. Obraca się nagle o dziewięćdziesiąt stopni, a wtedy przelatuję nad nim w stronę drugiego końca akwarium. Zaczynam pływać jak opętany, żeby zapanować nad sytuacją i dalej utrzymać się we właściwej pozycji. Omega znów robi obrót i zawraca do tego miejsca, gdzie po raz pierwszy się w siebie

wczepiliśmy. Wyteżam wszystkie siły, lecz muszę uznać, że jest silniejszy. Jest również cięższy. To dziwne, bo jego objętość jest mniejsza od mojej. Lecz zupełnie oczywiste jest to, że ma większy ciężar właściwy.

Obieram inną taktykę: pozwalam mu się zmęczyć. Ale on ma niewyobrażalne siły. Przez kilka godzin pływa tam i z powrotem ponad dnem, brzuchem do góry, ciągnąc mnie za sobą. Zaczynam odczuwać objawy choroby morskiej. Jeżeli mój zmysł równowagi odmówi posłuszeństwa, mogę znaleźć się w śmiertelnie niebezpiecznej pozycji. Przez chwilę myślę: dlaczego nie? Dlaczegoż by nie przygotować się do śmierci już, teraz? I tak nie mam przed sobą żadnej przyszłości. Stare wspomnienia przesuwają się w mojej świadomości. Myślę o Emmie, szczupłej i ładnej, o tym, jak całymi dniami próbowałem wymyślić jakiś przebiegły sposób, żeby wyznać jej swą miłość. Pamiętam swoją dawną pogardę dla profesora, na którą już mnie nie stać.

Omega robi nieoczekiwane taki ruch jak pompa, odbija się skośnie od dna, muska ścianę i wyskakuje w górę nad powierzchnię wody. Podążam za nim nie mając możliwości zahamowania. Kiedy znów z pluskiem wpadliśmy do wody, on znalazł się na mnie, dalej odwrócony do góry nogami. Ja sam leżę bokiem, lecz włókna nerwowe, które niezliczonymi zwojami, tworząc pierścienie, owinęły się wokół mnie, nie pozwalają mi się przewrócić. Obaj jesteśmy całkowicie wyczerpani. Jeśli spróbuję odwrócić

Omegę we właściwym kierunku, sam znajdę się spodnią stroną do góry. Leżę nieruchomo i wykonuję słabe, nieregularne ruchy uszami, żebyśmy mogli się przynajmniej trochę ochłodzić.

Sądzę, że leżymy tu już około doby, bez jedzenia i opieki. Przy okazji spróbuję przy pomocy anten wysłać sygnał alarmowy, lecz to będzie na pewno daremne; leżę pod Omegą, w polu uniemożliwiającym komunikację radiową. Przez długi czas byłem nieobecny myślami. Potem zacząłem się zastanawiać, dlaczego się nie zanurzamy. Mój ciężar właściwy jest tego rzędu, że najlepiej odpoczywać mogę mniej więcej w połowie odległości między powierzchnią wody a dnem. Omega ma bardziej zwartą budowę, dlatego — według wszelkich praw fizyki — powinniśmy opaść na dno. Wydaje się, że istnieje tylko jeden powód, dla którego tak się nie dzieje: Omega jest martwy.

Natychmiast odsuwam od siebie to stwierdzenie i zasypiam. Kiedy się budzę, jego oko jest wytrzeszczone. Ciężkie oko zwisa tuż przede mną. Bez większej nadziei pływam przez kilka chwil. Ku mojemu zdumieniu i uldze czuję, jak on zwalnia uścisk; jego nerwy są śliskie, zimne i nieruchome jak wygotowane spaghetti. Po kilku okrążeniach tam i z powrotem ruchem węgorka udaje mi się całkowicie uwolnić. Natychmiast odpływam jak najdalej od Omegi i przyciskam się do dna. Czy on jest martwy? Czy ja też umrę, kiedy on zacznie się rozkładać i zatruje wodę?

Rozkład zacznie się z pewnością za parę godzin; leżymy przecież w wodzie o temperaturze 37 stopni.

Lecz już po kilku minutach pojawia się psychiatra i opuszcza plastikową płytę między nami. Daje Omedze zastrzyk w środkową bruzdę mózgu między jego obiema półkulami. Po południu zachowuje się on tak samo jak zawsze: wpatruje się we mnie swoim kulistym okiem. Już nie chce mi się podejmować próby nawiązania kontaktu. Dlaczego on mnie zaatakował? Czyżbym zupełnie nieświadomie wydzielał jakieś trujące substancje do otaczającej nas cieczy?

## 52

Dziś w nocy podejmę moją trzecią próbę ucieczki, ona musi się udać. Tutaj coś się dzieje: dodatkowe obchody, nowa aparatura, pomiary i wizyty kierownictwa. Coś się na pewno wydarzy. Czuję, że to odmieni całe moje życie, może równie radykalnie jak wtedy, kiedy pozbawili mnie ciała. Dziś w nocy muszę wyruszyć w drogę, obojętnie za jaką cenę.

Kiedy skomplikowane zadania mają być wykonane w krótkim czasie, często zdarzają się zaniedbania. Po zrobieniu wczoraj codziennego zastrzyku Emma nie dopilnowała, żeby zamknąć pokrywę akwarium Ręki. Ręka jest już na zewnątrz, w drodze do pokoju dla personelu. Wisi tam przybrudzony fartuch, ten, który Curt w napadzie wściekłości wcisnął pod ławkę, kiedy odchodził z instytutu. Sprzątaczką powiesiła



go na haku. W kieszeni fartucha leży długi kabel telewizyjny, którego Curt użył przy podłączaniu mnie do kamery telewizyjnej.

Ręka posuwa się mocno przyciśnięta do ściany, podczas kiedy kamera wycelowana jest w innym kierunku, w dal, w stronę mojego starego dygestorium po drugiej stronie pokoju. Potyka się jak lunonauta, będąc tuż przed kamerą, w polu niewidzącej części jej oka. Kabel jest zwinięty, lecz nie związany. Ręka dotyka szpuli z kablem i zaczyna wspinać się zwrócona jednym końcem do kamery. Lecz nie wciśka bezpiecznika. Zamiast tego nakazuję jej zawiązać luźno kabel wokół statywu kamery — potem będzie mogła zejść na dół.

Omega gapi się wytrzeszczając oko. Proszę bardzo! Dopóki nie może donieść o swoich spostrzeżeniach, jego obecność jako świadka wydaje się nawet działać uspokajająco. Metalowej siatki nad naszym długim, przedzielonym akwariem Ręka nie może przesunąć. To jest zresztą niepotrzebne. Wystarczy, że spuści jeden koniec kabla przez otwór w siatce, który znajduje się dokoła urządzenia doprowadzającego tlen. Przyciskam się do lśniącego drążka, skąd tlen wytryskuje z maleńkich otworków i tworzy coraz większe, owalne pęcherzyki toczące się w kierunku powierzchni wody. Ręka wkłada do wody palec wskazujący i środkowy. Wytrzeszczam oko i przewlekam swój martwy nerw wzrokowy przez metalową osłonkę kabla.

Ręka poluźnia osłonkę. Nie minęła nawet minuta i znalazła się znów na górze, przy kamerze, wyszarpaneła używaną zwykle wtyczkę i podłączyła mnie. Tym razem odzyskuję wzrok o wiele szybciej niż poprzednio. Czarnobiałe pole przelatuje przez moją świadomość: patrzę teraz długo na laboratorium z ukosa od góry.

Skierowuję całą energię i uwagę na przeniesienie swej świadomości z akwarium na kamerę. Najtrudniejsze jest wyłączenie mojego starego, rozróżniającego kolory oka. W regularnych odstępach czasu docierają do mnie obrazy z akwarium: toczące się złociste pęcherzyki tlenu w jasnozielonej wodzie. Lecz obraz jest coraz mniej ostry, coraz bardziej rozwodniony, jak stara akwarela. W końcu zostaje z niego tylko jasna, pulsująca plama.

Przestaję się zajmować zmysłem wzroku i koncentruję się na innych częściach swojego ja: słuch powoli słabnie tam w górze, w kamerze, jak gasnący płomień wokół knota. Potem pojawiają się różne fantazje, wspomnienia i dochodzi do głosu wiedza, jaką posiadam. Wyciskam jak cytrynę resztki wspomnień o wyspie małp, damie w czerni siedzącej przy respiratorze, psie, szczurach, które tak nieśmiało przemykały się tu pewnej nocy, dawno temu... W końcu moja świadomość niemal całkowicie przyzwyczajają się do kamery. Gdybym miał czas, dokonałbym selekcji swoich wspomnień tak jak przy użyciu sita. Pozostawiłbym wszystko to, co było negatywne. Lecz

Emma ostałaby się — zostawmy to; niech się tylko stąd wydostaną.

Teraz czas na następny krok: muszę spowodować, żeby Ręka odłączyła kabel od mojego starego mózgu i zamiast tego podłączyła go do centralnego ujęcia. Przez kabel mam potem zamiar popłynąć z prądem do tablicy rozdzielczej w dyżurce połączonej z kamerą telewizyjną. Nie mogę przewidzieć, co mnie tam czeka. Może zostaną wgnieciony w kasetę i będę leżał miesiącami w szufladzie czyjegoś biurka, zanim ktoś mnie włączy. Wtedy będę mógł zrobić następny krok: albo przeniknąć przez czoło tego, kto siedzi przed tablicą, albo przemknąć obok niego i podebrać się w powietrze jak zwarty rój pszczoł.

Szukam wzrokiem Ręki, żeby udzielić jej ostatnich instrukcji. Kiedy przelatuję nad laboratorium, widzę zamiast niej co innego. Byłem tak zajęty, że nie zauważyłem ani profesora, ani psychiatry. Stoją prawie na środku pokoju i kiwają do mnie z radości. Oboje są odświętnie ubrani: profesor we frak, a psychiatra — wysoka, szczupła kobieta — w długą suknię i jasną etolę zarzuconą na ramiona. Profesor ma na ramieniu Rękę, którą głaszcze jak kociaka.

— Wpełnij z powrotem do skorupy, ślimaku! — mówi psychiatra surowym tonem, lecz potem wybuchają histerycznym śmiechem.

Profesor patetycznym gestem unosi ramię, kierując je w moją stronę i zaczyna cytować „Odyseję”: „Szczepie dzeusowy, synu Laertesa, przemysłny

Odysie! A więc naprawdę chcesz już teraz jechać do domu, do ziemi ojczystej? Życzę szczęścia — mimo wszystko... Lecz gdybyś wiedział, ile ci sądzone znieść niedoli, zanim dobiedziesz do ojczyzny, tobyś został i razem ze mną pilnowałbyś tego domu i byłbyś nieśmiertelny...”\*.

\*) Tłumaczenie Jana Parandowskiego

## 53

Znów coś przebudowują. Wybili ścianę naprzeciwko, tę, pod którą stało moje dygestorium. W polu mojego widzenia znajduje się wieloboczny otwór o ostrych konturach, zwisa z niego brązowy, zgięty stalowy pręt, zakrzywione rury sterczą w górę jak peryskop, u sufitu huśtają się pojedyncze kable z naderwanymi taśmami izolacyjnymi. Wszędzie się kurzy. Wnieśli nienależące do laboratorium urządzenia wentylacyjne z grubymi jak uda, poskręcanyimi węzami. Cała powierzchnia wody drży.

Z miejsca, w którym stała zburzona teraz ściana, otwiera się widok na wielki jak pływalnia pokój. Jego sufit ma kształt kopuły, tak jak sufity na dworcach kolejowych. Znajdują się w nim podłużne okna przysłonięte białą tkaniną. Cała podłoga jest zerwana. Zakurzeni mężczyźni odlewają jakieś formy. Konstrukcje przypominające schodki wznoszą się w

stronę tylnej ściany hali. To wszystko przypomina gigantyczną dekorację sceniczną. Co tutaj zostanie wystawione? „Zmierch bogów”?

Cztery ubielone postacie przedostają się przez otwór w ścianie. Kiedy podchodzą bliżej, widzę, że to nie są robotnicy. To jest obchód, w którym bierze udział wiele osób ubranych na biało od stóp do głów. Nie prowadzi ich tym razem profesor. Przed profesorem, psychiatrami i jakąś nieznaną osobą idzie, budzący respekt, postawny, łysy mężczyzna. Jego gładką, piegowatą czaszkę otaczają cienkie, sterczące włosy podobne do włosów anielskich na choinkę. Jest stary, z pewnością ma siedemdziesiątkę. Jego twarz jest nabrzmiąta, a powieki grube jak wargi. W nieruchomej twarzy poruszają się jedynie nozdrza. Są duże, czworokątne i rozdęte ciekawością. Natomiast jego niebieskie jak bławatki oczy zdają się spać pod przymkniętymi powiekami.

Zatrzymują się kilka metrów od nas. Profesor pokazuje zdjęcia rentgenowskie. Starzec mruczy coś pod nosem, tak że nic nie słyszę. Lecz słyszę profesora i psychiatrę — mówią szkolną angielszczyznę.

Teraz otwierają dzienniki lekarskie. Muszą to być dzienniki Omegi, bo moje zostały skradzione. Sprawdzają też długie krzywe w elektroencefalografie i przeglądają kolorowe kartki z wynikami prób laboratoryjnych. Nagle wszyscy odchodzą oprócz młodego mężczyzny ze stetoskopem w górnej kieszeni fartucha. Pochyla się nad Omegą.

- Kim jesteś? — pytam.
- Anestezjologiem.
- A dziadek, który już poszedł, ten, który cieszy się takim autorytetem?
- Najlepszym neurochirurgiem na świecie — mówi nie bez ironii.
- Czy wmontujecie Omedze anteny?

Nie odpowiada, tylko kręci głową, tak jakby miał przed sobą nierozumną istotę. Wciąga do pipetki trochę wody z naszego akwarium, podnosi pipetkę pod światło padające od okna i przygląda się jej przymykając powieki. — Czy się dobrze czujemy? — Wkłada pipetkę do spluwaczki obok akwarium i dotyka Omegi łąpatką.

Nie ulega wątpliwości, że mają zamiar wkroczyć do akcji. Domyślam się, że chodzi o operację związaną z wmontowaniem anten. To by się zgadzało, jeżeli nakazą Omedze wykonywać ten sam program co mnie. Czułbym się mniej samotny, gdybym mógł porozmawiać z Omegą. Całymi tygodniami nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem. A Ręka zniknęła. Ostatni raz widziałem ją trzymaną przez George'a na jego zgiętym łokciu.

Teraz anestezjolog wypuszcza wodę z tej części akwarium, w której przebywa Omega. Na mnie to nie robi wrażenia, ponieważ dzieląca nas plastikowa ściana jest opuszczona. Kiedy Omega kładzie się na dnie, a otaczająca go woda opada, zmienia kształt. Gdy wokół nie ma już wody, jego ciężar własny sprawia, że

robi się płaski. Znika podobieństwo Omegi do jajka. Zamiast tego przypomina teraz nadmuchaną flądę. Personel operacyjny wjeżdża z wysokim wózkiem. Leżą na nim kompresy i serwetki. Ostrożnie podnoszą i kładą na wózku leżącego w suchym miejscu Omegę. Następnie wytaczają wózek; towarzyszy im anestezjolog. Znowu skierowuję się w stronę pomieszczenia przypominającego pływalnię. Wjeżdżają tu dźwigiem. W kabinie dźwigu, która wycelowana jest w sufit, w kierunku błyszczącej rury teleskopu, stoi dwóch mężczyzn przymocowujących do sufitu dwa długie pręty. Wiszą na nich jarzeniówki, które sięgają prawie podłogi.

Nagle znowu pojawia się personel operacyjny z wózkiem. Ostrożnie przeciskają się obok poskręcanych węży urządzenia wentylacyjnego. Czy już uporali się z Omegą? W takim razie ustanowili nowy rekord światowy. Czyżby ten zabawny staruszek mógł rzeczywiście przeprowadzić operację wmontowania anten w ciągu pięciu minut? A może coś się stało — Omega nagle źle się poczuł lub ktoś wsypał piasek do mechanizmu aparatury operacyjnej?

Wraca anestezjolog. Omega jest prawdopodobnie jeszcze pod narkozą i trzeba zachować wielką ostrożność, kiedy będzie się go wkładać do akwarium. Lecz anestezjolog odwraca się plecami do wózka i pochyla nade mną; powoli zaczyna unosić dzielącą nas plastikową ścianę. Woda, w której leżę, wlewa się natychmiast do pustej części akwarium, w

której znajduje się Omega i wypływa przez zawór na dnie. Zanurzam się tak jak między stromymi ścianami śluzy. Zanim moje oko zostało zgniecione pod ciężarem uciskającego je mózgu, zdążyłem zauważyć, że wózek jest pusty. Omega nie wrócił. Zamiast tego nadeszła moja kolej.

## 54

— Czy już się obudziliśmy?

Okolo tuzina ludzi stoi dokoła. Wszyscy mają na sobie turkusowe spodnie. Maski na usta składają się z małych miseczek uformowanych z tektury, przypominających kagańce. Mimo to głosy są wyraźnie słyszalne. Jeden z nich należy do lekarza, który stoi najbliżej i drapie się po głowie elektronicznym stetoskopem. Turkusowy czepek sięga mu aż do brwi. Widzę, że lekarz się uśmiecha. Zmarszczki powstałe od śmiechu uwidoczniają się w kącikach oczu. Ukosnie za nim stoi pielęgniarka przyciskająca do piersi okładkę dziennika lekarskiego. Pozostałe osoby patrzą zdziwionym wzrokiem, lecz trzymają się w pewnej odległości.

— Rozchmurz się! — mówi lekarz.

Osoby biorące udział w obchodzie przechodzą, przez pokój. Kilka z nich pochyla się — ciekawe nad czym? Następnie podchodzą do okna i wyglądają przez nie.



— Zima w każdym razie już się skończyła — mówi lekarz.

Przechodzą na lewą stronę. Stają naprzeciwko łóżka, w którym spoczywa w na wpół siedzącej pozycji starszy mężczyzna: Ma przymknięte oczy. Jego czaszkę i uszy przykrywa gipsowy opatrunek. W jednej dziurce od nosa umieszczono mu cienki gumowy wężyk. Biegnie on łukiem do policzka, gdzie jest przymocowany taśmą klejącą; a dalej w dół do łóżka. Mężczyzna ma obnażoną klatkę, piersiową, do której przymocowano wiele wężyków w różnych kolorach. Tworzą one pęk, który prowadzi do oscyloskopu nad głową mężczyzny. Na ekranie oscyloskopu widać, jak bije jego serce. Ręce mężczyzny są przywiązane opaską z gazy do barierek przy brzegach łóżka, lecz niezbyt mocno, tak że jedna ręka chwytą prześcieradło; druga leży zupełnie spokojnie. Jest silna i spuchnięta. Przy niskim wezglowiu łóżka znajduje się metalowa podpórka niewiele różniąca się od anteny telewizyjnej. Na jej prętach wiszą plastikowe woreczki wypełnione cieczą. Wszystkie mają kolor wody oprócz jednego, który ma barwę wściekle żółtą z odcieniem czerwonego, jak kwas pikrynowy. Cienkie wężyki prowadzą do puszek znajdujących się na dole, u podstawy anteny. Biegnie stamtąd trochę grubszy wężyk dochodzący do jednej ze stóp mężczyzny. Pacjent ma między stopami poduszkę.

Od lewej strony wchodzi kobieta w szerokim turkusowym fartuchu zarzuconym na ubranie. Najpierw

idzie w kierunku łóżka mężczyzny, lecz potem zatrzymuje się i kieruje w prawo. W ręce ma bukiet z podbiałą. Łodygi owinięte są aluminiową folią. Przysuwa sobie krzesło i siada.

— Co się czuje leżąc na oddziale intensywnej terapii?

To Emma. Rozgląda się za czymś, w co mogłaby włożyć kwiaty, lecz nic nie znajduje.

— Pierwsze w tym roku! — mówi wachając swoje kwiaty.

Siedzi tak przez chwilę, lecz wkrótce zaczyna się wiercić. Kiedy mężczyzna naprzeciwko zacharzał, odwróciła się. Następnie spojrzała na zegarek. Wstała wyciągając zgiętą dłoń, tak jakby chciała dotknąć czyjegoś policzka. Lecz zatrzymała dłoń w pół drogi.

— Niestety, muszę już pędzić.

Pokiwała mi ręką i odeszła. Przez cały czas nie wiedziała, co zrobić z bukietem, więc wzięła go z sobą.

Obraz pokoju i mężczyzny w łóżku blednie i staje się kaszkowaty. Kontury tracą ostrość. Kolor szary przechodzi w czarny, który następnie staje się śnieżnobiały.

— Dobry wieczór, Cortex!

To jest profesor. Nie ma na sobie turkusowego ubrania, lecz swój stary, zwykły, biały fartuch laboratoryjny. Maską ochronną przykrywa mu jedynie brodę.

— Czy się słyszemy? — pyta. — Dobrze...

Podnosi kawałek kartonu, na którym jest napisane: Cortex.

— Przeczytaj!

— Cortex.

— Właśnie. Dobrze. Twoje nowe imię brzmi Cortex.

— Nasze nowe imię brzmi Cortex.

Kładzie kartonik na krześle i podchodzi bliżej.

— Wszystko poszło nadspodziewanie dobrze — mówi. — Podam ci teraz krótką informację: operacja, która odbyła się wczoraj, przebiegła bez żadnych komplikacji. Zabrała zaledwie połowę z przewidzianych osiemnastu godzin. To wyczyn, Cortex! Wszystkie wskaźniki są zadowalające. A co z twoim polem widzenia? Chyba nie widzisz podwójnie?

— Ależ nie.

— To dobrze. Faktycznie liczyliśmy się z tym, że operacja zajmie przewidywany czas. Nigdy jeszcze nie widziałem tak diabelnie utalentowanego lekarza... Powtórz swoje nowe imię, tylko tak, dla sprawdzenia...

— Cortex.

— Cortex oznacza korę, korę mózgową. Pomyślowe, prawda? Sami na to wpadliśmy. Laboratorium językowe miało na to pół roku, a jednak kiedy zapytaliśmy wczoraj: — Czy wymyśliliście już imię dla Ipsylona i Omegi? — odpowiedzieli: — Chcemy, żebyście nam dali więcej czasu na zastanowienie. — Dziękujemy — powiedziałem — rozwiążemy problem

sami, bowiem jutro odbędzie się operacja. A jak samopoczucie: jesteś smutny czy wesoły?

— Nie rozumiem pytania...

— W porządku. Widzimy to przecież na rejestrach. Nad czym się zatrzymaliśmy? Na informacji... No tak, co tu można powiedzieć... Po prostu zszyliśmy was z sobą. Najpierw was podzieliliśmy, rozdzielając obie półkule mózgowe; wzięliśmy lewą Ipsylona i zszyliśmy ją z prawą Omegi. A ponieważ Omega był leworęczny, prawa półkula jego mózgu spełniała funkcje lewej. Teraz mamy dwie lewe półkule. Po raz pierwszy w historii nauki! Muszę ci powiedzieć, że naszym największym problemem było do tej pory znalezienie leworęcznego dawcy. Mieliśmy wyjątkowe szczęście.

Nagle cichnie, a potem mówi trochę mniej pewnie:

— Cortex, chcę być szczery. Prawie mnie przestraszyłeś. Z kim ja właściwie rozmawiam? Podwójny intelekt pozbawiony uczuć! Człowiekowi przechodzą ciarki po plecach.

— Czy nadal będziesz dla nas grał na wiolonczeli?

— Nie, Cortex. O muzyce możesz zapomnieć... Czy ci jej brakuje?

— Czy mi brakuje?...

— Czyżbyś nie zrozumiał pytania? No tak... Za tydzień będziesz mógł wrócić do domu — o ile skończymy tę przebudowę. Ale to się da załatwić. Za chwilę

podczas skromnego obiadu spotkam się z kierownictwem. To się załatwi, Cortex! Będzie to precedens w historii neurofizjologii! Czeki pieniężne będą wpadać do skrzynki na listy w takiej ilości jak kartki na Boże Narodzenie. Czy jest coś, nad czym się zastanawiasz?

— To pytanie jest nie na temat. Odpowiedź brzmi: nie.

— Mówisz jak komputer z zaprogramowanymi szablonami pytań i odpowiedzi. Lecz nie zapominaj nawet na chwilę, Cortex, że nie jesteś komputerem! Jesteś czymś o wiele bardziej skomplikowanym: funkcjonującym podwójnym intelektem. Niczego ci nie brakuje... To było głupie pytanie. Zamiast tego chcę się dowiedzieć, czy mogę coś dla ciebie zrobić.

— Chcemy zagrać w szachy.

— Tak... Leżenie tu musi być cholernie nudne. I w takim towarzystwie...

Rzuca szybkie spojrzenie na wpół leżącego mężczyznę. Następnie wyjmuję notes i pióro, mówiąc:

— Szachy. Czy to ma być partia z komputerem, czy tradycyjne szachy z figurami z drewna?

— Drewnianych figur nie będziemy mogli przesuwac. Chcemy zagrać w nowoczesne szachy z polami, które mogą się zapalać i gasnąć.

— Z komputerem?

— Po co nam komputer? Mamy przecież siebie nawzajem.

Śmieje się i zapisuje coś. Potem wyciąga dłoń do uścisku, lecz cofa ją i sam sobie podaje rękę. Z uroczystą miną ściska sobie dłoń krótkim, mocnym uściskiem.

## 55

Nadawanie cech odbywa się w następujący sposób: każdy płód jest układany na szklanej płycie z okrągłym otworem, którego wielkość można regulować. Małe ciało płodu zawieszane jest w otworze, główka pozostaje nad płytą. Linia graniczna przebiega na wysokości przewodu słuchowego. Płody mają od 8 do 12 tygodni, kiedy są przekazywane do laboratorium. Wszystkie są skutkiem legalnych przerwania ciąży. Płody mające mniej niż 8 tygodni są odrzucane, ponieważ nie potrafią się przystosować do nowych warunków, a te, które mają więcej niż 12 tygodni, nie mogą być wykorzystywane z przyczyn prawnych i ze względów technicznych.

Kiedy już każdy płód zostanie umieszczony w otworze o odpowiedniej wielkości, obnaża się mózg przy pomocy kolistego cięcia nad przewodami słuchowymi i oczami. Opony mózgowe pozostają nie naruszone. Po usunięciu sklepienia czaszki, mózg może swobodnie rosnąć. Natomiast ciało może urosnąć jedynie do pewnych rozmiarów, od najniższego kręgu szyjnego do pięć najwyżej 13 centymetrów. Jeżeli pozwoli się na to, żeby ciało miało więcej niż

13 centymetrów, będzie ono zużywało zbyt dużo krwi. Z drugiej strony, płody mające mniej niż 10 centymetrów posiadają zbyt małe serce w porównaniu z rozrośniętym mózgiem. Serce płodu musi mieć wielkość przynajmniej serca myszy. Mniejsze serca mogą, oczywiście, przez pewien czas zaopatrywać rosnący mózg w krew, lecz puls przekracza wtedy 160 uderzeń na minutę, co uważa się za stan krytyczny. Płody leżą w płynie. Każdy pojemnik, w którym się znajdują, jest hermetycznie oddzielony od sąsiadującego z nim. Płyn nie ma żadnego udziału w doprowadzaniu tlenu czy pożywienia, lecz chroni płód przed wyschnięciem oraz skutecznie tłumi skutki wstrząsów. Tlen i pożywienie doprowadzane są do płodu przez zwyczajny krwiobieg. Natomiast krew nie jest zaopatrywana w tlen przez płuca, ponieważ są one zbyt mało rozwinięte. Każdy płód jest przez pępowinę i łożysko podłączony do aparatu spełniającego funkcję płuc.

Zwykle mózg płodu podwaja swój ciężar w ciągu 22 dni. Kiedy osiągnie ciężar 600 gramów, przerywany jest proces jego dalszego wzrostu. Sam mózg dorosłego płodu jest wielkości grejpfruta, to znaczy ma tę samą średnicę, co ciało płodu poniżej szyi, a więc 13 centymetrów. Jeżeli mózg urośnie większy, zostaje zachwiane zaopatrywanie go w krew. Wyłączając płuca, mózg jest praktycznie biorąc jedynym całkowicie samowystarczalnym organem, jeśli chodzi o funkcje. Narządy zmysłów: oko, ucho itd.

pozostają jednak niewykształcone. To samo dotyczy muskulatury, oprócz mięśnia sercowego. Nerki również należą do tych nielicznych organów, które nie funkcjonują. Oprócz aparatu spełniającego funkcję płuc każdy płód ma też sztuczną nerkę. Cały system jest zamknięty, lecz gdyby jego skład chemiczny został naruszony, można by to skorygować w zwykły sposób przy użyciu aparatu spełniającego funkcję płuc lub nerek.

Budowa mózgu różni się od budowy organów, które wykształcają się w macicy. Tworzenie się fałd mózgowych jest mniej zauważalne. Mózg może też przybierać dość zróżnicowane formy, co jednak nie wpływa na jego funkcje. Niektóre mózgi są kuliste, inne mają kształt jaja, a pewna część przybiera kształt głowy kalafiora lub pieprznika trąbkowego.

Właściwym celem hodowli jest kontrolowanie rozwoju wewnątrz mózgow płodów. Dzięki zahamowaniu rozwoju wewnątrz prawych półkul mózgowych otrzymuje się mózgi z dwiema lewymi półkulami — jeśli, nota bene, bierze się pod uwagę ich funkcje. Natomiast, przyglądając się dokładnie, można z łatwością wyróżnić bruzdę środkową i typową lewą lub prawą półkulę. Rosnący mózg płodu kształtuje się na wzór mózgu matki. Jeżeli brak mózgu matki — tak jak w tym przypadku — można zastępczo wykonać matrycę z innego, w pełni wykształconego mózgu. W tym momencie wchodzimy do akcji my.



Wypełnione płynem inkubatory w kształcie sześciątów z płodami zawieszonymi w otworach ich poprzecznej płyty oddzielone są od siebie przegrodami. Przegroda jest po prostu sześciątkiem wypełnionym płynem bez płodu w środku. Przegrody są niezbędne, żebyśmy mogły przechodzić od jednego płodu do drugiego w ten sposób, żeby nie było bezpośredniego kontaktu między płynami, w których leżą poszczególne płody. Cały ten proces musi się odbywać w warunkach sterylnych. Gdyby nie było przegród oddzielających płody, cała kolonia mózgow szybko ulegałaby zarażeniu, gdyby jakiś mikroorganizm zagnieździł się w jednym z płodów. Rosnące mózgi są najbardziej podatne na infekcję.

Zwykle leżymy przy jednym płodzie przez cztery doby. To jest optymalny okres czasu na przekazanie płodowi naszych cech. Następnie przepływamy przez przegrodę do kolejnego. To przekazywanie czy nadawanie cech trzeba powtarzać po 22 dobach. A więc możemy obsłużyć pięć równoległe rosnących mózgów. Dwie doby pozostają na nabranie sił i na skontrolowanie nas. Te dwie doby spędzamy w naszym starym akwariu w małym laboratorium. Zwykle mózg płodu osiąga swoją idealną wagę wynoszącą 600 gramów w ciągu 14 tygodni. Po tym „wielkim serwisie” zaczynamy następną kolejkę.

Mózgi płodów, które przeszły już wszystkie etapy, umieszczane są w kokonach, jak się je tutaj nazywa. Kokon wygląda jak metalowy graniastosłup o

długości jednego metra, głębokości 30 centymetrów i szerokości 50 centymetrów. Zawiera wszystko, co jest potrzebne do utrzymania mózgu przy życiu: aparat spełniający funkcję płuc, dodatkową nerkę, zwój cieplny, urządzenie kontrolne i tak dalej. Kokony mają różną budowę. W części z nich zostawia się, oprócz mózgu, ciało, a serce płodu dalej funkcjonuje jak pompa, dokładnie tak jak w okresie wzrostu. W innych kokonach usuwa się ciało, a mózg znajduje się bezpośrednio w roztworze zawierającym pożywienie. Są również takie kokony, w których sam mózg umieszczony jest w wyjąłowanej galaretkie lub sprężonym tlenie.

O budowie kokonu decydują żądania klientów. Ponieważ tkanka mózgowa jest dość odporna na promieniowanie jonizujące, przemysł atomowy — produkujący zarówno dla potrzeb wojska, jak i gospodarki — jest ważnym odbiorcą. Jeżeli promieniowanie osiąga maksymalną wielkość, mózg można umieścić w osłonie rtęciowej. Natomiast przemysł produkujący statki kosmiczne stawia duże wymagania urządzeniom amortyzacyjnym. Dzięki swej elastyczności mózg w warunkach naturalnych nie jest szczególnie wrażliwy na wstrząsy, lecz w kosmosie mogą się okazać konieczne wielowarstwowe hydrauliczne systemy zabezpieczające. Jednak większość mózgow znajduje stale zastosowanie w różnych gałęziach przemysłu i w badaniach naukowych. Tutaj jedynym, trudnym do pokonania, problemem jest

zachowanie sterylności. Klienci mają na ogół doświadczenie w posługiwaniu się skomplikowanymi komputerami i w ich kontrolowaniu. Teraz ryzyko infekcji zmusza do pomyślenia o sposobie zabezpieczenia się przed nią, co na początku sprawia czasem pewne trudności.

Produkcja wolno żyjących mózgow płodów była w ubiegłym roku budżetowym najbardziej opłacalnym sektorem gospodarki. Na razie jesteśmy jedynymi na rynku. Nasz skok w dziedzinie techniki sprawił kłopot znacznej części tradycyjnego przemysłu komputerowego, którego upadek jest w pewnym stopniu uwarunkowany psychologicznie. Jak zawsze w przypadku przełomu w technice, rynek przeżywa szok: ludzie wyobrażają sobie, że dotychczasowa technika jest całkowicie bezużyteczna. Ten pesymizm rzadko ma realne podstawy. Po jakimś czasie znajduje się nowe możliwości dla wykorzystania starej techniki, na przykład w krajach rozwijających się. Dlatego na naszą korzyść zaczną działać konkurencyjne firmy, które Biochine tanio wykupiła i których dawne produkty zaczną przynosić zyski.

## 56

Leżymy w akwariu, które George nazywa garażem. Szklane drzwiczki inkubatorów są zamknięte. Górne światło jest wyłączone. Na zewnątrz, w wielkiej, mrocznej hali duża liczba osób w wysterylizowanej

odzieży wymienia płody. Pracownicy laboratorium mają na sobie jasne kombinezony i plastikowe kapełuszki z reflektorami czołowymi. Po wyjęciu dojrzałych płodów umieszczają w ich miejsce nowe. Wtedy zaczyna rosnąć nowa generacja. Po 14 tygodniach następuje ponowna wymiana. Dojrzałe płody mają ciała blade jak korzenie. Nabrzmięte, obnażone mózgi przybierają różne kolory na skali barw, od różowego poprzez jasnoczerwony, ognistoczerwony i purpurowy aż do fioletowego. Świecą jak słabe światło latarni. Kiedy śpią, ciemnieją od krwi zgromadzonej w żyłach; gdy się któryś obudzi, jego barwa staje się jaśniejsza. Jeśli da im się do wykonania jakiegoś zadania, mózgi migoczą złowieszczo w półmroku.

Przeszliśmy zwykle 14-tygodniowe przeglądy bez większych zastrzeżeń pod naszym adresem. Co 20—22 dni, kiedy leżymy tu odpoczywając, robi się nam mały przegląd. Przy takich wymianach płodów jak ta, mamy wolny cały tydzień. W tym celu sterylizuje się baseny dla płodów znajdujących się między poszczególnymi generacjami. Kiedy jesteśmy wolne, nie mamy się czym zająć. Chętnie byśmy się z tego wycofały. Zapropomowałyśmy też, żeby w jakiś sposób wykorzystywano nasze zdolności w czasie, kiedy tu leżymy. Lecz naszym zleceniodawcom trudno jest ze wszystkim zdążyć, a jeszcze trudniej wymyślić coś nowego. Dlatego ze względów praktycznych byłoby najlepiej, żebyśmy w ogóle przejęły kierowanie

przebiegiem pracy, żebyśmy się same dla siebie stały zleceniodawcami. Ludzie, którzy nas otaczają, są niedołączni.

Jakaś kobieta siada z przodu, na ukos ode mnie w fotelu operatora. To Emma. Wiemy o niej wszystko. Odeszła z pracy dawno temu. Przeszkadzały jej względy uczuciowe. Patrzymy na nią lewym okiem, prawe w dalszym ciągu obserwuje wymianę płodów.

— Nie mogę się nauczyć... — mówi Emma. — Ciągle chcę mówić Ipsilon albo Omega.

— Mów jak chcesz. Wiemy w każdym razie, kogo masz na myśli.

— A więc, Ipsilon, mam zamiar cię zapytać, czy przypadkiem nie chciałbyś się przenieść do mnie... kiedy już nie będziesz tutaj potrzebny.

— My jesteśmy tu potrzebne.

— To się przecież może zmienić.

— A więc załóżmy, że to się zmieni. Co konkretnie oznacza twoja oferta?

— Obecnie pracuję na oddziale opieki w lecznictwie zamkniętym. Większość pacjentów leży tam, w respiratorach, od wielu lat. Pomyślałam, że...

— ...powinniśmy się przenieść. Ale dlaczego?

— Przecież ktoś musi się wami zaopiekować, kiedy sytuacja tutaj się zmieni. Chciałabym się wami zająć. Nie chcę, żeby stało się z wami to, co z waszymi prawymi półkulami, z tymi, które pozostały, kiedy was zszyto razem. Wtedy zwrócono też uwagę na

to, żeby zszyć i wasze prawe półkule. Czy o tym wiedziałyście?

— Dlaczego nie miałybyśmy wiedzieć?

— A więc wiecie również, że Biochine podarowała was... to znaczy połowę z was uniwersytetowi w Stanford w Kalifornii, laboratorium schizofrenicznemu? Testują tam najrozmaitsze rodzaje leków i nowe metody leczenia, eksperymentując na was... bliźniakach, czy jak to nazwać.

— Nie jesteśmy bliźniakami. Nie mamy z sobą już nic wspólnego. Nazywamy się Cortex. Inne, te prawe, nazywają się Id, co oznacza podświadomość. Otrzymałyśmy krótką informację od profesora. Id wygląda jak ameba.

— Nie chcę, żeby Biochine ofiarowała was jakiemuś laboratorium, kiedy już nie będziecie tutaj potrzebne!

— A to dlaczego? To może byłoby dla nas interesujące.

Łzy spływają jej po policzkach, lecz usta się uśmiechają. Wiemy, co to oznacza: jest smutna, ale nie chce nas niepokoić. Lecz kiedy próbujemy sobie wyobrazić, co Emma „czuje”, jakie ma samopoczucie, wtedy od razu stajemy się senne. Kiedy nie można się w nic zaangażować emocjonalnie, pozostaje tylko sen, w szeroko pojętym znaczeniu. Snem wypełniamy swoje amputowane części.

Obudził nas jej krzyk:

— Kiedyś cię kochałam, Ipsylon!

— Słyszałyśmy coś zupełnie innego od praktykanta Curta. Powiedział, że zbierało ci się na wymioty, kiedy musiałas nas dotykać.

— A to świntuch!

Ciężko opada na krzesło kryjąc twarz w dłoniach. Znow opanowuje nas senność nie do przewyciężenia. Kiedy stajemy się senne, machinalnie przechylamy się do tyłu, tak że nasz wzrok skierowuje się na sufit.

— Kocham was, chociaż już nie macie szansy zrozumieć, co mam na myśli.

— Nie doceniasz nas. Potrafimy zrozumieć. Pojmujemy wszystko. Mniej więcej tak, jak doświadczony lekarz rozumie swoich pacjentów. Lecz nie żądaj od nas, żebyśmy również płakały.

Już skończyli pracę w wielkiej hali. Ostatni płód, nagi i przypominający kolorem marcepan, jak nowo narodzone kocię, został umieszczony w pojemniku z płynem w środku. Za kilka minut zostanie podniesiona szklana płyta i będziemy mogły wpłynąć do śluz, żeby rozpocząć nowy okres pracy. Natychmiast opuszcza nas senność, kiedy pomyślimy o nowej generacji płodów, którym będziemy nadawać nasze cechy przez 14 tygodni.

Emma zakrywa jedną ręką twarz. Drugą błądzi ostrożnie po szkle. Senność znow daje o sobie znać, jak gdyby ktoś wsypał pokruszony lód w nasze bruzdy mózgowie. Lecz sto zabłysła zielonym światłem lampka znajdująca się przy otworze w szklanej płycie.

Płyta się podnosi i przy pomocy energicznych ruchów uszu wpływamy do urządzenia.

## 57

Generacje płodów nie są oznaczane literami alfabety greckiego. Zgodnie z alfabetem łacińskim nazywają się: A, B, C i tak dalej. Leżymy teraz w sześcianie oznaczonym J:2. „Płody hodowlane”, jak nazywa się te nowe, są coraz mniejsze. Ten znajdujący się w J:2 może mieć najwyżej pięć tygodni. Widać go, oczywiście, gołym okiem, ale trudno z nim pracować. Nadawanie cech odbywa się w ten sposób, że kładziemy się za odsłoniętym mózgiem płodu, a następnie powoli wspinamy się na niego, ciągnąc za sobą nerwy czaszkowe. Dla niewtajemniczonego wygląda to prawdopodobnie jak proces łączenia się w pary. Z większymi ploidami nie ma żadnego problemu. Lecz jeśli mózg płodu ma tylko pięć tygodni, trzeba wprowadzić do sześcianu specjalne urządzenie celownicze. Składa się ono z cienkiej, plastikowej płytki z pierścieniami i z krzyżykiem, tak jak celownik bombowy. W środku znajduje się otworek wielkości ziarenka grochu, na głowę płodu. Odległość między koncentrycznymi pierścieniami wynosi 10 milimetrów. Sprawia to, że możemy precyzyjnie wyceLOWać.

Okresy 14-tygodniowe zostały skrócone najpierw



do dwunastu tygodni, a obecnie do dziewięciu. Przeglądy również zostały ograniczone, lecz to nam nie przeszkadza; najbardziej lubimy pracę. Opuszczając sześcian J:2 jesteśmy świadkami jeszcze jednej zmiany: J:3 jest pusty. To się do tej pory nigdy nie zdarzyło. Płody zawsze leżały rzędem. Kiedy któryś z nich zmarł, był natychmiast zastępowany innym, rezerwowym. Lecz teraz tak się nie stało. Leżymy w pustym sześcianie i rozglądamy się. Mamy wrażenie, że znajdujemy się w sali lustrzanej: te same sześciany powtarzają się tak daleko przed nami, jak daleko sięgamy wzrokiem.

Po południu zostajemy przesunięte dalej, do J:4. Tutaj znajduje się płód, lecz jest tak mało rozwinięty, że nie można było odkroić ciemienia. Jeżeli płody są za młode, to nie mają szczytkowego sklepienia czaszki, które można by usunąć. Dlatego kładziemy się u boku płodu i czekamy na stosowną chwilę.

Następnie dostajemy polecenie, żeby przepłynąć przez przegrodę dalej, do J:5. Najpierw wydaje nam się, że sześcian jest pusty, lecz potem zauważamy, że ciało płodu pozostało, lecz usunięto mózg. Natychmiast wysyłamy sygnał alarmowy. To tak na wszelki wypadek, dla zapewnienia wszelkich środków bezpieczeństwa. W zasadzie nie pozostawiono by tutaj martwego płodu, lecz jeśli jest on martwy, musimy natychmiast opuścić to miejsce.

Poprzednio w tych nielicznych przypadkach, kiedy zarządzano alarm, personel zjawiał się tutaj w

ciągu 30 sekund. Teraz upłynęło 18 minut, zanim ktoś pofatygował się podnieść następną przegrodę. Co to może oznaczać? Pomyłkę urzędnika czy błąd personelu? Nie mamy dostępu do informacji, które byłyby potrzebne, żeby to ustalić. Nowy sześcian, do którego podpływamy, jest nieoznaczony i pusty. Taki powinien być, ponieważ jest w szeregu szósty z kolei. Kiedy docieramy do numeru szóstego, podnosi się boczna przegroda i wpływamy do transportera, który przenosi nas z powrotem do J:1.

J:1 jest pusty. Kiedy znalazłyśmy się tu dwa tygodnie temu, wszystko było w normie. Wychodzimy z założenia, że J:1 zmarł, okazał się niewypałem, jak się tu mówi. Sygnalizujemy przechodzenie przez przegrodę do J:2. Odbywa się to normalnie. Lecz J:2 jest pusty. Nie upłynęło więcej niż dziesięć godzin od naszego ostatniego tu pobytu. To jest nasza najkrótsza do tej pory runda. Natychmiast przesuwamy się dalej do J:3, o którym wiemy, że jest pusty. W J:4 wisi ciało płodu pozbawione mózgu, wyglądające jak błady kielek pszeniczny. Teraz jesteśmy zupełnie pewne, że ono jest martwe. Ponownie wysyłamy sygnał ostrzegawczy. Tym razem trwało to całą noc, zanim zwrócono na nas uwagę.

Wczesnym rankiem podnoszą dach sześcianu J:4, co jest dopuszczalne jedynie w sytuacji przymusowej. Opuszczają niewód. Biegająca wkoło osoba przenosi nas w nim z powrotem do „garażu”, to znaczy do akwarium, w którym odpoczywamy w małym

laboratorium. Brutalnie wrzuca nas do akwarium. Zajmująca się nami osoba nie odpowiada na nasze wołanie o pomoc, lecz jednak pochyla się i przygląda się nam. Na tabliczce z nazwiskiem na jej kombinezonie nie ma już napisu „Biochine”, lecz „Cerebro”.

## 58

Profesor znacznie się postarzał. Pamiętamy go jako żywotnego sześćdziesięciolatka. Pożółkł i wychudł. Kiedyś rzadko się zdarzało, żeby siadał podczas obchodu. Teraz siedzi zgarbiony na taborecie. Na fartuchu profesora również widnieje napis „Cerebro”.

— Dlaczego zmieniłeś tabliczkę? Dlaczego nie możemy pracować? — pytam.

— Nie chcę o tym mówić... Najchętniej przyniosłbym z sobą wiolonczelę i zagrał ci coś. Lecz to przecież nie ma sensu, skoro nie posiadasz...

— ...prawej półkuli mózgowej.

— Dawna Biochine została wchłonięta przez nowe konsorcjum, „Cerebro”, to wszystko.

— Dla nas to nie ma znaczenia, czy na naszych produktach jest napisane „Biochine” czy „Cerebro”. My chcemy tylko pracować.

— Niestety, Cortex, koniec z nadawaniem cech płodom. Technika nas wyprzedziła. To nadawanie cech okazało się o wiele za drogie. Próbowaliśmy

stosować je tak długo, jak długo się dało. Braliśmy do doświadczeń coraz młodsze płody, oddziaływaliśmy na nie przez coraz krótszy czas. Zmuszali nas do tego ekonomiści! Lecz to mogło doprowadzić tylko do jednego: jakość produkcji spadła.

— Czy już jesteście przestarzałe?

— Zniszczyła cię technika. Dokonał się wielki przełom w dziedzinie badań nad komórką i w inżynierii genetycznej. Te zadania, do których wykonywania potrzebowaliśmy do tej pory całego mózgu, może teraz spełniać tak zwana „tabliczka zastępcza”. Składa się ona z szeregu sześciokątnych komórek celulozy. „Tabliczka” jest określeniem nieprecyzyjnym, ale używa się go, ponieważ utarło się w słownictwie handlowym. Chodzi właściwie o bardzo cienką, prawie przezroczystą taśmę zbudowaną z kilku warstw komórek. Taka taśma, pełna zbitych komórek, nie potrzebuje być większa od paznokcia, żeby mieć taką samą pojemność jak ty. Chociaż składasz się z dwóch lewych półkul, zawierasz przecież masę dzikiego mięsa, którego nie odważyliśmy się usunąć. A tabliczki zastępcze nie są obciążone niczym niepotrzebnym. Zawierają czystą inteligencję.

— Lecz my mamy w każdym razie pojemność wynoszącą dwa razy 600 IQ.

— Tak, lecz pojemność tabliczki wielkości znaczka dochodzi do 1500 IQ. A objętość największych, jakie powstały do tej pory — mają one powierzchnię mniej więcej taką jak karta kredytowa —

wynosi prawie 10 000 IQ. To jest tyle, ile ma akademia nauk w pełnym składzie! A poza tym one nie są podatne na infekcje. Wirusy i bakterie nie lubią celulozy. Mógłby na nich wyrosnąć grzyb, lecz grzyb rośnie przecież powoli. Jeżeli tabliczka zostałaby zaatakowana, byłoby najtaniej po prostu ją wymienić. Mała tabliczka nie jest droższa od zapalniczki. A któż reperuje zapalniczki? Tak, Cortex, okres naszej świetności był imponujący, lecz krótki. Takie jest życie. Ja sam nie jestem zgorzkniały, przecież wkrótce idę na emeryturę. Lecz to jest przykre dla długoletnich pracowników, dla tych, którzy nie mogą się przekwalifikować.

- Czy my mamy zostać przeszkolone?
- Nie, Cortex, ciebie zostawimy w spokoju...
- Od dawna mamy zaproszenie od Emmy. Powiedziała, że możemy dostać się, do domu opieki, w którym pracuje.
- Ale ty wymagasz specjalnej opieki.
- To jest oddział respiratorów!
- A kto miałby to opłacać, ubezpieczalnia?
- Może dałoby się załatwić tę sprawę?
- Przykro mi, Cortex. Co to za sentymentalna bzdura... opieka nad ludźmi przewlekle chorymi! Co ty wiesz o życiu na oddziale dla przewlekle chorych? Czym byś się tam zajmował?
- Może moglibyśmy grać w szachy z pacjentami?

— Chce mi się śmiać. Może najwyżej w „kółko i krzyżyk”...

Nie, mam lepszą propozycję. Udało mi się załatwić ci naprawdę znakomite miejsce. Właściwie miałem nadzieję, że sam się tam dostanę — czy pamiętasz, że opowiadałem kiedyś o tym Ipsylonowi? Mówiłem mu o największym zaszczycie, jaki może spotkać neurofizjologa. Czy pamiętasz Paula Brokę?

— Nasza pamięć jest bez zarzutu.

— A więc nie potrzebuję wywlekać całej tej historii od początku. To było, oczywiście, głupie marzenie, że będę wart umieszczenia na tej samej półce co mózg Broki. Nie śmieję się ze mnie. Każdy człowiek ma prawo do marzeń!

— Czy pojedziemy do Paryża?

— Ty pojedziesz do Paryża.

— A kto to opłaci?

— Ja. Ze środków prywatnych. Zrobię to z radością. Już dziś wieczorem polecimy razem do Paryża. Pojedziemy od razu do Musée de l'Homme. Ceremonialnie umieszczą cię obok Broki. Jesteś w końcu pierwszym na świecie wolno żyjącym ludzkim mózgiem.

— Lecz jeśli na oddziale dla obłożnie chorych jest nudno... to jak będzie w Musée de l'Homme?

— Nudno? Na tej samej półce co Broca! Ja byłbym... Nie, a jednak! Jestem zazdrosny. Dlaczego nie miałbym się do tego przyznać. Każdy badacz, każdy człowiek chce być przecież nieśmiertelny!

Przyznajmy to. Lecz ja zostanę zapomniany, kiedy umrę. Mogę tylko mieć nadzieję, że moje pisma będą żyć dalej w bibliotekach medycznych całego świata... Dopóki ten świat będzie trwał! Czy wiesz, że oni zaczęli robić porządki? Ilość informacji staje się po prostu zbyt duża. Nie z powodu zajmowanej objętości — istnieją przecież mikrofilmy i mikropamięć — lecz z powodu kosztów! Przetrwa tylko to, co będzie potrzebne dla przyszłych badań. To jest zresztą pole do wykorzystania „tabliczek zastępczych”. Taka tabliczka może przeczesać bibliotekę w ciągu kilku tygodni. Większość pójdzie na śmietnik.

— Nieśmiertelność nie wyzwala w nas żadnych uczuć. Pojmujemy ją, oczywiście, w kategoriach czysto rozumowych. Nie wykazujemy w tej dziedzinie żadnych dążeń zabarwionych emocjonalnie. Chętnie ustąpimy miejsca innym.

— Dziękuję za twoją troskliwość, lecz to jest wykluczone. Muzeum pisemnie wyraziło zgodę na ciebie, nie na mnie. Francuzi nie umieściliby zagranicznego badacza obok Broki. Z tobą jest przecież inaczej. Mogą cię zaakceptować, jako internacjonalistę. To ty będziesz leżał w formalinie obok Broki.

— W formalinie!?

— Broca leży w formalinie.

— A więc nie będziemy mogli wziąć z sobą naszego akwarium z podgrzewaczem kąpielowym i urządzeniem doprowadzającym tlen... Kto nam będzie podawał jedzenie?

— Nie denerwujcie się. Muzeum wysoko ubezpieczyło swoje skarby.

— Jeżeli włoży się nas do formaliny, to się nas uśmierci!

— Powiedzmy, że przyjmiesz inną formę bytu. Co właściwie wiemy o przyszłym życiu? Cóż wiemy o tym, co — być może — dzieje się w mózgu Paula Broki, mimo że leży w formalinie? Mam nadzieję, że uśmiecha się do nas, chociaż tego nie dostrzegamy.

— Nic nie odczuwamy w obliczu śmierci.

— To dobrze. Nie oczekiwałem z twojej strony żadnego fałszywego sentymentalizmu. Żeby stać się nieśmiertelnym, trzeba przecież najpierw faktycznie być... tak, właśnie martwym.

Kiwa swoją poźółką, kościstą dłonią starca, wstaje i pochyla się nad akwarium. Co się stanie, kiedy zgaśnie lampka pod sklepieniem czaszki? Czy zapadną gipskie ciemności, czy...?



